

DIANA PALMER

PEWNEGO RAZU W PARYŻU

Tytuł oryginału: Once In Paris

ROZDZIAŁ 1

Ubrana na czerwono szykowna blondynka, której towarzyszył o wiele od niej wyższy ciemnowłosy mężczyzna, stanęła przed portretem Mony Lisy, wyrażając dobitnie po francusku swoją opinię. Mężczyzna roześmiał się. Oboje mieli najwyraźniej ochotę postać przed obrazem trochę dłużej, ale czekający w kolejce turyści, którzy przybyli do Luwru, aby zobaczyć umieszczone za kuloodporną szybą arcydzieło Leonarda da Vinci, nie ukrywali zniecierpliwienia. Jeden z nich miał zamiar sfotografować obraz przy użyciu flesza, lecz strażnik w porę to zauważył.

Brianna Martin, siedząc w pobliżu na ławce, przyglądała się zwiedzającym z nie mniejszym zainteresowaniem niż dziełom sztuki. W krótkich spodenkach i luźnej bluzce, ze swymi błyszczącym! zielonymi oczami, splecionymi w warkocz jasnymi włosami i przewieszonym przez szczupłe ramię plecakiem, wyglądała na studentkę. Rzeczywiście, miała prawie dziewiętnaście lat i chodziła w Paryżu do ekskluzywnej szkoły dla dziewcząt. Nie znajdowała jednak wspólnego języka z większością koleżanek, gdyż nie pochodziła jak one z bogatej i wpływowej rodziny.

Jej rodzice należeli do średniej klasy i tylko dzięki temu, że matka Brianny wyszła powtórnie za mąż za Kurta Brauera, magnata naftowego, dziewczyna miała okazję zakosztować życia w luksusie. Nie był to zresztą jej wybór. Kurt Brauer nie lubił Brianny, a gdy Ewa, jego nowa żona, zaszła w ciążę, postanowił pozbyć się pasierbicy. Paryska szkoła z internatem wydawała się idealnym rozwiązaniem.

Bolało ją, że matka nie protestowała.

- Spodoba ci się tam, moja droga - tłumaczyła córce z pełnym nadziei uśmiechem. - Będiesz miała dużo pieniędzy na swoje wydatki. Czyż to nie przyjemna odmiana? Twój ojciec zarabiał tylko marną pensję, nie starał się niczego w życiu osiągnąć. Teraz powodzi się nam znacznie lepiej, nie wolno ci tego nie doceniać.

Tego rodzaju komentarze pogarszały tylko jej i tak napięte stosunki z matką. Ewa, drobna blondynka, była słodką, lecz samolubną istotą, zawsze i wszędzie wypatrującą swej życiowej szansy. Polowała na Brauera jak myśliwy, uzbrojona w swoje powłóczyście spojrzenia, tiule i koronki. Ku zdumieniu Brianny w pięć miesięcy po śmierci jej ukochanego ojca wzięła ślub i niedługo później zaszła w ciążę. Zaraz potem przenieśli się z małego, ale przytulnego mieszkania w Atlancie do luksusowej willi w Nassau.

Kurt Brauer był bogaty, ale źródła jego dochodów pozostawały dla Brianny tajemnicą. Podobno zajmował się wydobywaniem ropy, lecz w biurze w Nassau pojawiali się ciągle jacyś dziwni, podejrzani ludzie.

Oprócz domu w Nassau jej ojczym posiadał letnie rezydencje w Barcelonie i na francuskiej Riwierze, między którymi pływał czasem swym prywatnym jachtem. Limuzyny z kierowcami i posiłki, za które płacił trzycyfrowe rachunki, stanowiły dla niego chleb powszedni. Nie liczył się nigdy z pieniędzmi, a Ewa była przy nim w swoim żywiole. Po raz pierwszy w życiu niczego jej nie brakowało i nie znała umiaru w konsumowaniu kolejnych przyjemności. Za to Brianna czuła się podle. Ojczym ją drażnił i napawał obawą, nic więc dziwnego, że kiedy wyczuł niechęć ze strony pasierbicy, natychmiast postanowił się jej pozbyć.

W Paryżu Brianna czuła się obco tylko z początku. Szybko polubiła to niezwykle miasto, a Luwr stał się jednym z jej ulubionych miejsc. Uwielbiała ten stary pałac, zamieniony na muzeum, który ostatnio przeszedł generalny remont. Nie wszystkie zmiany przypadły jej do gustu - zwłaszcza ta szklana piramida przed wejściem - ale i tak nie straciła ochoty do regularnych odwiedzin, takich jak dzisiejsza. Fascynowały ją muzealne zbiory, a że była młoda, podchodziła ze szczególnym entuzjazmem do wszelkich nowych doznań i przeżyć.

Kiedy więc tak siedziała na ławeczce w sali z Moną Lisą i obserwowała turystów, jej uwagę zwrócił pewien mężczyzna. Wpatrywał się w jedno z włoskich malowideł, ale bez szczególnego zainteresowania. W istocie zdawał się go nie widzieć - miał przygaste, jakby obojętne spojrzenie, a jego twarz porwana była zmarszczkami, które mogły być znakiem cierpienia.

Mężczyzna wydał jej się dziwnie znajomy. Był wysokim brunetem o przyprószonych siwizną gęstych włosach, szerokich ramionach i wąskich biodrach. Zauważyła, że w jednej ręce trzyma cygaro. Nie palił go oczywiście, bowiem wiedział, że w miejscu, gdzie zgromadzono tyle skarbów, palenie jest zabronione. Zdaje się, że po prostu musiał coś trzymać w dłoni, a traf chciał, że było to właśnie owo cygaro. Może trzyma je, żeby nie obgryzać paznokci?

Uśmiechnęła się, rozbawiona swoimi domysłami. Nie, taki elegancki mężczyzna na pewno nie obgryza paznokci. Wyglądał na bogatego, miał na sobie kremową sportową marynarkę, białe spodnie i beżową koszulę bez krawata. Na prawym przegubie nosił złoty zegarek z wąską bransoletką, na lewej dłoni błyskała złota obrączka. W tej samej dłoni trzymał również cygaro, więc Brianna pomyślała, że zapewne jest mańkutem.

Kiedy się odwrócił, dostrzegła jego szeroką, ogorzałą twarz, zaciśnięte usta i lekko zakrzywiony nos. A także niewielki dołek w podbródku, duże czarne oczy i ciemne krzaczaste brwi. Wyglądał doprawdy fascynująco.

Cały czas nie mogła jednak pozbyć się wrażenia, że skądś go zna. Natężyła umysł, poszukała dobrze w pamięci i naraz...

Ależ tak! Spotkała go na przyjęciu, które jej ojczym zorganizował po ślubie dla swoich współpracowników. Facet był rzeczywiście bogaczem, prowadził interesy w branży budowlanej. Nazywał się Hutton. Właśnie, L. Pierce Hutton. Jego firma specjalizowała się w budowie platform wiertniczych, a także nowoczesnych biurowców w centrach wielkich miast. On sam był wybitnym architektem, cenionym w środowisku ekologów, a znienawidzonym przez konserwatywnych polityków, ponieważ demaskował wszelkie próby omijania prawa chroniącego środowisko naturalne, które to próby tak często podejmowali jego nieuczciwi konkurenci.

Tak, oczywiście, że go pamiętała. Niedawno umarła mu żona. Było to przed trzema miesiącami, ale chyba jeszcze cierpiał z tego powodu. Stąd ten niewidzący wzrok i roztargniona, nieobecna mina.

Postanowiła przedstawić się i porozmawiać. Podeszła do niego lekko onieśmielona, licząc na to, że zauważy ją i sam się odwróci. Nie zauważył. Nadal wpatrywał się w obraz takim wzrokiem, jakby miał ochotę za chwilę go podpalić.

- To słynny obraz - odezwała się cicho, stając u jego boku. - Nie podoba się panu?

Spojrzał na nią, mrużąc oczy. Dopiero teraz zdała

sobie sprawę, że jest taki wysoki. Brianna nie była niska, lecz sięgała mu zaledwie do ramienia.

- *Je ne parle pas anglais* - odpowiedział, nieco zaskoczony, ale też chyba niezbyt zadowolony, że go zaczepiła.

- Owszem, mówi pan po angielsku - odparła. -Wiem, że mnie pan nie pamięta, ale ja pana tak. Był pan na przyjęciu w Nassau, kiedy moja matka wyszła za mąż za Kurta Brauera.

- Och, tak - westchnął - współczuję jej - dodał po angielsku.

- Ja również.

- Czego chcesz?

Spojrzała na niego swymi jasnozielonymi oczami, zbита nieco z tropu tym niezbyt kulturalnym pytaniem.

- Chciałam tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu śmierci pańskiej żony. Na przyjęciu nikt nawet o niej nie wspomniał. Pewnie wszyscy obawiali się poruszać ten

temat. Cóż - uśmiechnęła się lekko - ludzie zawsze tak reagują, gdy ktoś z ich znajomych straci bliską osobę. Udają, że o niczym nie wiedzą, albo czują się zażenowani i mamroczą coś pod nosem. Tak było, kiedy umarł mój ojciec. A ja pragnęłam tylko, żeby ktoś mnie objął i pozwolił mi się wypłakać.

- Teraz zdobyła się na szerszy uśmiech. - Mało kto to rozumie.

Mężczyzna nadal patrzył na nią lodowatym wzrokiem, wciąż zdziwiony, że młoda dziewczyna zaczepiła go pierwsza i najwyraźniej nie ma zamiaru odejść. Przyjrzał się jej twarzy, zwracając uwagę na piegowaty nos.

- Co pani robi we Francji? Czyżby Brauer działał teraz w Paryżu?

Brianna pokręciła głową.

- Moja matka jest w ciąży. Przeszkadzałam im, więc wysłali mnie tutaj do szkoły.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- To co pani robi o tej porze w muzeum?

- Uciekłam właśnie z lekcji. Robótki ręczne - dodała z krzywym grymasem na twarzy.

- Mogę robić wszystko, tylko nie to. Nie interesuje mnie szycie i robienie poduszek. Wolę księgowość i rachunkowość.

- W pani wieku? - mruknął, a jego twarz jakby się rozpogodziła.

- Mam prawie dziewiętnaście lat - poinformowała go poważnie, - Jestem świetna z matematyki. Dostaję same szóstki. Pewnego dnia, gdy zrobię dyplom, będzie pan mnie musiał zatrudnić. Przysięgam, że wyrwę się kiedyś z tego cholernego więzienia i zacznę prawdziwe studia.

- Życzę powodzenia - rzekł z uśmiechem. Brianna spojrzała na coraz bardziej zniecierpliwiony tłum, czekający w kolejce przed portretem Mony Lisy.

- Wszyscy chcą zobaczyć ten obraz, a potem są zdumieni, że jest taki mały, a na dodatek umieszczony za szkłem - stwierdziła, zmieniając temat. - Podśluchiwałam, co mówią. Chce pan wiedzieć, czego prawie wszyscy się spodziewają? Ogromnego malowidła! Muszą być zawiedzeni, że po tak długim czekaniu w kolejce nie widzą dzieła wielkości ściany.

- Cóż, życie pełne jest rozczarowań.

- Prawda? - Spojrzała na niego śmieiej, zajrzała mu w oczy z otwartością, na jaką pozwalają sobie tylko nastolatki. - Naprawdę przykro mi z powodu śmierci pańskiej żony, panie Hutton. Słyszałam, że byliście państwo małżeństwem od dziesięciu lat i bardzo się kochaliście. Musi być panu teraz bardzo ciężko.

Hutton drgnął niczym wrażliwa na dotyk roślina.

- Nie rozmawiam o prywatnych sprawach, więc...

- Rozumiem - przerwała mu. - To wymaga czasu. Ale nie powinien pan być teraz samotny. Ona na pewno by tego nie pochwałała.

Zacisnął szczęki, jakby z trudem mu przychodziło zachować kamienną twarz. -
Przepraszam, panno...

- Martin - podsunęła. - Brianna Martin.

- Z wiekiem przekona się pani, panno Martin, że z obcymi nie należy zbyt łatwo wchodzić w zażyłość, a tym bardziej opowiadać im o wszystkim.

- Wiem, zawsze mówię za dużo. Stąpam zbyt odważnie po kruchym lodzie. - Jej zielone oczy spojrzały na niego z łagodną życzliwością. - I wcale się tego nie boję.

- Zauważyłem.

Przez chwilę milczeli, wreszcie Brianna odezwała się znowu:

- Musi pan być silnym człowiekiem, skoro nie mając jeszcze czterdziestki, tyle pan już osiągnął. Każdy przeżywa jednak w życiu trudne chwile, nawet najtwardsi i najbardziej niezłomni. Ale nawet w środku nocy błyska nam jakieś światełko, promyk nadziei. -Podniosła rękę, widząc, że uśmiecha się pobłaźliwie i zamierza jej przerwać. - Dobrze, nic już więcej nie powiem. Sądzi pan, że ten człowiek ma właściwe proporcje? - zapytała ni stąd, ni zowąd, wskazując głową na obraz mężczyzny i kobiety, któremu Hutton przed chwilą się przyglądał. -Chyba jest trochę... karłowaty, prawda? Ona z kolei ma przesadnie obfite kształty, ten malarz był pewnie miłośnikiem pulchnych ciał. - Westchnęła głośno i dodała: - A jednak jej zazdroszczę. Ja przez całe życie będę chyba miała małe piersi. -Spojrzała nagle na zegarek. - Boże, spóźnię się na matematykę, a to jedyna lekcja, której nie chcę opuścić! Do widzenia, panie Hutton!

Po tych słowach pobiegła w kierunku wyjścia, nie oglądając się za siebie. Wyglądała niezgrabnie ze swym długim warkoczem i chudymi nogami, ale Hutton uśmiechnął się, odprowadzając ją wzrokiem. Zabawna dziewczyna, pomyślał. Zrazu chciał ją zlekceważyć, jednak później przypadła mu do gustu.

Zaśmiał się w duchu, spoglądając na nie zapalone cygaro, które wciąż trzymał w dłoni. Myślała, że nie spodobał mu się obraz... W ogóle nie patrzył na obrazy! Nie przyszedł przecież do Luwru, aby podziwiać dzieła sztuki. Miał zamiar skoczyć po zmroku do Sekwany. Margo odeszła, a on, mimo usilnych starań, nie potrafił bez niej żyć. Nie zobaczy już nigdy jej roześmianych niebieskich oczu, nie usłyszy, jak delikatnym głosem, w którym pobrzmiwał francuski akcent, mówi żartobliwie o jego pracy. Nie poczuje pod sobą jej miękkiego ciała, prężącego się w ekstazie w półmroku ich sypialni, nie poczuje, jak z rozkoszą wbija mu w skórę paznokcie w miłosnej ekstazie.

Zamrugnął oczami, czując, że pieką go od łez. Miał pustkę w sercu. Od pogrzebu żony nikt nie odważył się okazać mu współczucia. Zabronił wymawiać jej imię w swoim cichym, opustoszałym domu w Nassau. W biurze był niestrudzony i wymagający. Wszyscy to rozumieli.

Nie spodziewał się, że samotność jest taka straszna. Nie miał rodziny, dzieci, które stanowiłyby dla niego pociechę. Po tragicznym poronieniu Margo nie mogła ponownie zająć w ciąży, to był jej największy dramat.

Nigdy jednak nie przywiązywali do tego zbyt wielkiej wagi, sami byli bowiem dla siebie wszystkim. Och, byłoby cudownie mieć dzieci, oczywiście, lecz przecież nie pragnęli ich obsesyjnie. Cieszyli się pełnią życia, zawsze i wszędzie byli razem, zakochani w sobie i wpatrzeni w siebie - aż do końca. Margo troszczyła się u niego nawet wtedy, gdy siedząc przy jego łóżku, patrzył z rozpaczą, jak ukochana niknie w oczach. Pytała, czy je, ile trzeba, i czy nie śpi za mało. Bała się, jak sobie poradzi, kiedy jej zabraknie.

- Nigdy nie chodzisz zimą w płaszczu - mówiła słabnącym głosem - nie nosisz parasola, kiedy pada, ani nie zmieniasz mokrych skarpet. Tak bardzo się martwię, *mon cher*. Musisz o siebie dbać, *tu comprends?*

Obiecywał jej to z płaczem, a ona tuliła jego głowę do swych wychudłych piersi.

Westchnął głośno, pogrążony w ponurych wspomnieniach. Kilku turystów spojrzało na niego ze zdziwieniem, a on pokręcił głową, jakby dopiero teraz uzmysłowił sobie, gdzie jest. Odwrócił się w tej samej chwili i wyszedł po schodach na zalany słońcem paryski bulwar.

Uliczny gwar pozwolił mu wrócić do rzeczywistości. Nie przeszkadzał mu hałas, który sprawiał, że mieszkańcy przeludnionego i zatrutego spalinami centrum Paryża stawali się coraz bardziej nerwowi. Rozluźniwszy zaciśniętą dłoń, sięgnął do kieszeni po zapalniczkę i zaczął się jej przyglądać, stojąc na kamiennych schodach. Dostał ją od Margo z okazji dziesiątej rocznicy ślubu. Na złotej obudowie były wyryte jego inicjały. Zawsze nosił tę zapalniczkę przy sobie. Przesunąwszy teraz palcem po jej gładkiej powierzchni, znowu poczuł ból w sercu.

Zaciągnął się cygarem. Dym podrażnił mu płuca, lecz po chwili podziałał na niego kojąco. Odetchnął głęboko, spoglądając na tłum turystów, spieszących do Luwru. Cieszyli się wakacjami. Byli szczęśliwi i roześmiani, podczas gdy on cierpiał.

Nieoczekiwanie przypomniał sobie Briannę i to, co mu powiedziała. Cóż za dziwna historia... Zupełnie obca dziewczyna pojawia się nie wiadomo skąd i udziela mu rad, jak uleczyć złamane serce.

Uśmiechnął się mimo rozdrażnienia. Była miłym dzieciakiem. Niepotrzebnie tak szorstko się z nią obszedł. Pamiętał, że jej matka poślubiła Brauera i zaszła w ciążę. Brianna wspominała, że stało się to wkrótce po śmierci ojca. Musiała to bardzo przeżyć. A potem przeszkadzała ojczymowi, więc ten wysłał ją do Paryża. No tak, każdy ma jakieś problemy. Takie jest życie.

Hutton spojrział z pośępnym uśmiechem na swego rolexa. Za pół godziny miał spotkanie w ministerstwie. Zważywszy na natężenie ruchu o tej porze, będzie mógł mówić o szczęściu, jeśli spóźni się tylko o następne pół godziny. Podszedł zrezygnowany do krawężnika, aby złapać taksówkę. Nie czekał długo. Po chwili wsiadł do starego peugeota i odjechał.

Brianna wślizgnęła się do klasy, starając się robić jak najmniej zamieszania. Skrzywiła się, gdy pyszałkowata Emily Jarvis zaczęła na jej widok szeptać coś do koleżanek. Emily była jedną z tych osób, których Brianna szczerze nie cierpiała. Na szczęście miała spędzić w tej ekskluzywnej szkole jeszcze tylko miesiąc. Liczyła, że potem wyślą ją na studia. Na razie jednak musiała znosić towarzystwo i Emily, i jej zarozumiałych przyjaciółek.

Otworzyła książkę do matematyki i zaczęła słuchać wykładu z algebry. Przynajmniej te zajęcia były interesujące i coś jej dawały. Radziła sobie z rozwiązywaniem równań dużo lepiej niż z szyciem.

Po lekcji zatrzymała się w holu, otoczona przez dwie grupy przyjaciółek. W jednej z nich stała Emily. Była efektowną blondynką, nosiła bardzo drogie rzeczy, a pochodziła ponoć z utytułowanej brytyjskiej rodziny, której przodkowie mieli powiązania z dworem Tudorów. Mimo to Brianna nie była w stanie spojrzeć na nią życzliwszym okiem.

- Powiedziałaś Madame Dubonne, że uciekałaś z lekcji - oznajmiła Emily z jadowitym uśmiechem.

- Nie ma sprawy - odparła Brianna, również się uśmiechając. - Ode mnie dowiedziała się za to, co robiłaś we wtorek po zajęciach z doktorem Mordeau w sali plastyki.

Zanim zaszokowana Emily zdążyła coś odpowiedzieć, Brianna posłała jej drwiący uśmiech i zniknęła w holu. Wszystkich dziwiło zawsze, że choć wygląda na osobę delikatną, niemal bezbronną, ma w istocie niezłomny i twardy charakter. Koleżanki, które próbowały jej dogryźć, zwykle tego żałowały. Rzeczywiście, Brianna powiedziała Madame Dubonne, co Emily wyprawiała z nauczycielem plastyki. Dlaczego miałyby nie mówić? Wszystkie dziewczyny były zbulwersowane ich niedyskretnym zachowaniem. Każda, która weszła do sali, słyszała wyraźnie, co robili, i widziała ich sylwetki za przezroczystym parawanem.

Brianna nie lubiła skarżyć, ale Emily tak zdażyła jej dopiec, że nie było jej wcale żal tej złośliwej dziewczyny. Trudno, raz będzie skarżypyta, może Emily da jej wreszcie spokój

Emily dała spokój Briannie. Jeszcze tego samego dnia doktor Mordeau został wysłany na długi urlop zdrowotny, a jego nieletnia kochanka nie zjawiała się więcej w szkole. Jedna z dziewcząt widziała podobno, jak następnego dnia rano Emily wsiadała z walizkami do limuzyny. Gdzie wyjechała - nikt nie wiedział. Dość, że nie pojawiła się już w szkole ani razu.

Po tym wydarzeniu Brianna miała mniej problemów. Dawne przyjaciółki Emily zdały sobie sprawę, że ich pozycja w klasie spadła, i nie dokuczały jej dawnej rywalce. Za to Brianna zaprzyjaźniła się z młodszą od siebie o rok rudowłosą Carą Harvey. Chodziły razem do galerii i muzeów, których w Paryżu nie brakowało. Choć Brianna nie chciała się do tego przyznać, miała nadzieję ponownie spotkać w którymś z tych miejsc Pierce'a Huttona. Ten człowiek ją fascynował. Wydawał się taki samotny. Nigdy dotąd nie czuła równie silnego duchowego związku z drugą osobą. Było to trochę zaskakujące, ale nie budziło jej niepokoju. Przynajmniej na początku.

W dniu swoich dziewiętnastych urodzin Brianna poszła późnym popołudniem do Luwru, aby obejrzeć obraz, w który wpatrywał się Pierce Hutton pamiętnego dnia, kiedy to rozpoznała go i odbyła z nim rozmowę. Mimo urodzin nie była w dobrym humorze. Nikt nie złożył jej życzeń, dostała tylko kartkę od Cary. Matka, jak zwykle, zapomniała o jej święcie, a ojca nie było. Gdyby żył, otrzymałaby zapewne od niego róże albo jakiś prezent. Tak było zawsze. A teraz? Cóż, nie pamiętała równie smutnych urodzin. Nawet Luwr nie był w stanie jej pocieszyć.

Okręciła się na pięcie, powiewając spódnicą. Oprócz niej miała na sobie białą jedwabną koszulkę na ramiączkach oraz pantofelki na płaskim obcasie. Zamiast torebki nosiła plecak, który był o wiele wygodniejszy. Co rusz odrzucała niecierpliwie do tyłu swoje długie jasne włosy. Wolałaby, żeby były bardziej puszyste, może też trochę sztywniejsze i bardziej podatne na układanie, a nie ciężkie i opadające na ramiona. Może powinna je ściąć?

Niestety, nie spotkała w muzeum Pierce'a Huttona i humor jeszcze bardziej jej się pogorszył. Wyjrzała przez okno, zauważyła, że zrobiło się ciemno i pomyślała, że trzeba wracać do szkoły. Postanowiła złapać taksówkę, chociaż nie bała się wcale chodzić po Paryżu wieczorami. Wyszła na zewnątrz, rozejrzała się za taksówką, naraz jednak zauważyła niewielkie bistro. Poczowała ochotę, by wstąpić i napić się czegoś. Może zamówi lampkę wina? W końcu to jej urodziny.

Wszedłszy do mrocznego, zatłoczonego lokalu, natychmiast zdała sobie sprawę, że jest to raczej bar niż bistro - i to dość ekskluzywny. Nie miała zbyt wiele pieniędzy, więc nie było jej stać na wizytę w takim miejscu. Zawróciła do wyjścia ze skwaszoną miną i miała nacisnąć właśnie mosięzną klamkę, gdy ktoś złapał ją nagle za rękę.

Spojrzała zaskoczona na ciemnookiego mężczyznę.

- Stchórzyłaś? - zapytał. - Czyżbyś była za młoda na takie miejsca?

Brianna wstrzymała oddech. Mężczyzną, który ją zaczepił, był Pierce Hutton. Mówił głębokim, szorstkim, trochę niewyraźnym głosem. Kosmyk gęstych czarnych włosów opadał mu na czoło. Oddychał ciężko, jakby był zmęczony. Albo pijany.

- Kończę dzisiaj dziewiętnaście lat - powiedziała niepewnie.

- Świetnie. Wszystkiego najlepszego.

- Ale już od dawna czuję się dorosła.

- Jeszcze lepiej. Pewnie masz już nawet prawo jazdy.

- Ale nie mam samochodu.

- Prawdę mówiąc, ja też nie.

Poprowadził ją do stolika w rogu, na którym stała opróżniona do połowy butelka whisky oraz dwie szklanki: jedna pękata, druga wysoka, zapewne z wodą sodową. W popielniczce leżało zapalone grube cygaro.

- Pewnie nie znosisz dymu - mruknął, gdy udało mu się usiąść, nie wpadając na stolik. Najwyraźniej siedział już w tym barze od dłuższego czasu.

- Na powietrzu mi nie przeszkadza - odparła Brianna. - Duszę się jednak w zadymionych pomieszczeniach. Zimą miałam zapalenie płuc, jeszcze nie doszłam do siebie.

- Zupełnie jak ja - powiedział Hutton zdławionym głosem, gasząc cygaro.

- Chorował pan na zapalenie płuc?

- Nie - uśmiechnął się. - Nie doszedłem wciąż do siebie, nie mogę odzyskać równowagi. Powiedziałaś, że z czasem wszystko minie, prawda? Skłamałaś, dziewczyno. Wcale nie jest lepiej. Mam wrażenie, że rak zżera moją duszę. Brakuje mi Margo... - zacisnął dłoń w pięści z grymasem bólu na twarzy - cholernie mi jej brakuje!

Brianna przysunęła się bliżej, objęła go ramieniem. Ten gest wystarczył, by Pierce natychmiast przygarnął ją do piersi. Poczula na szyi jego gorący oddech, usłyszała nieskładnie szeptane słowa, których sensu nie była w stanie zrozumieć. Pierce płakał. Cały drżał, łkając z rozpacz. Pocięła go, jak mogła, mrużąc mu do ucha pogrzipające słowa, jednak on nie był w stanie wydobyć się z rozpacz.

Kiedy wreszcie się uspokoił, poczuła się trochę zażenowana. Mógł być niezadowolony, że widzi go w takim stanie. Najwyraźniej jednak wcale mu to nie przeszkadzało. Podniósł głowę z głośnym westchnieniem i położył jej na ramiona swe potężne dłonie. Potem zaś spojrział na nią zażawionymi oczami bez cienia skrępowania.

- Zaskoczyłem cię, prawda? Jesteś Amerykanką, a w Ameryce mężczyźni nie płaczą. Maskują uczucia i nigdy się do nich nie przyznają. - Roześmiał się, ocierając łzy. - Cóż, jestem Grekiem. Ze strony ojca. Moja matka była Francuzką, a babka Argentynką. Mam latynoski temperament i nie wstydzę się okazywania uczuć. Śmieję się, gdy jestem szczęśliwy, i płacę, kiedy mi smutno.

- Ja też. - Brianna sięgnęła do kieszeni po chusteczkę i z uśmiechem otarła mu wilgotne policzki. - Podobają mi się pana oczy.

- Tak? - Poruszył się niespokojnie, zakłopotany lekko tym nieoczekiwanym wyznaniem. - A dlaczego?

- Są takie ciemne.

- Latynoski temperament - powtórzył - i latynoska krew. Odziedziczyłem je po ojcu i dziadku. Byli właścicielami tankowców. - Pochylił się ku niej. - Sprzedałem je wszystkie. Kupiłem spychacze i dźwigi.

- Nie lubi pan tankowców? - zapytała z przejęciem.

- Nie lubię, kiedy wycieka z nich do morza ropa. Dlatego dbam, żeby platformy wiertnicze, które buduję, były szczelne. - Wziął do ręki szklanę i napiwszy się, podsunął ją Briannie. - Spróbuj. To dobra szkocka whisky, importowana z Edynburga. Jest łagodna i w dodatku rozcieńczona wodą. Brianna zawahała się.

- Nigdy nie piłam alkoholu - wyznała.

- Wszystko robimy kiedyś po raz pierwszy.

- Dobrze. A więc na zdrowie! - Łyknęła sporą porcję i oczy o mało nie wyszły jej z orbit. Chuchnęła głośno, wpatrując się w szklanę. - Ależ to mocne!

- Hamuj się, dziecko - uśmiechnął się. - To kosztowny trunek. Nie można pić go duszkiem.

- Po pierwsze nie jestem dzieckiem, mam dziewiętnaście lat - poinformowała go, popijając kolejny łyk. - A po drugie to jest całkiem niezłe.

Zabrał jej szklanę.

- Wystarczy. Nie chcę być oskarżony o uwiedzenie nieletniej.

- Naprawdę? - powiedziała, unosząc brwi. - Więc przez chwilę myślał pan o tym, żeby mnie uwieść.

- Tego nie powiedziałem.

- Niech pan nie oszukuje.

- Czyżbyś umiała czytać w myślach?

- Nie - roześmiała się. - Szczerze mówiąc, mam niewielkie doświadczenie w tych sprawach. Zawsze jednak byłam ciekawa, po co kobiety rozbierają się przy mężczyznach.

- Hm...

- Jest pan zakłopotany.

- A ty bezwstydna.

- Staram się. Pochlebia mi taka opinia. W każdym razie w szkole nie dowiem się zbyt wiele o seksie, w muzeum też nie. Oglądanie posągów w Luwrze nie jest najlepszą metodą edukacji seksualnej. Zresztą, nie mam kompleksów, wszystko przede mną. Czy wie pan - zachichotała - że Madame Dubonne, nauczycielka w naszej szkole, chyba nadal uważa, że dzieci przynoszą bociany?

Pierce nie odpowiadał, więc przyglądała się przez chwilę jego śniadej twarzy, wreszcie zapytała:

- Czy czuje się pan już lepiej?

- Trochę. - Wzruszył ramionami. - Wypiłem jeszcze za mało, ale już jestem znieczulony.

Dotknęła ostrożnie jego wielkiej dłoni. Była ciepła i muskularna, spod mankietu białej koszuli wystawały czarne włosy. Paznokcie miał gładkie, czyste i równo przycięte. Działał na nią, działał tak, jak nie działał nikt przed nim.

Spojrzał na jej długie, delikatne palce i zauważył:

- Nie malujesz paznokci, A u nóg?

- Też nie. - Pokręciła głową. - Mam zbyt niezgrabne stopy. Moje ręce i nogi na pewno mnie nie zdobią.

- Nieprawda. - Ujął jej dłonie. - Mi się podobają.

- Zamilkł na chwilę. - Dziękuję, Brianno - dodał krótko, zmienionym nagle tonem, jakby był zły, że musi to powiedzieć.

- Proszę. Ludzie potrzebują czasami pocieszenia - stwierdziła z uśmiechem. - Ale pan jest twardy. Da pan sobie radę i bez tego.

- Może.

- Na pewno - rzekła z przekonaniem. - „Znieczulanie się” też jest zbędne w pana przypadku. Nie powinien pan już wrócić do domu? - zapytała, rozglądając się wokół. -

Obserwuje pana jakaś blondynka. Założę się, że ma ochotę zaciągnąć pana do łóżka, a potem ukraść panu portfel.

Hutton pochylił się w kierunku Brianny i szepnął konfidentycznie:

- Nie miałyby ze mnie pożytku. Jestem zbyt pijany.

- Chyba by jej to nie przeszkadzało.

- Przeszkadzałyby. Kobiety tego nie lubią.

- Może nie wszystkie? - uśmiechnęła się tajemniczo.

- Chcesz powiedzieć, że tobie nie przeszkadza? Że mogłabyś pójść teraz do mnie i...

- Panie Hutton, musiałby pan najpierw wytrzeźwieć - przerwała mu szybko. - Mój pierwszy raz będzie wystrzałowy, porywający, jak symfonia Beethovena. Jak może mi to zapewnić pijany mężczyzna?

Hutton odchylił głowę do tyłu i wybuchnął gromkim, szczerym śmiechem.

- Tak czy inaczej, mogłabyś mi pomóc trafić do domu - powiedział w końcu. - Z tobą jestem bezpieczny, sam przepadnę. - Położył na stole pieniądze, po czym dodał z wahaniem: - Tylko obiecuj, że nie będziesz próbowała mnie uwieść.

- Obiecuję. - Położyła rękę na sercu.

- W porządku. - Wstał, zatoczył się, oparł dłoń o blat. - Cholera, chyba trochę przesadziłem. Widać, że piłem? - zapytał. - Mów szczerze.

- Nie - Brianna zrobiła niewinną minę - nic a nic.

- Nie pamiętam nawet, jak tu trafiłem. Boże, chyba wyszedłem w trakcie rozmów na temat budowy nowego hotelu!

- Och, na pewno będą jeszcze trwały, kiedy pan wróci - stwierdziła, tłumiąc śmiech. - Ruszajmy, panie Hutton. Musimy złapać taksówkę.

ROZDZIAŁ 2

Pierce Hutton mieszkał w jednym z najnowszych, najbardziej luksusowych paryskich hoteli. Wydobył z kieszeni klucz, by podać go Briannie, ona zaś obejrzała klucz, jakby widziała go po raz pierwszy.

Jej obecność i zachowanie zwróciła uwagę obsługi. Odźwierny przyglądał im się podejrzliwie, podobnie jak recepcjonista, który podszedł do nich, gdy czekali na windę, i zapytał znacząco:

- Jakieś problemy, *Monsieur*?

- Owszem, Henri. Jestem pijany. - Pierce objął potężnym ramieniem Briannę i uśmiechnął się szeroko. - Poznaj córkę mojego wspólnika. Chodzi do szkoły w Paryżu. Znalazła mnie w „Chez Georges” i przyprowadziła do hotelu. - Uśmiechnął się szeroko. - Na dodatek ocaliła mnie przed pewną *femme de nuit*, która miała ponoć na oku mój portfel.

- Aha - mruknął Henri, uśmiechając się do Brianny. - Potrzebuje pani pomocy, *mademoiselle*!

- Nie, dziękuję. Pan Hutton jest dość ciężki, ale chyba sobie poradzę. Zajrzy pan do niego później, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku? - zapytała z troską w głosie.

- Oczywiście - odparł Henri, pozbywając się wszelkich podejrzeń.

Brianna uśmiechnęła się skromnie.

- *Merci beaucoup*. Proszę odpowiedzieć tylko: *il n 'ya pas de quoi* - dodała szybko - bo na tym kończy się moja znajomość francuskiego, pomimo starań Madame Dubonne.

- Madame Dubonne? Uczęszcza pani do „La Belle Ecole”? - ożywił się portier. - Chodzi tam moja kuzynka. - Wymienił imię dziewczyny, którą Brianna знаła tylko z widzenia.

- Tak, ma czarne włosy - przypomniała sobie. - I zawsze nosi długi sweter, nawet gdy jest upał, prawda? - dodała ze śmiechem.

- *Oui, oui* - potwierdził Henri. - Ciągle jej zimno. Pomogę pani, *mademoiselle* - powiedział, wprowadzając ich do windy, która na szczęście była pusta.

Polecił windziarzowi po francusku, aby zawiózł *Monsieur* Huttona do jego apartamentu, po czym jeszcze raz zwrócił się do Brianny:

- On pani pomoże. A o pana Huttona proszę się nie martwić. Będzie tu miał znakomitą opiekę.

Gdy dojechali na górę, windziarz pomógł jej zaprowadzić Pierce'a do apartamentu. Po otwarciu drzwi weszli do ogromnej sypialni o złocistobrazowym wystroju. Potężne łóżce miało miękkie materac, złożone okucia oraz śnieżnobiałą pościel. Gdy położyli Pierce'a na czarnej kapie, otworzył oczy i mruknął:

- Dziwnie się czuję.

- Domyślam się - stwierdziła Brianna, po czym podziękowała windziarzowi, który uśmiechnął się do niej i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Spojrzała na Pierce'a. Wpatrywał się w nią swymi czarnymi oczami.

- Pomożesz mi się rozebrać? - poprosił. Brianna poczerwieniała. Straciła nagle swój tupet.

- Ale...

- Wszystko robimy kiedyś po raz pierwszy - powtórzył jej słowa.

Zawahała się. Rzeczywiście był zbyt pijany, by sam zdjąć z siebie ubranie. Zapewne rano nie będzie nawet pamiętał, z kim wrócił do hotelu.

Ściągnęła mu szybko buty i skarpetki. Miał ładne stopy, duże i zadbane. Uśmiechnęła się, obchodząc łóżko, aby go posadzić, potem zaś zdjęła z jego ramion marynarkę i rozpięła koszulę. Zauważyła, że Pierce pachnie drogim mydłem i wodą kolońską. Na śniadym torsie miał gęsty czarny zarost. Dotknąwszy go przypadkiem, poczuła przyjemny dreszczyk podniecenia.

- Margo była dziewczicą - powiedział cicho. - Musiałem namawiać ją, by się rozebrała. I choć kochała mnie do szaleństwa, bronila się początkowo, bo sprawiałem jej ból. - Dotknął delikatnie splonionej twarzy Brianny, westchnął. - Chyba nie ma już dzisiaj dziewic. Szkoda. Margo i ja zawsze byliśmy bardzo konserwatywni. Kochaliśmy się po raz pierwszy dopiero po ślubie.

- Może pan przesunąć rękę? - poprosiła, starając się, by jej głos brzmiał konkretnie i trzeźwo. - O, właśnie tak...

Słuchała zwierzeń Huttona wbrew swojej woli. Zdjąwszy mu koszulę, z trudem oderwała wzrok od jego opalonych, muskularnych ramion i torsu. Nie wyglądał na człowieka, który spędza dużo czasu za biurkiem.

- Masz dopiero dziewiętnaście lat - powiedział i znowu westchnął. - Gdybyś była starsza, wierz mi, zaciągnąłbym cię do łóżka. Jesteś bardzo ładna.

- Dziękuję - odparła, czując, jak serce podchodzi jej do gardła.

- I masz piękne włosy - dodał. - Długie, gęste, złociste. Podniecają mnie, wiesz? - Wplótł w nie palce, zmrużył oczy. - Są takie miękkie...

- Pańskie też są ładne - powiedziała, żeby podtrzymać rozmowę. - Chyba jednak nie powinnam...

- Och, speszylem cię? Wystraszyłem? - Popatrzył na nią przepraszająco.

- Nie o to chodzi - pokręciła głową. - Mówiłam, że nie powinnam... - wskazała z wahaniem pasek u jego spodni - wszystko z pana ściągać.

- Oczywiście - rzekł cicho Pierce. - Ale... przecież mogę ci pomóc.

Przytknął jej dłonie do paska, a potem wpatrywał się w nią z uwagą, gdy po chwili wahania zaczęła rozpinać niezdarnie klamrę.

Uporała się z tym szybko i teraz przyszedł czas na spodnie. Kiedy mu je ściągała, przemknęło jej przez głowę co najmniej sto szokujących, bezwstydných, ekscytujących myśli. Pierce naprawdę był cudowny. Miał jędrne, wysportowane ciało. Mógłby uchodzić za dzieło sztuki. Nigdzie nie sposób było dostrzec śladu tłuszczu czy zwiotczenia mięśni.

O dziwo, nie przeszkadzało jej, że jest pijany. Po alkoholu zachowywał się zresztą całkiem przyzwoicie - nie awanturował się, nie był wulgarny. Raczej rozluźniony, rozweselony, mniej zasadniczy, patrzący na siebie z dystansem. I zdecydowanie bardziej śmiały.

Całe szczęście, że jestem pijany, pomyślał półprzytomnie Hutton. W przeciwnym razie spojrzenie tej słodkiej dziewczyny pobudziłoby go tak mocno, że chyba nie byłby w stanie dłużej się hamować i natychmiast posiadłby ją, nie zważając na jej młody wiek i brak doświadczenia. Tymczasem był zbyt odurzony, by myśleć o fizycznej miłości, zbyt wiotki, by być do takiej miłości gotów. Może i dobrze, że tak się stało? Nawet teraz jego męskość napawała ją lękiem. Uśmiechnął się na myśl, jaką miałaby minę, widząc go w stanie podniecenia.

Do tego, oczywiście, nie mogło dojść. Nigdy i z nikim. Margo umarła - a on razem z nią.

Radosny blask w jego oczach natychmiast przygasł. Pierce z ciężkim westchnieniem opadł znowu na poduszkę.

- Dlaczego musimy umierać? - zapytał znużonym głosem. - Czemu nie można żyć wiecznie?

- Nie wiem - odparła Brianna, otrząsnąwszy się z oszołomienia. Skończyła go rozbierać i nakryła mu nogi kapą, aby pozbyć się pokus. Potem usiadła przy nim na łóżku i dotknęła jego ręki, którą Pierce położył na piersi, jak gdyby chciał ukoić w ten sposób zbolące serce. - Niech się pan teraz prześpi. To najlepiej panu zrobi.

Otworzył oczy, wpatrując się w nią z rozpaczą.

- Ona miała dopiero trzydzieści pięć lat - powiedział. - Mało, prawda?

- Mało.

Ujął jej dłoń i przycisnął do torsu.

- Dziękuję ci, pocieszycielko - uśmiechnął się smutno. - Jesteś nie tylko bardzo piękna, ale też bardzo szlachetna. Zdaje się, że szlachetni rycerze mogą być obojga płci - dodał sennym głosem. - Tylko gdzie twoja zbroja, gdzie lanca, piękna Joanno?

- W kieszeni - zażartowała. - Chce pan zobaczyć?

- Jesteś dla mnie taka dobra - westchnął. - Rozpędzasz czarne chmury nad moją głową.

- Przyglądał się jej przez chwilę. - A ja jestem niewdzięczny.

- Niewdzięczny? - zdziwiła się.

- niesprawiedliwy. Nieuczciwy. Mówię tylko o sobie. I wywieram na ciebie zły wpływ.

- Ma pan na myśli namawianie do alkoholu? To była tylko odrobina whisky - przypomniała mu z niewinną miną.

- Odrobina whisky i męski striptiz - uściślił, a potem uśmiechnął się krzywo. - Przepraszam cię za to. Nie powinienem się tak zachowywać. Gdybym był bardziej trzeźwy, nie stawiałbym cię w tak niezręcznej sytuacji.

- Nic się nie stało. W końcu widziałam ten obraz w Luwrze. Pamięta pan? Nagi mężczyzna... - urwała, chrząknęła znacząco. - Tylko że tamten był dość... wąty. Nie to *co* pan.

Pierce roześmiał się, szczerze rozbawiony.

- Przepraszam. - Odsunęła rękę speszona i stanęła obok łóżka. - Przynieść coś panu, zanim sobie pójdę?

Pokręcił głową, ostrożnie, by nie wzmóc bólu, który zaczynał już rozsadzać mu skronie.

- Dziękuję, nic mi nie trzeba. Wracaj lepiej do internatu.

- Do internatu? Po co?

- Paniąkom z takiej szkoły nie wolno chyba wagarować i odwiedzać w hotelach samotnych mężczyzn.

- Kończę szkołę w przyszłym miesiącu.

- I co potem?

Zmarkotniała na chwilę, ale zaraz odparła pozornie obojętnym tonem:

- Pewnie na lato wrócę do Nassau. A jesienią zacznę studia, choćbym sama miała za nie płacić. I tak poszłam do szkoły o rok później. Nie mam zamiaru dłużej zwlekać.

- Zapłacę za twoje studia, jeśli będzie trzeba - zaproponował nieoczekiwanie Pierce. -
Zwrócisz mi dług, kiedy dostaniesz dyplom i zaczniesz pracę.

- Naprawdę zrobiłby to pan - zapytała zaskoczona - dla obcej osoby?

Hutton zmarszczył lekko brwi, uśmiechnął się z powątpiewaniem.

- Obcej? - powtórzył. - Przecież widziałaś mnie prawie nagiego.

Brianna nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc dodał, by zagłuszyć krępującą ciszę, która zapadła po tych słowach:

- To niezwykle, Brianno. Dotychczas tylko Margo oglądała mnie bez ubrania. - Oczy znowu mu spochmurniały, a na twarzy pojawił się grymas bólu. - Tak, tylko Margo, tylko ona...

Brianna dotknęła delikatnie jego policzka.

- Zazdroszczę jej - powiedziała szczerze. - Musiała być szczęśliwa, że ktoś tak bardzo ją kocha.

- Ona też mnie kochała - rzekł z wysiłkiem.

- Wiem. - Odsunęła rękę z lekkim westchnieniem.

- I przykro mi, że nie umiem panu pomóc.

- Nie wyobrażasz sobie nawet, jak bardzo mi pomogłaś - odparł poważnie. - Tego dnia, gdy spotkałaś mnie w Luwrze, szukałem sposobu, żeby do niej dołączyć.

- Jak to? - Spojrzała na niego przerażona. - Czy chciał pan... ?

- Tak - przerwał jej - uratowałaś mi życie. Zdawałaś sobie z tego sprawę?

Pokręciła głową.

- Wiedziałam tytko, że jest pan bardzo samotny i przygnębiony.

- A ty ukoiliłaś mój ból, Brianno. Dzisiaj również.

- Spojrzał z uwagą w jej zielone oczy. - Nigdy nie zapomnę, że ocaliłaś mnie przed skokiem w przepaść. Pomogę ci, gdy tylko będziesz w potrzebie. Mam dom w Nassau, niedaleko rezydencji Brauera. Gdyby było ci ciężko, zawsze możesz do mnie zapukać.

- Dziękuję. Nie zaszkodzi mieć przyjaciela w Nassau.

- Ja nie mam przyjaciół - westchnął, mrużąc oczy - ani w Nassau, ani nigdzie indziej. A przynajmniej nigdy dotąd nie miałem, bo teraz... - roześmiał się cicho. - To zabawne mieć w moim wieku taką młodą przyjaciółkę.

- Więc będziemy się spotykać?

- Czemu nie? Tylko że ludzie będą gadać.

- Przejmuje się pan?

- Nie, pewnie, że nie. - Ujął jej dłoń i przytknął do swoich ust. - To co, zobaczymy się jeszcze, moja przyjaciółko?

- Na pewno - odparła, patrząc w jego szeroką, śniadą twarz. - Musi pan patrzeć w przyszłość - dodała łagodnie. - Pewnego dnia odzyska pan spokój.

Na pewno ma pan jakieś swoje marzenia, niedokończone plany...

Hutton przeciągnął się z wysiłkiem.

- Marzenia? Przez ostatnie dwa lata opiekowałem się umierającą na raka Margo. Trudno mi się przyzwyczaić, że żyję teraz tylko dla siebie. Nie mam się o kogo troszczyć, to straszne. Chyba że...

- Och nie, niech pan nie patrzy na mnie! Potrafię sama sobie poradzić.

- Jesteś cudowna - stwierdził nieoczekiwanie. -Może naprawdę każdy ma swojego anioła-stróża i ty jesteś moim. Ale odwzajemnię ci się. Wybierz sobie uczelnię, która ci odpowiada, choćby nawet Oksford.

Brianna uśmiechnęła się pogodnie.

- Nie wygląda pan na dobrą wróżkę z bajki.

- Pozory myślą. Ja też nie widziałem nigdy spowiednika z długimi, seksownymi blond włosami.

- Pójdę już - powiedziała, tłumiąc śmiech.

- Dobrze, idź. Bardzo ci dziękuję.

- Nie ma za co. Warto było ocalić pana przed samym sobą. - Ruszyła do wyjścia, jednak zanim wyszła, przystanęła jeszcze przed drzwiami i zapytała już poważniejszym tonem: - Wszystko w porządku, prawda? Nie robi pan niczego...

- Nie. - Podniósł się na łokciu. - Na pewno nie. Możesz być spokojna, Brianno.

- Niech pan na siebie uważa - dodała, ociągając się z wyjściem.

- Ty też.

Otworzyła niepewnie drzwi, westchnęła.

- Wiem, że nie chcesz iść - powiedział, odgadując jej myśli. - Ale to konieczne.

Spojrzała na niego przez ramię dużymi, zdziwionymi oczami.

- Nie rozumiem.

- W krótkim czasie zaskakująco dobrze zdążyliśmy się poznać - wyjaśnił. - Nie zdarzyło mi się dotąd nic podobnego.

- Boi się pan, że... sprawy potoczą się za szybko?

- Nie wiem. Nie rozumiem tego, co się stało, i ty też nie próbuj zrozumieć. Przyjaźń to rzadki dar. Trzeba go po prostu zaakceptować.

- Zgoda - odparła z uśmiechem.

- Zaczekaj chwilę - zatrzymał ją jeszcze. - Podasz mi spodnie?

- A co, idzie pan ze mną?

- Masz poczucie humoru. W tym stanie wpadłbym raczej do szybu windy. Nie, nie idę.

Chcę ci tylko coś dać.

- Jeśli próbuje mi pan zapłacić...

- Przestań. - Wydobyl z portfela wizytówkę. - To mój prywatny numer telefonu w tym hotelu. Gdybyś miała kłopoty i potrzebowała pomocy, zadzwoń.

Brianna wzięła wizytówkę i spojrzała mu w oczy.

- Przepraszam. Źle pana zrozumiałam.

- A za co właściwie miałbym ci płacić? - zapytał ze złością. - Kobiety, o których myślisz, nie ograniczają się do ściągania mężczyźnie spodni. Briannę zamurowało z wrażenia.

- No dobrze, idź już, bezwstydnico - dodał łagodniej, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. - Mówiłaś, że chcesz być bezwstydnicą, ale na razie zbyt łatwo cię speszyć.

- Nieprawda!

- Ach, rozumiem, że miałaś zamiar nie tylko ściągnąć mi spodnie, ale też...

- Niech pan przestanie ze mnie drwić! - przerwała mu wyniośle. - Nie miałam żadnych zamiarów!

Wsunęła wizytówkę do kieszeni spódnicy, odetchnęła głęboko, uśmiechnęła się zimnym uśmiechem.

- Chyba już panu lepiej, bo znów stał się pan opryskliwy. Teraz naprawdę sobie pójdę. Aha - po raz ostatni obejrzała się na niego - czy mam wrócić do „Chez Georges” i przysłać tu tę wymalowaną kobietę, żeby zajęła się pańskim portfelem? Na pewno będzie wiedziała, co robić, kiedy ściągnie panu spodnie.

- A jednak jesteś bezwstydnicą - uśmiechnął się, ubawiony jej komentarzem. - Przynajmniej w słowach.

- Jestem - przyznała. - Pewnego dnia nauczę się być bezwstydną nie tylko w słowach, a wtedy niech się pan ma na baczności!

- No już dobrze - westchnął - przepraszam, jeśli cię uraziłem. Posłuchasz na koniec mojej rady?

- Słucham.

- To raczej prośba niż rada... - Hutton nagle spoważniał i popatrzył na nią z uwagą. - Bądź ostrożna z doborem nauczycieli. Bardzo uważaj.

- Nie musi się pan martwić - powiedziała, odrzucając do tyłu długie włosy. - Mam już kogoś na oku.

- Naprawdę? Kogo? - zainteresował się.

- Pana - odparła dumnie. - Muszę tylko zaczekać, aż czas ukoji pański smutek. Myślę, że warto zaczekać.

Zanim Hutton otrząsnął się z szoku, zamknęła drzwi i wyszła.

Nassau było przepełnione turystami, spacerującymi wzdłuż wybrzeża od nowej dzielnicy Coral Cay aż do centrum. Kolorowe autobusy mknęły po ulicach, ledwo unikając kolizji z rowerami, samochodami i pieszymi. Brianna przechadzała się po targowisku przy Prince George Wharf, oglądając barwne słomkowe nakrycia głowy, torebki i lalki, ale kupiła tylko nowy kapelusz, zrobiony z kruchych konopi i obrębiony purpurowymi kwiatami. Zapłaciwszy za niego, uśmiechnęła się do sprzedawczyni, po czym zaczęła obserwować, jak z zatoki wypływa amerykański transatlantyk.

Zawsze fascynował ją widok wielkich statków. Do portu w Nassau zawijały także często okręty wojenne. Teraz przy końcu nabrzeża cumował niszczyciel z USA. Wracający na okręt marynarze przeciskali się między turystami, głośno komentując urodę pewnej pięknej brunetki, która wsiadała właśnie na jeden ze stateczków z przezroczystym dnem.

Zbliżała się pora obiadu, lecz Brianna nie miała ochoty wracać do domu. Willa Kurta nie była zresztą dla niej domem, co najwyżej domem jej matki i przyrodniego brata. Mały Nicholas miał już rok, był oczkiem w głowie swojej mamy, która dla córki nie miała zbyt wiele czasu.

Z tego też powodu Brianna starała się bywać w domu ojczyma jak najrzadziej. Ale poza tym był jeszcze jeden powód - wspólnik ojczyma, przedsiębiorca z Bliskiego Wschodu, wysoki i szczupły mężczyzna w wieku Pierce'a, o śniadej twarzy z bliznami na jednym policzku, które nadawały mu wyjątkowo niesympatyczny i złowrogi wygląd. Brianna nie знаła go wcześniej, a teraz żałowała, że w ogóle go poznała. Philippe Sabon budził w niej bowiem instynktowny niepokój, co wynikało z faktu, że mężczyzna ten miał podobno obsesję na punkcie młodych, niewinnych kobiet.

Wiedziała o nim, ma się rozumieć, nieco więcej. Sabon był bogatym biurokrata z jakiegoś zacofanego arabskiego kraju. Jego matka była Arabką, a ojciec Francuzem o tureckim rodowodzie. Niewiele wiadano o jego przeszłości. Mówiono, że jest milionerem, gdy jednak opowiadał Briannie o obdartych dzieciach, zebrzących na przedmieściach Bagdadu, odnosiła wrażenie, że zna ich los z własnego doświadczenia. Gdyby nie miał tak fatalnej reputacji, być może czułaby się całkiem dobrze w jego towarzystwie.

Nie licząc się z jej zdaniem, Kurt korzystał z każdej okazji, żeby ich do siebie zbliżyć. Sabon był wobec Brianny zawsze uprzejmy, ale wpatrywał się w nią w taki sposób, że czuła się jeszcze bardziej nieswojo. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że patrzy na nią jak na przedmiot, przedmiot transakcji, i że wszystko traktuje w sposób interesowny.

Rzeczywiście, Sabon był interesowny. Chciał, żeby jej ojczym zainwestował w jakieś przedsięwzięcie w jego ojczystym Kwawi, jednym z wielu małych państweczek położonych nad Zatoką Perską. Był to jedyny w tym rejonie kraj, który nie rozpoczął dotychczas eksploatacji swych zasobów ropy naftowej. Jego władca, sędziwy szejk, pamiętał czasy dominacji Europejczyków i nie pragnął ich powrotu, mimo że Sabon przekonywał go, że nie może ignorować skrajnej nędzy swego narodu. Brianna wiedziała o nim jeszcze i to, że jest właścicielem wyspy u wybrzeży Kwawi, która nazywa się Dżamil, co po arabsku znaczy „piękna”.

Sabon najwyraźniej przekonał Kurta, żeby skontaktował go z konsorcjum naftowym, a nawet zainwestował w wydobycie ropy w jego ubogim kraju. Jako wysokiej rangi urzędnik państwowy (zdaniem wielu Sabon kupił sobie to stanowisko) miał dość władzy, żeby przeforsować każdą transakcję zakupu ziemi.

Kurt, otrzymawszy udziały w powstającym przemyśle wydobywczym, wysłał specjalistów, którzy mieli zbadać potencjał produkcyjny dziewiczych roponośnych terenów.

Było to dobre posunięcie. Eksperci odkryli pod gorącymi piaskami pustyni pokłady gazu i ropy. Brakowało tylko pieniędzy na sprzęt do ich eksploatacji, gdyż spółka naftowa mogła dostarczyć jedynie część niezbędnego kapitału, a skarbiec Kwawi świecił pustkami.

Ostatecznie Kurt i Sabon połączyli siły, przekonując spółkę naftową do swoich planów. Kurt zainwestował w projekt większość posiadanego kapitału, oczekując, że wkrótce stanie się miliarderem. Aby to osiągnąć, musiał mieć jednak w garści Sabona, który dawał mu już do zrozumienia, że jeden z jego bogatych przyjaciół z Bliskiego Wschodu chętnie zawrze z nim kontrakt. Kurt ryzykował stratę zbyt wielu pieniędzy. Spostrzegłszy, że Sabon jest zafascynowany Brianną, postanowił wykorzystać dziewczynę jako przynętę, nie bacząc na jej zgodę.

Po całym Nassau krążyły opowieści o perwersyjnych skłonnościach Sabona. Brianna od początku miała wrażenie, że Arab obmacuje ją wzrokiem, co zdawało się potwierdzać niezwykle plotki. Starła się być wobec niego chłodna i zdystansowana, lecz jej obojętność tylko go podniecała. Bała się go, nie wiedziała, czego może się po nim spodziewać. Przerażało ją przenikliwe spojrzenie jego ciemnych oczu.

Może jednak dała się zwieść, wpadła w pułapkę uprzedzeń? Może niesłusznie widziała w nim brutala i dzikusa? Właściwie poza spojrzieniami Sabon nie zrobił nic, co mogłoby rzeczywiście wprowadzić ją w zakłopotanie. Był dystyngowany, uprzejmy, czarujący. Inny głos w jej sercu podpowiadał Briannie, że ten mężczyzna nie zasługuje być może na swą fatalną reputację. Mówili o nim, że jest uwodzicielem - ale Brianna tego nie zauważała. Mówili, że to gbur i egoista - ona widziała w nim raczej samotnika. To prawda, wpadła mu w oko, obserwował ją często i z wyraźną fascynacją, lecz na zdrowy rozum i w tym zachowaniu nie było nic niestosownego. Może była zbyt niedoświadczona, by dostrzec jego prawdziwe oblicze?

Najbardziej niepokoiło ją to, że Sabon odnosi się ponoć wrogo do Pierce'a Huttona. Ten ostatni skrytykował go publicznie za to, że popiera kraj, potępiany przez społeczność międzynarodową za swą agresywną politykę. Pierce był pewien, że Sabon próbuje w ten sposób zyskać polityczne poparcie w regionie. Że pragnie bogactwa i władzy, dążąc do osiągnięcia celu wszelkimi dostępnymi metodami. Brianna natomiast uznała, że ten tajemniczy Arab przypomina pod tym względem Kurta Brauera, który w pogoni za pieniędzmi również pozbawiony był jakichkolwiek zahamowań. Jego dochody pochodziły zresztą z podejrzanych źródeł. Właściwie nie pracował, choć miał coś wspólnego z wydobywaniem ropy. Tyle że ludzie, którzy go odwiedzali, nie wyglądali bynajmniej na nafcziarzy. Raczej na zawodowych morderców.

Tak czy inaczej, Briannę denerwowała ciągła obecność Philippe'a Sabona w willi ojczyima i zainteresowanie, jakie jej okazywał, toteż starała się przebywać jak najczęściej poza domem. Matka uważała, że przesadnie się przejmuję umizgami starszego od siebie mężczyzny, a Kurta nie obchodziło, co robi jego wspólnik, dopóki czerpał z tego finansowe korzyści. W ten oto sposób Brianna nie miała w eleganckiej rezydencji nad zatoką żadnego sojusznika.

Liczyła na to, że mógłby nim zostać Pierce Hutton, lecz ten bardzo ją rozczarował. Odkąd wrócił na wyspę trzy miesiące wcześniej, widziała go tylko raz, poprzedniego wieczoru, będąc z Kurtem i matką na wystawnym przyjęciu. Jak zdążyła się zorientować, Pierce prowadził energicznie swoje interesy. Wyglądał o wiele lepiej niż w Paryżu, ale w oczach nadal miał ten sam smutek. Na widok Brianny wyraźnie się zmieszał. Gdy zaś podeszła do niego z uśmiechem, spojrzął na nią wrogo i odwrócił się plecami.

Brianna poczuła się tym dotknięta. Uznała, że zapewne tylko po pijanemu uważał ją za przyjaciółkę. Wzięła to sobie do serca i unikała go potem przez cały wieczór. I pewnie dobrze się złożyło, gdyż Sabon nie znosił Pierce'a, a Kurt nie chciał go drażnić.

Teraz, przyglądając się tłumom na Prince George Wharf, Brianna uświadomiła sobie, że z powodu zachowania Huttona nie mogła spać prawie całą noc. Czy to możliwe, żeby tak bardzo się przejęła jego oziębłością? A jednak - gnębiło ją to i odbierało dobry humor.

Cóż, była głupia, wierząc we wszystko, co mówił. Głupia i łatwowierna. Przecież wtedy, w paryskim hotelu, Pierce miał w sobie pół butelki whisky. Nie panował nad słowami, a ona te słowa spijała z jego ust. Ohyda.

Niestety, jak na dwudziestolatkę okazała się nader naiwna. I pomyśleć, że o nim marzyła i do niego wzdychała, że jeszcze niedawno wspominała z rozmarzeniem swoje poprzednie urodziny, w trakcie których spotkała tego mężczyznę i które dzięki temu okazały się tak udane.

Nawiasem mówiąc, tego roku nie było już tak przyjemnie. Od matki i ojczyma dostała naszyjnik z pereł, a Cara Harvey przysłała jej chustę z Portugalii, gdzie spędzała wakacje z rodzicami i gdzie miała problemy z pewnym arystokratą, który sądził, że próbuje uwieść jego młodszego brata. Jeśli nie liczyć prezentu od Cary, dzień urodzin minął Briannie bez żadnych atrakcji, chyba że za taką uznać propozycję Sabona, który chciał urządzić specjalnie dla niej przyjęcie na jachcie. Na szczęście szybko znalazła wymówkę. Bała się, że Sabon może ją porwać i wywieźć do jakiegoś haremu. Słyszała o nim podobne plotki.

Wiatr rozwiewał jej długie jasne włosy, kiedy szła wzdłuż nabrzeża w różowej jedwabnej bluzce, białych bermudach i takich sandałach. Wzięła ze sobą plecak, aby nie taszczyć torebki. Czowała się młoda i pełna energii. Gdyby nie sytuacja w domu, Nassau byłoby dla niej wymarzonym miejscem. Pięknym i fascynującym, pełnym wciąż nowych wyzwań.

Obserwowała właśnie kolejny biały transatlantyk, ciągnięty z portu na redę przez dwa holowniki, gdy uświadomiła sobie nagle, że ktoś za nią stoi. Odwróciła się szybko i zobaczyła Pierce'a. Był w białych spodniach i żółtej koszuli. Ręce trzymał w kieszeniach. Jego ciemne oczy ciskały gromy, jak wczoraj, ale tym razem dostrzegła w nich także coś jeszcze: tłumioną czułość oraz dziwne skupienie.

- Dzień dobry, panie Hutton - powiedziała uprzejmie, ze zdawkowym uśmiechem, jakim obdarzała zwykle nieznajomych. - Przyszedł pan popatrzeć na statki?

- Odprowadziłem pewnego biznesmena - oznajmił, wskazując na odpływający transatlantyk. - Właśnie się z nim pożegnałem.

Nie dodał nic więcej, a ona nie wiedziała, co odpowiedzieć. Skinęła więc tylko nieporadnie głową, odwróciła się i zaczęła iść wzdłuż nabrzeża. Na przyjęciu Hutton dał jej jasno do zrozumienia, że nie chce mieć z nią nic wspólnego. Teraz nie miał ochoty na rozmowę. Trudno, trzeba się z tym pogodzić.

- Stój!

- Słucham? - Zatrzymała się, nie odwracając głowy.

- Przestań się tak zachowywać, Brianno! Zaskoczył ją ten porywczy, gwałtowny ton. Poczula się zakłopotana. Mijali ich turyści, rozmawiając z przejęciem i żywo gestykulując, w pobliżu właściciel jednej z łodzi spacerowych śpiewał rzewną pieśń, mając nadzieję przyciągnąć tym klientów, lecz ona nie słyszała żadnego z tych dźwięków. Słyszała jedynie bicie własnego serca i zastanawiała się gorączkowo, dlaczego Pierce ją zatrzymał.

Poczula na plecach jego ciepły oddech, po chwili usłyszała jakby zduszone, cicho wypowiedane słowa:

- Próbowałem zapomnieć o Paryżu...

- Jak Humphrey Bogart - odparła cierpko.

- Co? - zdziwił się. - Ach, tak! Waśnie. - Pokręcił głową i zaśmiał się krótko. Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz wówczas ona odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

- Nic nie jest mi pan winien - oznajmiła. - Nie potrzebuję pańskiej pomocy ani opieki.

- Na pewno? - Na jego ustach dostrzegła cień uśmiechu.

- Na pewno. Świetnie sobie radzę. Kurt chętnie opłaci mi studia, bylebym tylko zesłała mu z oczu.

- Słyszałem co innego - rzekł Pierce, marszcząc brwi. - Podobno w trosce o rodzinny interes chce cię wydać za swego nowego współnika.

- Doprawdy? - Brianna pobladła, ale nawet nie mrugnęła okiem.

- Nie udawaj, że o tym nie wiesz - powiedział zniecierpliwiony. - Skoro ja wiem, to ty tym bardziej.

- A skąd pan o tym wie, panie Hutton?

- Wiem o wszystkim, co dzieje się w Nassau. Krew na moment zastygła w jej żyłach. Kurt nie wspominał, że ma wobec niej takie plany, ale skoro mówiono o tym na wyspie, mogło faktycznie tak być.

- Potrafię o siebie zadbać w każdej sytuacji - stwierdziła pewnym głosem, prostując przy tym dumnie szczupłe ramiona.

- W wieku dziewiętnastu lat?

- Dwudziestu - poprawiła go natychmiast. - W tym tygodniu miałam urodziny.

- W porządku, może nie jesteś już dzieckiem, I może na swój sposób potrafisz o siebie zadbać. Ale wypowiadając wojnę Brauerowi, a zwłaszcza Sabonowi, porywasz się z motyką na słońce.

- Mówi to pan na podstawie własnego doświadczenia?

Pierce uśmiechnął się, unosząc brwi. Zapomniał już, jaki cięty języczek ma ta piękna dziewczyna. Na wszelki wypadek wolał jej nie mówić, że zapobiegł kiedyś nielegalnej transakcji, której Brauer próbował dokonać z grupą terrorystów, zaopatrując ich w broń w zamian za akty sabotażu wobec konkurencji. Wiedział o tej sprawie tylko Tate Winthrop, jego szef ochrony, pracujący kiedyś dla rządu. Był to pełnej krwi Indianin z plemienia Siuksów, człowiek o tajemniczej przeszłości, mający przyjaciół wśród najwyższych urzędników w Waszyngtonie. Posiadał kontakty, o jakich Hutton mógł tylko marzyć.

- Nie powiedziałem, że nie jestem w stanie pokonać Kurta Brauera. Mówiłem, że tobie może być ciężko. Ale zostawmy Kurta. Powiedz raczej, dokąd się tak spieszysz?

- Och, postanowiłam poleżeć trochę na plaży. Kurt jest właścicielem hotelu „Brittanny Bay”. Mogę tam ze wszystkiego korzystać, właśnie idę po kostium kąpielowy, który trzymam u niego w biurze.

- Zapraszam do siebie. Mam prywatną plażę. Możesz tam popływać.

Pamiętając, jak Hutton potraktował ją poprzedniego wieczoru, Brianna odparła z wahaniem:

- Ale przecież panu nie zależy na moim towarzystwie.

- Nie zależy - przyznał bez namysłu. - Widzę jednak, że potrzebujesz pomocy. I że, niestety, możesz liczyć wyłącznie na mnie.

- Wielkie dzięki! - odparła, czerwieniąc się ze złości.

- Nie gniewaj się, Brianno.

- Po tym, co usłyszałam?

- Przecież wiesz - dodał stłumionym głosem, patrząc jej w oczy z cichą rezygnacją - że mam tylko ciebie.

Zaszokowały ją te słowa. Po raz kolejny dała się zaskoczyć Pierce'owi Huttonowi i po raz kolejny uznała, że jest on przedziwnym mężczyzną. Mówił o poważnych sprawach w najbardziej zaskakujących momentach.

- Tak, mam tylko ciebie - powtórzył z westchnieniem, wykorzystując jej milczenie. - Wspominałem ci już, że nie mam rodziny. Byłem jedynakiem i dlatego zawsze myślałem, że kiedy dorosnę, będę miał mnóstwo dzieci. Kiedy jednak Margo poroniła, nie mogła już potem zająć się ciążą.

- A rodzina? - zapytała Brianna.

- Mam dalekich kuzynów w Grecji, Francji i Argentynie. I żadnych przyjaciół. - Wsunął ręce do kieszeni spodni, wpatrzony w turkusowe wody zatoki. - Powiedz mi, Brianno,

ale tak szczerze, czy naprawdę sądzisz, że ktokolwiek zauważyłby moje zniknięcie tamtej nocy, gdy wypłem za dużo? Czy ktoś by się przejął, gdybym wtedy zginął?

- Ja na pewno.

- Wiem - pokiwał głową. - I wcale mnie to nie pociesza.

- Dziwny pan jest, panie Hutton.

- Raczej rozsądny. Jesteś dla mnie zbyt młoda, Brianno.

- To raczej pan jest za stary - odparta z uśmiechem. - Ale czy to naprawdę ma znaczenie?

- Chyba nie. - Spojrzał na nią z lekkim rozbawieniem. - W każdym razie nie dzisiaj. Chodź, mam tu samochód. Pojedziemy na tę plażę.

ROZDZIAŁ 3

Do willi Pierce'a wjeżdżało się przez wysoką żelazną bramę, otwieraną elektronicznie za pomocą pilota. Wzdłuż brukowanego podjazdu rosły strzeliste sosny o długich igłach, obsypane kwieciami ozdobne drzewa, barwne hibiskusy i krzewy o dużych okrągłych liściach, które służyły podobno niewolnikom jako talerze w czasach najazdów piratów.

W budzie obok głównego budynku mieszkały dwa ogromne owczarki niemieckie.

- To Król i Tatar - powiedział Pierce, wskazując z samochodu na psy za drucianą siatką. - Nocą pilnują terenu posiadłości. Nie chciałbym się na nie natknąć, kiedy są spuszczone.

Brianna uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Rozumiem, że zważywszy na pańskie dochody, musi się pan zabezpieczać przed intruzami na wszelkie sposoby.

- Właśnie. Te owczarki to oczywiście nie wszystko. Mam świetnego szefa ochrony. Biały Dom takiego nie ma. - Spojrzał na nią. - Pewnego dnia będę ci go musiał przedstawić. To Siuks.

- Prawdziwy czerwonoskóry Indianin? - zapytała zdumiona.

- Mów raczej „rdzenny Amerykanin” - poprawił ją z uśmiechem. - Nie nazywaj go nigdy Indianinem, nie lubi tego. Mówi zresztą płynnie pięcioma językami i jest dyplomowanym prawnikiem.

- Niezwykłe jak na ochroniarza.

- Prawda? Pracuje dla mnie od trzech lat, a nadal jeszcze nie wszystko o nim wiem.

Pierce zatrzymał samochód przed domem. Gdy pomagał Briannie wysiąść, w drzwiach pojawił się śniady mężczyzna w średnim wieku i z uśmiechem zajął jego miejsce za kierownicą.

- To Artur, mój kierowca - przedstawił go Pierce.

- Odstawi samochód do garażu. A to jest Mary - dodał, uśmiechając się do ładnej Murzynki, która otworzyła drzwi. - Odziedziczyłem ją razem z domem. Nikt nie przyrządza ostryg tak jak ona.

- Z wyjątkiem mojej mamy - sprostowała Mary.

- Dzień dobry, panienko.

- Dzień dobry - odparła Brianna z uśmiechem.

- Dzwonił ktoś do mnie? - zapytał Pierce.

- Tylko pan Winthrop. Ale powiedział, że to nic pilnego.

- W porządku. Będziemy przy basenie.

- Dobrze, proszę pana.

Mary zniknęła za dużymi drewnianymi drzwiami, a wówczas Pierce poprowadził Briannę pasażem ocienionym kamiennymi łukami do ogromnego basenu, za którym widoczny był ocean.

Przysłoniwszy oczy ręką, spojrzała w kierunku wysuniętego w morze cypla. Kołysały się tam na wietrze smukłe sosny, a przy brzegu stały zakotwiczone dwie żaglówki.

- Bardzo tu spokojnie - zauważyła. - Uroczo, cicho...

- Dlatego lubię to miejsce.

Odwróciła się do niego. Wskazał jej miękkie krzesło przy białym stoliku z parasolem.

- Spędza pan dużo czasu w basenie? - spytała zaintrygowana, zajmując miejsce w cieniu.

- Prawdę mówiąc, nie za wiele - odpowiedział jej z lekkim rozbawieniem.

- Nie umie pan pływać?

- Owszem, umiem, ale nie sprawia mi to szczególnej przyjemności. Lubię za to się opalać. Mam wtedy czas na przemyślenie różnych spraw. Bo tak poza tym to mam sporo pracy i niezbyt wiele czasu na rozrywki. - Przerwał i skinął na Mary, która przyniosła właśnie tacę z dwoma mlecznymi drinkami w wysokich szklankach oraz talerz ciasteczek. Położyła ją z uśmiechem na stoliku i odeszła, a wtedy Pierce odezwał się znowu: - Mary piecze dobre ciastka. Spróbuj.

Brianny nie trzeba było namawiać.

- Są wspaniałe! - rzekła z zachwytem, odgryzłszy pierwszy kęs.

- Mary mówi, że dodaje do nich specjalnych przypraw. To jej kulinarna tajemnica.

Brianna sięgnęła po drinka, by po chwili stwierdzić z zaskoczeniem, że nie zawiera on alkoholu. Pierce zauważył jej zdziwienie i natychmiast wygłosił ironiczny komentarz:

- Nie częstuję alkoholem nieletnich, nawet w Nassau.

- Nie jestem nieletnia.

- Nie masz jeszcze dwudziestu jeden lat - odparł, mierząc badawczym spojrzeniem jej dziewczęcą figurę i piękną twarz.

- Ale skończyłam już dwadzieścia. Nie jestem nastolatką.

- W każdym razie jesteś bardzo młoda.

- I tak za długo trzymano mnie pod kloszem - westchnęła. - A pan - przyjrzała mu się uważnie - ile właściwie ma lat.

- Więcej niż ty.

- Dużo więcej? - pytała dalej, nie przestając przesuwać śmiałym wzrokiem po jego szczupłej, wysportowanej sylwetce. - Wygląda pan bardzo młodo.

- Powiedzmy, że jestem prawie dwa razy starszy od ciebie.

- Nie dałabym panu tyle - powiedziała z rozbijającą szczerością. Rzeczywiście, Pierce sprawiał wrażenie człowieka młodszego co najmniej o dziesięć lat. Miał zaledwie lekko siwiejące skronie, płaski brzuch, nieliczne zmarszczki. I młodzieńczy, figlarny uśmiech, zwłaszcza gdy przyjmował ten flirtująco-kpiący ton. Uśmiechnęła się do niego tęsknie. - I to z tego powodu nie pomyślał pan nigdy o tym, żeby mnie uwieść?

- Słucham? - Uniósł brwi ze zdziwienia.

Ton jego głosu zniechęciłby każdą inną kobietę, ale Brianna nie zrażała się tak łatwo. Od początku wiedziała, że tylko ten mężczyzna może zająć miejsce w jej sercu i w swym dziewczęcym idealizmie była gotowa zrobić wszystko, by zdobyć miłość swego ideału.

- Rozmawialiśmy o tym w Paryżu - przypomniała mu. - Oczywiście, był pan wtedy zbyt pijany, żeby zapamiętać moje słowa, więc teraz je powtórzę. Obiecałam wówczas, że będę na pana czekać. Dotrzymałam słowa.

- Jestem wzruszony.

- Mimo licznych pokus - dodała z wielomównym uśmiechem.

- Jakich znowu pokus? - zapytał bez zastanowienia Pierce, wyzbywając się w jednej chwili kpiącego tonu.

- Był na przykład w mojej klasie pewien bardzo przystojny Portugalczyk - zaczęła opowiadać Brianna. - Niezwykle kulturalny, dobrze wychowany chłopak z arystokratycznej rodziny, trochę od nas starszy. Wszystkie za nim szalałyśmy, ale on miał w swoim kraju narzeczoną. - Pokręciła głową, westchnęła. -Biedna Cara...

- Cara?

- Moja przyjaciółka z Teksasu. Spędzała tego lata wakacje z młodszą siostrą w Portugalii i niech pan zgadnie, w czyim bracie się zadurzyła?

- W rodzonym bracie twojego arystokraty?

- Oczywiście. Doprowadziło to między nimi do otwartej wojny. Zresztą Cara nigdy nie przepadała za Raulem. Nie potrafili się dogadać.

- Ale ty go lubiłaś?

- Ja tak. - Skinęła głową z uśmiechem. - Nawet bardzo. Był dla mnie taki miły. Prawdziwy dżentelmen.

Hutton zaśmiał się ironicznie.

- Co pana tak rozbawiło? - zapytała.

Nie odpowiedział na jej pytanie. Zamiast tego spoważniał, popatrzył na nią tajemniczym wzrokiem i zapytał cicho; - Czy uważasz, że ja... też jestem miły?

- Miły? - Brianna udała zdumienie. - Pan? Przypomina pan raczej barakudę!

Hutton wybuchnął głośnym, tubalnym śmiechem. - Jesteś szczerą aż do bólu. - Staram się mówić to, co myślę. - Westchnęła, spoglądając na szklanę, po czym spytała, zmieniając temat: - Co pan wie o Philippie Sabonie?

- A dlaczego pytasz?

- Ten człowiek mnie prześladowuje. Chciał mi urządzić przyjęcie urodzinowe na swoim jachcie, a mojemu ojczymowi oczywiście bardzo się ten pomysł spodobał. Odmówiłam, więc teraz się do mnie nie odzywa. Słyszałam jednak, jak ze sobą rozmawiali, i jestem niespokojna. Mówił pan...

- Mówiłem tylko to, co słyszałem - przerwał jej Pierce. Zakręcił kostką lodu w szklance i pociągnął powoli kolejny łyk mlecznego napoju. Wiedział doskonale, jakie zamiary ma Sabon, lecz postanowił nie wtajemniczać w to młodzieńczej Brianny. - Podobno Sabon poluje na dziewice - stwierdził tylko lakonicznie lekkim, jakby żartobliwym tonem. - Nie powiem ci, co z nimi robi, bo jesteś na to za młoda. Ale tobie nie grozi, że zostaniesz jego ofiarą. Już nie.

Uśmiechnęła się, wdzięczna za jego troskliwość.

- Rozumiem, że wypożyczy mi pan na parę dni swojego szefa ochrony, żeby mnie strzegł?

- Sam się tobą zajmę - odparł Pierce tym razem poważnym tonem. Przez chwilę patrzył w jej dziewczęcą twarz, wreszcie wyjaśnił: - Mówię serio, Brianno. Możesz tu zostać, dopóki Sabon nie wyjedzie. Podobno grozi mu napad zbrojny ze strony sąsiedniego kraju, w którym nie ma ropy naftowej. Niedługo opuści Nassau.

- To samo twierdzi mój ojczym - przyznała. - Doprowadził się prawie do bankructwa, lokując wszystkie pieniądze w przemyśle naftowym Kwawi, a w dodatku zachęcił do tego innych inwestorów. Jeżeli mu się nie powiedzie, będzie sprzedawał ołówki na rogu ulicy.

- Albo łowił ostrygi.

- To akurat mało prawdopodobne. Nie umie pływać.

- Cóż, zrobił fatalny interes - pokiwał głową Hutton. - Zawarł pakt z samym diabłem.

Brianna poczuła na plecach dreszcz grozy.

- Nie rozumiem.

- I dobrze, że nie rozumiesz. Czy on... oczekuje od ciebie współpracy?

- Po moim trupie! - odparła gwałtownie. Pierce trwał przez chwilę w milczeniu, głęboko zamyślony. Zdawało się, że się waha, czy powinien pozwolić, by ta lekka, pełna przekomarzań i żarcików rozmowa zmieniła charakter na bardziej poważny; że nie wie, czy Brianna jest dla takiej rozmowy wystarczająco „dorosłym” partnerem.

- Jak to się stało, że Brauer został twoim ojczymem? - zapytał po dłuższej chwili.

- Zwyczajnie. - Brianna wzruszyła ramionami. - Moja matka jest piękną kobietą. Ja stanowię tylko marną jej kopię. Sprzedawała biżuterię w ekskluzywnym sklepie, gdzie Brauer kupował akurat prezent dla jakiejś przyjaciółki. Podobno zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. - Znów wzruszyła ramionami, wydeła wargi. - Sama nie wiem. Mój ojciec umarł zaledwie kilka miesięcy wcześniej i mama czuła się bardzo samotna. Ale chyba nie na tyle, żeby zostać kochanką bogacza - dodała z bladym uśmiechem. - Teraz mają już syna i mama nie widzi poza nim świata.

- Czy Brauer dobrze ją traktuje?

- Nie - odparta szczerze. - Mama się go boi. Nie wiem, czy ją kiedykolwiek uderzył, ale ona zachowuje się nerwowo w jego obecności. Musi myśleć o dziecku, więc nie wdaje się z nim w sprzeczki, choć' na początku małżeństwa próbowała.

- Rozmawia z tobą na jego temat?

- Nigdy. - Brianna pokręciła głową. - Kurt zawsze dba o to, żebym nie zostawała z matką sama. - Napotkała spojrzenie Pierce'a i uśmiechnęła się smutno. - Ponura historia, prawda? Od początku nie darzyłam go sympatią, ale zdaniem mamy wynikało to z faktu, że czułam się dotknięta jej powtórny zamążpójściem po śmierci ojca.

- Brauer nie przypomina księcia z bajki - stwierdził cierpko Pierce - kogoś, dla kogo można by było zapomnieć tak szybko o pierwszym mężu.

- Ja też tego nie rozumiem. Ale pan chyba wie coś na jego temat, prawda? - spytała, wpatrując się uważnie w twarz Huttona.

- Wiem, że jest przebiegły i podstępny. I że użyje wszelkich metod, żeby się wzbogacić - powiedział stanowczo. - Rywalizujemy już od pewnego czasu. Kilka lat temu stracił przeze mnie sporą sumę i nigdy mi tego nie zapomniał. Figuruje na czele listy jego wrogów.

- Mogę zapytać, w jaki sposób pozbawił go pan pieniędzy?

Pierce nie miał ochoty o tym opowiadać, po chwili wahania uznał jednak, że Brianna powinna znać prawdę o swoim ojczymie.

- Próbował zwerbować grupę terrorystów, żeby zaatakowali platformę wiertniczą i spowodowali katastrofę ekologiczną - wyjaśnił krótko.

- Dlaczego? - zapytała wstrząśnięta.

- Nie wiem dokładnie. Kurt utrzymuje swoje transakcje w tajemnicy. Słyszałem tylko, że któryś z jego wrogów podobno mu groził i Kurt doszedł do wniosku, że zdyskredytuje go, udowadniając, jak wielkie szkody wyrządza środowisku naturalnemu. Mogło mu się to udać.

- Gdyby nie pan?

- To Tate Winthrop pomieszał mu szyki, mój szef ochrony.

- Rdzenny Amerykanin.

- Tak - Pierce uśmiechnął się pod nosem. - On wszędzie ma kontakty. Brauer nigdy się nie dowiedział, kto mu zaszkodził, ale z pewnością podejrzewa, że to ja maczałem w tym palce.

- Konkurujecie ze sobą?

- Niezupełnie. - Pierce uśmiechnął się tajemniczo, dopijając drinka. - Działam, jak on, w branży naftowej, ale zajmuję się głównie budową platform wiertniczych, podczas gdy Kurta interesuje transport ropy. Ma ze mną do wyrównania pewne rachunki i słyszałem nawet o jego zawołanych pogroźkach pod adresem mojej nowej inwestycji. Nie mogę sobie pozwolić na katastrofę ekologiczną. Wydałem zbyt dużo pieniędzy na zabezpieczenie tej platformy przed wyciekami ropy. Na wszelki wypadek posłałem więc Winthropa i kilku ludzi, żeby jej pilnowali, kiedy zaczną funkcjonować.

- Gdzie ona się znajduje?

- Na Morzu Kaspijskim. Jest tam mnóstwo ropy, ale ze względu na niestabilną sytuację na Bliskim Wschodzie mało kto chce inwestować duże pieniądze w jej wydobycie. Trzeba by ją przesyłać rurociągiem przez terytorium wrogiego kraju albo przewozić tankowcami okrężną drogą. Dążymy jednak do zawarcia kontraktu, który, przy odrobinie szczęścia, będzie dla wszystkich korzystny.

- Bardzo to wszystko skomplikowane.

- Owszem. Gdzie polityka łączy się z możliwością krociowych zysków, zawsze jest masa komplikacji. Są jednak inne wartości poza polityką i zyskiem.

- Na przykład?

- Na przykład środowisko naturalne i jego ochrona. Nie chcę ryzykować wycieku ropy, nie chcę narażać nikogo na katastrofę. I to nie tylko dlatego, że ucierpiałyby na tym reputacja firmy. Nie znoszę ludzi, którzy dla zysku gotowi są szkodzić naszej planecie.

- Nic dziwnego, że pan mi się podoba - stwierdziła z uśmiechem Brianna.

Spojrzał z sympatią w jej rozpromienioną twarz. Ona też mu się podobała. Ale, oczywiście, musiał się kontrolować. Ta śliczna długowłosa blondynka miała wszelkie powaby dorosłej, dojrzałej kobiety, lecz przecież w sercu, w duszy była jeszcze dzieckiem.

- Nie jesz ciasteczek - zauważył. - Nie lubisz słodczy?

- Bardzo lubię. Ale nie jestem głodna - wyznała, niezadowolona, że zmienił ton i znów traktuje ją jak podlotka. - Wie pan, martwię się ciągle tym, co knuje Sabon.

- Bądź spokojna. Zajmę się nim.

- Niech pan uważa. On jest bardzo bogaty. Ma nawet własną wyspę gdzieś u wybrzeży swojego kraju. Nazywa się Dzamil.

- Ja mam dwie wyspy - odparł z uśmiechem Pierce. - Jedną u wybrzeży Południowej Karoliny, a drugą tutaj, w archipelagu Bahamów.

- Naprawdę? - Pochyliła się ku niemu podekscytowana. - Czy są zamieszkałe?

- Nie są ani zamieszkałe, ani zagospodarowane. Zależy mi na tym, żeby zachować na nich dziką przyrodę. - Uśmiechnął się na widok jej zachwyconego wyrazu twarzy. - Jeśli chcesz, kiedyś cię tam zabiorę.

- Bardzo bym chciała - odparła z tęsknym westchnieniem.

- Ja też - wyznał, przyglądając jej się z namysłem. Po chwili odstawił na stół pustą szklankę i poprosił: - Opowiedz mi teraz o swoim ojcu. Czym się zajmował?

- Pracował w dużym banku, w dziale kredytów. Nie był przystojny ani szczególnie przebojowy, ale miał dobre serce i bardzo mnie kochał. - Oczy Brianny posmutniały nagle i zwilgotniały. - Matka nigdy nie miała dla mnie czasu, nawet kiedy była w domu. Pracowała przez sześć dni w tygodniu w tym swoim sklepie i zawsze twierdziła, że ojciec nie zapewnia jej dobrobytu, na jaki zasługuje. Uważała go za niedorajdę, ciągle mu to powtarzała, a on... - skrzywiła się, westchnęła ciężko - a on tak bardzo się starał. Pewnego dnia, tuż po obiedzie, zadzwonili do nas z banku i powiedzieli, że ojciec dostał ataku serca, gdy szedł na rozmowę z wiceprezesem. Nie udało się go uratować.

- Przykro mi. Musiałaś to bardzo przeżyć.

- Bardzo - przytaknęła. - A matka nie chodziła nawet w żałobie. Trzy miesiące później poznała Kurta i nagle przestałam mieć rodzinę.

Milczeli przez dłuższą chwilę, po czym Pierce powiedział:

- Ja w ogóle nie miałem rodziny. Moi rodzice zginęli w katastrofie lotniczej, kiedy chodziłem jeszcze do szkoły. Zamieszkałem u dziadka w Ameryce. Miał flotyllę tankowców i niewielką firmę budowlaną. Pomagałem najpierw przy wznoszeniu domów. Uczyłem się tego od podstaw. Dziadek nigdy mnie nie rozpieszczał, ale kochał mnie na swój sposób. Był

Grekiem i pozostał nim nawet wtedy, gdy otrzymał amerykańskie obywatelstwo. - Zaśmiał się na wspomnienie gburowatego staruszka. - Uwielbiałem jego grubiańskie maniery.

- Ale pan nie ma greckiego nazwiska - zauważyła Brianna.

- Dziadek nazywał się Pevros, lecz zmienił nazwisko na Hutton, bo takie nosiła pewna bogata rodzina, o której przeczytał w Stanach. Chciał być w stu procentach Amerykaninem. Ja mam nadal francuskie obywatelstwo, choć połowę życia spędziłem po drugiej stronie oceanu.

- Może i pański dziadek miał niewielką firmę - mruknęła Brianna - ale za to pan działa na wielką skalę.

- Fakt, udało mi się dobrze zainwestować. Zarobiłem pierwsze pieniądze, a potem wszystko poszło gładko. Sprzedałem tankowce, założyłem przedsiębiorstwo, które stało się fundamentem mojego imperium. Ojciec Margo miał w Europie sieć zakładów produkujących materiały budowlane. Fuzji naszych firm zawdzięczałem swoje małżeństwo i dziesięć najszcześniejszych lat życia. - Pierce zamilkł nagle, jego twarz stężała. - Myślałem, że to szczęście będzie trwać wiecznie i że Margo jest nieśmiertelna...

Brianna dotknęła instynktownie jego wielkiej dłoni.

- Nadal brakuje mi taty - powiedziała cicho. - Potrafię sobie wyobrazić, jak panu musi być ciężko.

Dłoń Pierce'a zeszywniała, ale po chwili ujął rękę Brianny w mocnym, ciepłym uścisku.

- Nigdy nie zapomnę, dziewczyno, że ocaliłaś mi życie - powiedział, patrząc jej głęboko w oczy. - Gdybyś nie spotkała mnie w Luwrze, gdybyś tamtej nocy w Paryżu nie odprowadziła mnie do hotelu, nie wiem, co by się stało. A właściwie wiem. Wiem bardzo dobrze.

- Ja też wiem - mruknęła oschle. - Poszedłby pan do łóżka z tą wystrzałową blondyną, która polowała na pański portfel!

Pierce zaśmiał się krótko.

- Możliwe. Byłem zbyt pijany, żeby wiedzieć, co robię, - Jego wzrok nabrał łagodniejszego wyrazu. - Tak czy inaczej, dobrze, że się tam zjawiłaś.

- Ja też się cieszę - uśmiechnęła się i wplotła palce w jego dłoń.

Oczy Pierce'a pociemniały. Wciąż jakby od niechcenia muskał kciukiem jej skórę, jednak w tym z pozoru niewinnym geście Brianna dostrzegła nagle zmysłową pieszczotę i natychmiast przeszedł ją dreszcz. Nie cofnęła jednak dłoni. Chciała czuć jego dotyk. Chciała, by ją pieścił.

Dostrzegłszy jej reakcję, Pierce zaczął zataczać palcem coraz szersze kręgi. Od śmierci Margo unikał kobiet i z pewnością nie powinien był uwodzić tej niewinnej istoty. Ale gdy patrzyła na niego tymi łagodnymi, zniewalającymi oczami, gdy drżała pod dotykiem jego ręki, czuł się jak król, jak władca, jak ten, który zdolny jest dawać rozkosz i wprowadzać w świat zmysłów. Każdy mężczyzna uległby takiej pokusie.

Brianna wstrzymała oddech.

- Czy mógłby pan przestać? - zapytała niepewnie po chwili milczenia.

- Dlaczego mam przestać?

- Bo dłużej tego nie wytrzymam. W pewnym miejscu strasznie mnie boli.

Ścisnął mocniej jej delikatną dłoń. Nie zastanawiał się już, czy postępuje właściwie. On także odczuwał ból - i musiał go uśmierzyć.

- A gdybym ci powiedział, że mam podobny problem? - oznajmił głucho, przeszywając ją rozpalonym spojrzeniem. - Że mnie też boli?

- W tym samym miejscu? - zapytała bez ogródek.

- Nie wiem, gdzie boli ciebie.

- Ja też nie wiem dokładnie. W brzuchu... może niżej - mówiła, czując, że zasycha jej w gardle, -Piersi... bolą mnie też piersi.

Pierce jęknął cicho. Przeniósł wzrok na rysujące się wyraźnie pod bluzką Brianny sutki i zapytał szeptem:

- Aż tak bardzo cierpisz?

- Nigdy czegoś podobnego nie czułam. Nikt też nigdy w ten sposób na mnie nie patrzył - szepnęła, widząc jego wzrok. - Nie pozwalałam nikomu się dotknąć...

Pierce miał wrażenie, że świat wali mu się na głowę. Musiał przestać na nią patrzeć, myśleć o niej, pożądać jej. Przed przyjazdem do Nassau zdołał wymazać ją z pamięci. Ale potem spotkali się znowu w domu jej ojczyma i po wielu miesiącach powróciły nagle jego wszystkie niegodziwe, zakazane pragnienia. Teraz wiedział, że jest o krok, by pragnienia stały się rzeczywistością. Że wystarczy tylko odrobina zachęty, jeszcze jeden gest, jedna pieszczota. Jedna decyzja...

- Mam trzydzieści siedem lat - rzekł nieoczekiwanie, jakby próbując w ten sposób przegonić szalone myśli.

- I co z tego? - zapytała Brianna, z trudem chwytając oddech.

- Nie powinienem się z tobą zadawać.

- Szuka pan wymówki?

- Można tak to ująć.

- Teraz? - mruknęła, rozchylając usta, podekscytowana do granic wytrzymałości jego dotykiem. - Teraz, gdy wiem już, że pan mnie pragnie? Gdy widzi pan, jak reaguję? Gdy możemy razem,.. Och, na litość boską, niech pan coś wreszcie zrobi! Cokolwiek!

- Mary jest w domu, Artur w każdej chwili może mnie szukać...

Brianna jęknęła głośno, z dezaprobatą.

- Rozumiem.

- Nie rozumiesz. - Pierce z ciężkim westchnieniem cofnął rękę i wstał, odwracając się do niej plecami. Wsunął ręce do kieszeni i dopiero teraz zauważył z zażenowaniem, jak bardzo widać, że jest podniecony.

Margo była jedyną kobietą, która wzbudzała w nim taką reakcję. Możliwe, że przez długą abstynencję stał się bardziej pobudliwy.

Nieważne. Musi usunąć ze swego życia tę niewinną istotę o włosach anioła i uśmiešku czarta. Jeśli się na to nie zdobędzie - przepadnie.

Kiedy się odwrócił, Brianna szła już w kierunku drzwi. Dogoniwszy ją, zauważył, że unika jego wzroku.

- Przepraszam - powiedziała przez zaciśnięte zęby, ściskając kurczowo torebkę, jakby obawiała się, że ta wyskoczy jej z rąk. - Naprawdę nie wiem, co mnie napadło. Może to jakiś tropikalny wirus, który sprawia, że człowiek traci kontrolę nad tym, co mówi?

Pierce zaśmiał się mimo woli.

- Jeśli to wirus, to chyba zaraźliwy.

- Niech pan ze mnie nie drwi.

- Nie drwię, Brianno. Ja też nie wiem, co we mnie wstąpiło - wyznał szczerze. - W każdym razie w tym tygodniu nie uwodzę nieletnich. Bardzo mi przykro.

- To ja próbowałam uwieść pana. Niestety, bez powodzenia. Chyba będę musiała zapisać się na jakiś kurs, gdzie nauczą mnie, jak to robić.

Pierce ponownie wybuchnął śmiechem.

- Już raz nazwałem cię bezwstydnicą.

- O, pamięta pan. Miło mi. Zachowam ten komplement razem z innymi.

- To nie był komplement.

- No dobrze, powiem panu coś - stwierdziła Brianna, nagle poważniejąc. - Jeśli pan mi nie ulegnie, wpadnę w ręce Sabona. A właściwie wpadnę do wody. Prędzej rzucę się do oceanu niż pozwolę mu się dotknąć!

- Straszna perspektywa. Tylko co ja mam z tym wspólnego?

- Nie rozumie pan? On lubi dziewczice!

- A! - mruknął Pierce, coraz bardziej rozbawiony jej wywodem. - Teraz zaczynam rozumieć. Sądziś, że jeśli stracisz cnotę, przestaniesz go interesować, tak?

- Właśnie tak. Natomiast przy odrobinie pańskiej pomocy zostałabym skreślona z listy zagrożonych gatunków. Problem w tym, że pana chyba nie stać na drobne poświęcenie dla dobra mojej przyszłości. No nic, trudno. Przepraszam, że chciałam pana narazić na ryzyko pójścia ze mną do łóżka.

- Uważaj, dziewczyno. - Tym razem Pierce zmienił ton na poważny. - Stąpasz po kruchym lodzie.

- A niechby się załamał! - mruknęła, odwracając wzrok i ciężko wzdychając. - Pójdę dziś wieczorem do kasyna na Paradise Island. Na pewno znajdzie się jakiś desperat, który spełni moją prośbę... Pierce chwycił ją mocno za rękę.

- Ani się waż!

- Dlaczego? Skoro pan mi nie pomoże...

- Jeszcze nie wiem! - burknął i wzmocnił uchwyt na jej przegubie. Widać było, że jest poruszony. Nadal odczuwał boleśnie stratę żony i sama myśl o tym, by pójść do łóżka z inną kobietą, zakrawała na cudzołóstwo.

Brianna była jednak taka młoda, taka czarująca i pełna wdzięku, że z przyjemnością ofiarowałby jej to, czego pragnęła. Z drugiej strony obawiał się, iż jest zbyt niedojrzała, zbyt wrażliwa. Gdyby nie to jej obsesyjne poczucie zagrożenia z powodu zakusów Philippe'a Sabona (nawiasem mówiąc, zagrożenie być może wydumane i irracjonalne), nie zastanawiałby się w ogóle nad tą nedorzeczną propozycją.

- Nie spiesz się tak bardzo - powiedział krótko..

- Łatwo dawać rady. Nie mógłby pan po prostu przyprzeć mnie do muru i zrobić, co trzeba?

- Ciii... - syknął, po czym puścił jej rękę i pokręcił głową. - Co za nieznośny dzieciak!

- Nie jestem dzieckiem!

- Jesteś uparta jak małe dziecko. I całkowicie bezwstydna.

- Całkowicie - przytaknęła, a potem zmierzyła go łagodnym spojrzeniem i dodała: - Zobaczy pan, skruszę pana. Jak kropla drażąca skalę.

Pierce patrzył na nią z mieszanymi uczuciami.

- Bój się Boga, dziewczyno. Gdzie się podział twój dziewiczy lęk?

- Nie wiem. Przy panu zupełnie o nim nie pamiętam.

- I nie boisz się pierwszego razu?

- Z kimś takim jak pan?

Zaśmiał się mimo woli. Jego oczy rozbłyły wesołością.

- Wiele ode mnie oczekujesz. Może zbyt wiele. A ja się starzeję, Brianno, Co będzie, jeśli cię zawiodę?

- Na pewno nie - odparta poważnie. - Podobam się panu. Działam na pana. Przecież widzę - uciszyła go, gdy próbował zaprzeczyć. - Uważa pan tylko, że jestem za młoda. A to nieprawda. Dorastałam wśród starszych od siebie, zawsze byłam nad wiek dojrzała. Wiem, czego chcę. Naprawdę.

Ta dziewczyna rzeczywiście skruszy mój opór, myślał Pierce. Ten jej słodziutki głosik w połączeniu z tak otwartym naleganiem, kuszeniem, prowokowaniem, z tą pozbawioną jakiegokolwiek skrępowania prośbą burzył w nim wszystkie postanowienia, zagłuszał głos rozsądku, a co najbardziej przerażające - przyćmiewał pamięć o Margo. I jeszcze te rozpuszczone, jedwabiste miękkie włosy, skóra świeża i gładka jak jedwab, to wyzywające spojrzenie niewinnych oczu...

Odwrócił szybko wzrok.

- Niczego ci nie obiecuję - oznajmił.

- Ale przynajmniej rozważ pan moją propozycję?

- Zgoda. Mogę się zastanowić.

- Dobrze i to. - Wzruszyła ramionami. - Nie ma przecież pośpiechu, Ale jeżeli ten wilkołak zacznie mnie ścigać, znajdę pana o każdej porze.

- Skąd on niby ma wiedzieć, że w tym wieku jesteś jeszcze dziewicą? - zapytał rozsądnie.

Brianna rzuciła mu ponure spojrzenie.

- Kiedy zaczęłam chodzić do szkoły w Paryżu, Kurt zatrudnił prywatnego detektywa, żeby mnie śledził. Obserwowali każdy mój krok. Dwa miesiące temu Kurt kazał mi zrobić badania, żeby sprawdzić, czy nie złapałam jakiegoś wirusa, z którym podobno miałam kontakt. - Zadrżała, jakby przeszły ją ciarki na wspomnienie wizyty u lekarza. - Rozumie pan, były to także badania ginekologiczne. Zorientowałam się, o co chodzi, dopiero gdy pielęgniarka kazała mi się położyć na plecach. Zrobiłam piekielną awanturę, ale Kurt i tak zdobył informację, której potrzebował.

- Żaden szanujący się lekarz... - zaczął Pierce z oburzeniem w głosie, lecz Brianna szybko mu przerwała.

- Tamten lekarz do takich nie należy. Zakazano mu prowadzenia praktyki w Stanach, więc przyjechał do Europy prowadzić jakiś szpital. Skojarzyłam sobie wszystko dopiero wtedy, gdy Sabon zaczął bywać coraz częściej w naszym domu i wpatrywać się we mnie jak

jastrząb. - Spojrzała ufnie na kamienną twarz Pierce'a. - Nie jestem bojaźliwa, ale ten człowiek budzi we mnie lęk. Jestem sama i tylko pan może mi pomóc.

- Nie przejmuj się. Wielu mężczyzn też się go boi.

- Ale nie pan?

Pierce uśmiechnął się pod nosem.

- Przez parę lat pracowałem na platformie wiertniczej. - Pokazał jej drobne blizny na rękach.

- Wiec jest pan twardym facetem, tak?

- Owszem. Trudno mnie przestraszyć.

- I pewnie nie ma nic, co wprawia pana w przerażenie?

- Owszem, jest coś takiego. Spragnione seksu dziewczice!

Brianna nie była w stanie powstrzymać wybuchu śmiechu.

Pierce także się roześmiał i po chwili zaśmiewali się oboje bez opamiętania. Nigdy nie spotkał takiej kobiety jak Brianna. Ta dziewczyna odmieniała jego życie, jego świat. Sprawiała, że znowu wschodziło słońce, a na niebie pojawiała się tęcza. Czyniła go młodym, skorym do żartów. To dzięki niej był w stanie się uśmiechać, śmiać, zapominać o bólu życia, o samotności, o śmierci.

Wolał nie myśleć o konsekwencjach swego zauroczenia. Lepiej i przyjemniej było po prostu wyłączyć umysł i pozwolić się nieść tej radosnej fali, która z taką łatwością wypełniła jego serce. Dokąd go jednak zanieśie i gdzie wyrzuci na brzeg - tego nie wiedział.

W ciągu kolejnych tygodni Brianna towarzyszyła Pierce'owi niczym cień. Ku rozpaczy jej ojczyma, trzymała się z daleka od Philippe'a Sabona i spędzała z Huttonem tak wiele czasu, że zaczynało już to komentować. Widywano ich, jak razem łowią ryby, jak pływają i opalają się na plaży. Na ogół przebywali w domu Pierce'a, ale chodzili też czasem nad morze.

Łączyła ich dziwna więź. Pierce nie chciał się zastanawiać nad tym, jak wiele Brianna zaczyna dla niego znaczyć, zauważał wszakże, że coraz rzadziej wspomina Margo. Brianna przestała zresztą być dla niego wyłącznie czarującym w swej niewinności i naiwności podlotkiem, który rozbraja swym dążeniem do dorosłości. Ta dziewczyna była naprawdę wartościowa, miała dobrze poukładane w głowie. Imponowała mu swym krytycznym podejściem do rzeczywistości i orientacją w polityce. Jak na młodą kobietę miała zresztą bardzo dojrzałe poglądy. Tak, im dłużej, im lepiej ją znał, tym większe robiła na nim wrażenie.

Kurt Brauer nie był oczywiście zachwycony tym, że jego pasierbica spędza całe dnie w towarzystwie jego wroga. Miarka się przebrała, gdy Philippe przyплыł któregoś dnia swoim jachtem, aby zobaczyć się z Brianna, i nie zastał jej w domu. Co gorsza, dostał od prywatnego detektywa szczegółowy raport na temat tego, co ostatnio robiła.

Zaciskając pięści w bezsilnej złości, przesywał Kurta groźnym spojrzeniem swych czarnych oczu.

- Wiesz, że myślę poważnie o tej dziewczynie -mówił, cedząc powoli słowa. - Wiesz, że mógłbym zaproponować jej małżeństwo. A ty pozwalasz, żeby mieszkała z Huttonem?

- Brianna jest dorosła - próbował się bronić Brauer.

- I to ma mnie pocieszyć? Skoro jest dorosła, to może sobie pozwalać na wszystko, co zechce? I to z tym człowiekiem? Chciałbym widywać ją, kiedy zechce, jasne? Co mam zrobić, żeby tak było? Zorganizować porwanie?

Kurt uniósł rękę, wyraźnie zmartwiony.

- Źle to interpretujesz, przyjacielu. Czytałeś orzeczenie lekarskie, prawda? Zapewniam cię, że Brianna jest dziewczcą. Wciąż nią jest, mimo że spotyka się z Huttonem.

Sabon przez chwilę milczał, obserwując uważnie bladą ze strachu twarz Kurta. Zadał o to, by Brauer nie znał jego prawdziwych planów i aspiracji. Ale potrzebował wsparcia ze strony tego człowieka, jakkolwiek by nim gardził.

- Wiem, że niezbędna ci jest moja pomoc - oznajmił chłodno. - Kazałem zbadać dokładnie stan twoich finansów i wiem, na co cię stać. Jeśli wycofam się, zanim zaczniemy wydobywać ropę, jeśli znajdę kogoś innego na twoje miejsce, zostaniesz bez grosza, prawda?

Kurt przełknął ślinę. Był w sytuacji bez wyjścia. Ten człowiek wiedział zbyt wiele, dlatego też wiele mógł żądać.

- Tak, to prawda - wyznał z ciężkim sercem, wyjmując śnieżnobiałą chusteczkę, by otrzeć pot z czoła. - Muszę teraz brnąć do końca. Ale ten pomysł, żeby zaangażować w sprawę Amerykanów... Wątpię, czy nam się uda.

- Z całą pewnością się uda. Musimy tylko lojalnie współpracować. Moje małżeństwo z Brianna byłoby elementem tej współpracy, przyniosłoby korzyści nam obu. Przypieczętowałoby naszą umowę.

- Małżeństwo? - Oczy Kurta zaślniły pożądliwie. Sabon był milionerem, przypuszczalnie jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Zatrzaszczyłby się z pewnością o krewnych żony. Nawet gdyby kontrakt nie doszedł do skutku, on, Kurt miałby dość pieniędzy, by nie musieć zarabiać ich w dotychczasowy sposób - ścigając klientów, zalegających z płatnościami. Już nigdy nie martwiłby się o finanse! Uśmiechnął się od ucha

do ucha. - Wspaniały pomysł! Tak, wasze małżeństwo byłoby idealną rękojmią naszej transakcji!

- Przypuszczałem, że się zgodzisz - uśmiechnął się Sabon, jednak nie spojrzał mu w oczy. Pochylił głowę, aby zapalić cienkie tureckie cygaro, i po chwili wypuścił z ust smużkę tytoniowego dymu.

Tymczasem Kurt promieniał z radości. Czekala go bezpieczna przyszłość. Musiał teraz pomówić szybko z żoną, aby zrozumiała, jak ważna jest zgoda Brianny na to małżeństwo. Nie wątpił, że żona go poprze. A Brianna? Cóż, Brianna nie była jeszcze pełnoletnia, więc matka mogła zmusić ją do posłuszeństwa. A on miał wpływ na jej matkę. Wielki wpływ.

- A więc zgoda co do małżeństwa - westchnął zadowolony z siebie Sabon. - Zajmiesz się wszystkimi formalnościami, przyjacielu?

- Oczywiście. - Kurt machnął lekceważąco ręką.

- Masz to jak w banku. Brianna będzie cudowną żoną i urodzi ci mnóstwo dzieci!

Sabon milczał, nie chcąc zdradzać swoich prawdziwych uczuć. Jego serce przepelniała radość, poczucie satysfakcji połączone ze wzdargą dla tego małego, przestraszonego człowieczka, jakim w jego oczach był Brauer. To małżeństwo było znakomitym pomysłem. Kurt nie będzie mu już przysparzał kłopotów.

Wyobraziwszy sobie przez chwilę, że trzyma w ramionach młodą, roześmianą Briannę, Sabon poczuł bolesny skurcz. Ten łajdak Brauer sprzedałby pasierbicę, żonę, własną duszę; sprzedałby wszystko, co posiadał, byle tylko zdobyć władzę. Sabon gardził nim i żałował, nie po raz pierwszy, że nie dysponuje innymi środkami, by wypełnić misję, której się podjął dla dobra swego kraju. Na szczęście Brauer już mu nie zagrażał. Ale Pierce Hutton - ze swoimi interesami prowadzonymi zbyt blisko granic Kwawi - stanowił równie poważne niebezpieczeństwo. Musiał trzymać tego człowieka na dystans, zanim dowie się od Brianny czegoś, co skłoni go do interwencji.

Miał nadzieję to osiągnąć, domagając się towarzystwa dziewczyny i kusząc Brauera obietnicą poślubienia jej. Pomyślał z żalem, że urocza i ponętna Brianna będzie musiała cierpieć z powodu jego propozycji, ale nie mógł się wahać, gdy gra szła o tak wysoką stawkę. Działal przecież w imię wyższej racji, musiał dbać o interes swojej ojczyzny.

- Nie mówiłeś chyba serio o porwaniu?

Słowa Brauera wyrwały go z rozmyślań. Sabon zmrużył z namysłem oczy i uśmiechnął się chytrze.

- Dlaczego nie? Byłby to jakiś sposób, żeby zapewnić sobie jej współpracę, prawda?

Kurt sposepniał. Brianna miała amerykańskie obywatelstwo, Hutton bardzo się nią interesował. Porwanie mogłoby się stać początkiem wielu kłopotów.

- To może być niebezpieczne - stwierdził.

- Niewykluczone. - Sabon uśmiechnął się chłodno. Nie powiedział nic więcej, ale wyraz jego twarzy sprawił, że Kurt poczuł się jeszcze bardziej nieswojo. Miał tak wiele do stracenia! Nie mógł sobie pozwolić na to, by ten sprytny Arab go oszukał. Musiał pierwszy zadać mu cios.

Tak, stanowczo powinien przejąć inicjatywę. Był w końcu właścicielem połowy surowców naturalnych niewielkiego kraju Sabona. Gdyby obalił rząd dysponującego nieliczną armią, starego i schorowanego szejka, mógłby negocjować bezpośrednio z konsorcjum naftowym. Zdobyłby wymarzone bogactwa. Nie musiałby już nigdy handlować bronią.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej podobał mu się ten pomysł. Sabon był tak pewny siebie. Sądził, że ma wszystkie atuty. Zobacz, jak bardzo się mylił.

ROZDZIAŁ 4

Gdy tylko Philippe Sabon wyszedł, by wrócić na jacht, Kurt Brauer zaczął szukać żony. Oznajmiła mu, że Brianna i Pierce pojechali właśnie na zakupy do Freeport. Nie wiedziała, że dziewczyna wymyśliła ten pretekst na poczekaniu, gdyż zauważyła wpływający do portu jacht Sabona i by uniknąć spotkania z nim, pobiegła do rezydencji Pierce'a.

Groźby Sabona przeraziły Kurta. Został przyparty do muru, a Brianna pograżała go jeszcze bardziej, konsekwentnie unikając Araba, odkąd tylko ten zaczął się nią interesować. Kurt martwił się, że nie pomoże mu to zdobyć przychylności partnera, i był wściekły, że dziewczyna się opiera. Nie wiedział, czy Sabon myślał serio o porwaniu Brianny, ale zaczynał uważać, że może to być jedyny sposób, by przemówić jej do rozumu. Odbył na ten temat stanowczą rozmowę z żoną, lecz pasierbicę odnalazł dopiero następnego dnia. Usadziwszy ją pierwiej w salonie, powiedział:

- Philippe był zły, że go unikasz.

- Cóż, jego sprawa.

- Nie tylko jego, moja droga. Nasza także. On dobrze wie, że nie mogę sobie pozwolić na zrezygnowanie z kontraktu, i grozi, że znajdzie nowego współnika. Zależy mu na tobie, a mi nie podoba się bardzo twoja postawa - Mówił po angielsku z lekkim obcym akcentem, wpatrując się w nią i trzymając ręce w kieszeniach spodni. - Nie podoba mi się zwłaszcza to, że zadajesz się z Huttonem. Chyba wiesz, że nie jesteśmy w dobrych stosunkach.

- Ja tam bardzo go lubię.

- Nonsens. Jest dla ciebie o wiele za stary - stwierdził, zapominając najwyraźniej, że Sabon i Pierce są rówieśnikami. - Powiem ci wprost: nie życzę sobie, żebyś spędzała z nim tyle czasu. To szkodzi twojej reputacji. Poza tym - dodał niepewnie - Philippe również nie pochwała takiego postępowania.

- Coś podobnego! - wybuchnęła. - A co on ma do tego, z kim się spotykam!

Uciszył ją gestem ręki i rzekł gniewnie:

- Nie rozumiesz mojej sytuacji? Nie mogę go drażnić. Zainwestowałem wszystko, co mam, w rozwój przemysłu naftowego w jego kraju. Jeśli się rozejdziemy, grozi mi totalne bankructwo!

- Nie powinienes więc być dać się w to wciągnąć. Ojczym milczał, wpatrując się w nią w napięciu.

Trudno było odmówić Briannie racji. Jeszcze trudniej było wycofać się ze współpracy.

- Sam mu zaproponowałem, żebyśmy zostali wspólnikami - stwierdził z westchnieniem. - Miałem nadzieję potroić dzięki temu swój kapitał. Nie jestem już tak bogaty, jak dawniej, Brianno - dodał chłodnym tonem. - Gdybym biernie czekał, straciłbym wszystko, co posiadam. Ta inwestycja rozwiązuje moje kłopoty. Oceniam ją jako pewną, choć nieco ryzykowną. Tak czy inaczej, muszę być w dobrych stosunkach z Philippem. Nie mogę go do siebie zrażać. Ani tobie na to pozwolić. - Odchrząknął, widząc, że dziewczyna szykuje się do protestu, po czym dodał szybko: - Poza tym czas już, żebyś wyszła za mąż, skoro więc Philippe proponuje ci małżeństwo...

- Małżeństwo?

- ... skoro proponuje ci małżeństwo - dokończył niewzruszony - będzie to najlepszy sposób na scementowanie naszej współpracy.

- Mam wyjść za Sabona? - powtórzyła zaszokowana Brianna. - Ani mi się śni! Twój przyjaciel Philippe śmiertelnie mnie przeraża! Musiałeś słyszeć plotki na jego temat. Wiesz, co wyprawia z dziewczynami takimi jak ja?

Kurt uśmiechnął się chłodno i spojrzał na nią z góry.

- Nie słucham plotek, moja droga. A poza tym nie zapominaj o jednym. Twoja matka jest tutaj szczęśliwa, prawda? - zapytał powoli. - I ona, i dziecko... Nie chciałabyś chyba, żeby coś zakłóciło jej spokój?

Briannie zrobiło się nagle gorąco. Odczytała szantaż zawarty w tych słowach i poczuła się niczym zwierzę zamknięte w pułapce bez wyjścia. Wiedziała, że jej matka boi się Kurta i bardzo żałuje, że za niego wyszła. Wiedziała również, że ze względu na dziecko jest jeszcze bardziej zdana na łaskę męża. Dla dobra matki nie powinna doprowadzać Kurta do wściekłości, nie powinna mu się sprzeciwiać.

A jednak za nic, nawet za cenę ocalenia jej i swego przyrodniego brata, nie zgodzi się poślubić Sabona. Nigdy! Był dla niej zbyt odrażający.

Zbuntowana i przerażona, zastanawiała się chwilę, co powiedzieć. Pomyślała, że Pierce mógłby jej pomóc. Z początku chciała nawet zagrozić, że powie mu o wszystkim, ostatecznie postanowiła jednak nie drażnić ojczyma i nie ryzykować, że wpadnie on w szal. Skrzywdziłby pewnie nie tylko ją, ale i biedną matkę.

Och, dlaczego ona za niego wyszła? Co w nim widziała?

Czy więc ma się zgodzić? Zostać żoną Sabona?

W każdym razie lepiej będzie nie sprzeciwiać się otwarcie.

- Rozumiesz mnie, Brianno? - zapytał Kurt. -Zrobisz to, co każe?

- A czy mam inne wyjście? - odparła spokojnie.

- Nie masz. - Uśmiechnął się przebiegle. - Możemy więc chyba zacząć przygotowania do ślubu. Twoja matka na pewno ci pomoże.

- Proszę, nie dzisiaj - odparła, szukając rozpaczliwie jakiejś wymówki. - Umówiłam się na obiad z przyjaciółką w centrum miasta.

- Z przyjaciółką? - zapytał podejrzliwie. - Co to za dziewczyna?

- Cara, koleżanka ze szkoły - zełgała, z trudem zbierając myśli. - Jest na wycieczce statkiem i będzie w naszym mieście tylko dziś po południu. Nie widziałyśmy się od matury.

Kurt wahał się, nadal nie bardzo jej wierząc.

- W porządku - zgodził się wreszcie. - Philippe popłynął akurat na jedną z wysp i ma wrócić tu jutro. Oczekuję, że będziesz mu posłuszna.

- Oczywiście.

Brianna była blada i mniej pewna siebie niż zawsze, ale zdobyła się na wymuszony uśmiech. A potem poszła się przebrać, by czym prędzej uciec z tego domu.

Wkładała właśnie dzinsy i zieloną jedwabną koszulę, gdy matka, zostawiwszy dziecko pod opieką piastunki, wślizgnęła się do jej pokoju.

- Rozmawiał z tobą? - zapytała pośpiesznie.

- Rozmawiał - odparła Brianna. Przyjrawszy się matce, zauważyła nowe zmarszczki na jej pięknej, delikatnej twarzy oraz strwożone spojrzenie.

- Nie sądziłam, córeczko, że Kurt posunie się tak daleko. Wiem, że nie lubisz pana Sabona i wiem, co mówią o nim ludzie. Ale to bardzo bogaty i wpływowy człowiek, więc...

- Powiedz, mamó - przerwała jej Brianna - czy dla ciebie pieniądze naprawdę są najważniejsze?

Matka szybko odwróciła wzrok.

- Tego nie powiedziałam. Ale Philippe mógłby spełnić wszystkie twoje pragnienia. A Kurt byłby zadowolony i dałby nam spokój.

- Uszczęśliwianie twojego nowego męża nie stanowi celu mojego życia, mamó - stwierdziła Brianna z niezwykłą dla niej uszczypliwością. - Jeśli sądzisz, że wyjdę za tego człowieka, żeby zadowolić Kurta Brauera, to grubo się mylisz.

- Jak to? - zdziwiła się matka. - Więc nie obiecałaś mu tego?

- Pewnie, że nie. Nie jestem idiotką. Próbował mnie zastraszyć groźbami pod twoim adresem - dodała niechętnie, bo wciąż była na siebie zła, że potrzeba chronienia matki przed gniewem ojczyma wypływa bardziej z obowiązku niż odruchu serca. A przecież były matką i córką. Mogłyby być sobie bliskie, wspierać się w trudnych sytuacjach.

- Kurt bywa bardzo porywczy - odezwała się matka, wykonując bezradny gest wypielegnowaną dłonią. - Nieczęsto mu się to zdarza, ale dochodziło już między nami do ostrych kłótni. Zazwyczaj z twojego powodu, niestety. Między innymi dlatego zgodziłam się posłać cię do szkoły we Francji. Widzisz, dziecko, atmosfera między nami jest dość napięta, zwłaszcza odkąd Kurt zaczął zadawać się z panem Sabonem. - Odgarnęła do tyłu kosmyk ufarbowanych włosów, patrząc na córkę błagalnym wzrokiem. - Nie mogłabyś chociaż udawać, że zgadzasz się go poślubić, dopóki czegoś nie wymyślę? Musimy zważyć na dobro dziecka. Gdyby Kurt chciał mi je odebrać, przegrałabym sprawę. Nie mamy żadnych pieniędzy, żadnych widoków na przyszłość, zależymy tylko od niego. Proszę cię! Jeśli nie chcesz zrobić tego dla mnie, pomyśl o Nicholasie! Wiesz, jakie życie go czeka bez matki.

Niestety, Brianna musiała przyznać jej rację. Nicholas byłby zdany na łaskę człowieka pozbawionego skrupułów.

Zmarszczyła brwi, dopinając bluzkę, po czym spojrzała na matkę smutnymi oczami.

- Mówiłaś zawsze, że potrzebujesz do szczęścia tylko pieniędzy. Widzę, że nadal tak uważasz.

Ewa zbladła.

- Miałam dość niedostatku - odparła z goryczą. - Harówki, która nic nie dawała. Twój ojciec był pozbawiony wszelkiej ambicji...

- Ale miał dobre serce i szlachetną duszę - odparła spokojnie Brianna. - On nigdy nie podniósłby na ciebie ręki - dodała, a potem patrzyła z kamienną twarzą na kobietę, która ją wychowała, lecz nigdy nie otaczała miłością ani troską. - Mam do ciebie żal, mam - westchnęła. - Padłaś w ramiona Kurta zaledwie w miesiąc po pogrzebie taty. Tak mu odplaciłaś za jego miłość i lojalność. Nie masz pojęcia, co wtedy czułam.

Ewa, wyraźnie poruszona, przytknęła dłoń do szyi.

- Nigdy... nigdy mi o tym nie mówiłaś.

- A co by to zmieniło? Moje uczucia nigdy cię nie obchodziły. Nie ryzykowałabyś dla mnie utraty Kurta i jego pieniędzy, przyznaj.

- Jak możesz oskarżać mnie o małoduszność? - jęknęła Ewa. - Jestem twoją matką, wychowałam cię, wykarmiłam...

- Doprawdy? - W głosie Brianny zabrzmiał szczyry ból. - Nie pamiętam, żebyś mnie kiedykolwiek przytuliła albo próbowała pocieszyć. Ciągle tylko robiłaś mi wymówki i chciałaś, żebym zesłała ci z oczu.

Ewa była zmieszana, zaskoczona. Nie wiedziała, co powiedzieć, więc Brianna wykorzystała jej milczenie i dokończyła z dumą:

- Za to ojciec mnie kochał. Całował mnie, gdy stukłam kolano, zabierał na wystawy i koncerty nawet wtedy, gdy nie bardzo było nas na to stać. Zawsze miał dla mnie czas, choć ty narzekałaś, że go marnuje zamiast pracować jeszcze ciężiej, żeby dorobić się awansu.

Ewa patrzyła na córkę, jakby widziała ją pierwszy raz w życiu.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że brak ci mojego towarzystwa - stwierdziła z zakłopotaniem. - Miałam wrażenie, że za mną nie przepadasz.

- To ty mnie nie lubiłaś. Mówiłaś, że jestem brzydka, wiecznie roztrzepana.

- Nie jesteś brzydka. Gdybyś miała odpowiednią fryzurę, używała kosmetyków i ubierała się jak należy...

- To może byś mnie pokochała? - przerwała jej Brianna z drwiącym uśmiechem.

Ewa uniosła rękę, zbliżyła się do córki o krok, chcąc dotknąć jej twarzy. W jej oczach widać było żal, szczery żal.

Za późno, pomyślała Brianna. O wiele lat za późno. Zignorowała ten ledwie dostrzegalny gest pojednania, wzięła z łóżka torebkę i zamknęła ją energicznie. Nie miały więcej o czym rozmawiać. Już nie.

- Dokąd idziesz? - zapytała bezradnie Ewa. Brianna spojrzała na nią z namysłem. Wcześniej chciała powiedzieć matce o Pierce'ie, teraz jednak, po tej rozmowie, obawiała się wyznać jej prawdę.

- Cara, moja przyjaciółka ze szkoły, jest dziś po południu w mieście - odparta. - Obiecałam, że pójdziemy razem na obiad.

- W porządku. - Ewa zdobyła się na uśmiech. - Nie martw się. Wszystko się jakoś ułoży. Kurt jest zdenerwowany z powodu tej transakcji, kiedy jednak dostanie, czego chce, nie będzie już taki drażliwy. I jeszcze jedno, dziecko. Powinnaś wiedzieć, że on mimo wszystko mnie kocha. Kocha także Nicholasa. Nie skrzywdzi nas, bez względu na to, co ci powiedział.

- Wspaniale. W takim razie nie muszę wychodzić za Sabona, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo, prawda? Mogę dać mu kosza?

Ewa zbladła jak ściana i podeszła do Brianny energicznym krokiem.

- Dobrze się nad tym zastanów - powiedziała zdenerwowana. - Nie podejmuj pochopnej decyzji!

- Nie ma obawy.

Wytrzymała spojrzenie matki, nie cofnęła się o krok choć ta zatrzymała się tuż przed nią. Przez chwilę stały na wprost siebie i mierzyły się wzrokiem. Brianna obracała w rękach torebkę, doskonale zdając sobie sprawę, że przy urodziwej Ewie wygląda niczym niezgrabny

żrebak przy dojrzałej, smukłej klaczy. Owszem, miała zgrabne nogi, piękne włosy. Ewa zawsze oczekiwała jednak od córki dużo więcej. Liczy się naturalna elegancja, klasa, szyk - słowa te powtarzała na każdym kroku.

Teraz, jakby wyczuwając skrępowanie córki, wyciągnęła ku niej niepewnie rękę i po raz pierwszy od lat dotknęła długich, gęstych, jasnych włosów Brianny.

- Są takie puszyste - powiedziała powoli. - Moja fryzjerka zrobiłaby z nimi cuda. Masz też zgrabną figurę. Nigdy nie zauważyłam, jaka jesteś elegancka.

Brianna cofnęła się odruchowo i drobna dłoń Ewy zawisła w powietrzu.

- - Dziękuję, mam, za komplement. Jeśli jednak chodzi o życiowe rady, to nie potrzebuję ich słuchać. Sama wiem, co w życiu się liczy najbardziej.

- Co ty tam wiesz - roześmiała się matka. - Jeszcze wiele będziesz musiała się nauczyć.

- Wiem, że szczęścia nie da się kupić - odparła dobitnie Brianna. - Szkoda tylko, że ty nie nauczyłaś się tego przez prawie czterdzieści lat.

Porcelanowa twarz Ewy skrzywiła się w wymuszonym uśmiechu.

- Mam dopiero trzydzieści pięć! - zaprotestowała.

- Poza tym szczęście mogą dawać różne rzeczy.

- Właśnie, rzeczy. Nie ludzie, a rzeczy. Płacisz za nie wysoką cenę.

- Daj spokój, moje dziecko - zirytowała się Ewa - wiesz, że nie lubię takiej egzaltacji.

Nie wymagam chyba zbyt wiele, prosząc cię, żebyś wyszła za jednego z najbogatszych ludzi na świecie. Pomyśl, ile dla ciebie zrobiłam. Ile zawdzięczasz Kurtowi. Posłał cię do bardzo kosztownej szkoły w Paryżu i teraz też daje ci pieniądze. Jesteś mu za to chyba coś winna. Och, jestem pewna, że gdy wszystko przemyślisz, podejmiesz właściwą decyzję.

Brianna nie odezwała się więcej. Nie było sensu. Nigdy nie potrafiły znaleźć wspólnego języka, a teraz tym bardziej. Matka nie zamierzała rezygnować z pieniędzy Kurta. Była nawet gotowa poświęcić córkę, żeby ich nie utracić.

Ona jednak wiedziała już, że nie może do tego dopuścić. Postanowiła udać się do jedyne go człowieka, który mógł ją ocalić.

Pierce na szczęście był w domu. Rozmawiał przez telefon ze swoim szefem ochrony, a to, co usłyszał, bardzo go zaniepokoiło.

- Minionej nocy próbowano wysadzić platformę - oznajmił Tate Winthrop. - Zapobiegliśmy temu - dodał, zanim Hutton zdążył zareagować. - Ale przypuszczam, że będą następne zamachy. Słyszałem nowe pogłoski na temat sytuacji w kraju Sabona. Podobno jedno z ubogich ościennych państw gromadzi broń i przygotowuje inwazję, aby przejąć jego

roponośne pola. Sabon miał rację: moje źródła potwierdzają, że odkryto tam bogate pokłady ropy.

Pierce przeciągnął się leniwie, spoglądając na białą plażę za basenem. Łyknawszy whisky, rzekł po chwili:

- Może byłoby lepiej nie dopuścić, żeby Brauer eksploatował te złoża. Nie dba o żadne zabezpieczenia ani ochronę środowiska.

- Jeśli atak na platformy zostanie odparty, napastnicy podpalą zapewne szyby wiertnicze - zauważył Tate.

Pierce skrzywił się lekko.

- To byłaby prawdziwa katastrofa. Nie przysporzyliby sobie przyjaciół w Waszyngtonie.

- Skoro mowa o Waszyngtonie - wtrącił Tate -krążą pogłoski, że Brauer zamierza wykorzystać swoje znajomości i zaangażować Amerykanów w całą tę sprawę.

- Poważnie?

- Pracowałem kiedyś dla CIA. Nie zwykłem mówić niepoważnie.

- Przepraszam.

- Brauer chodził do szkoły z jednym z senatorów z komisji spraw zagranicznych - ciągnął dalej Tate. -Kontaktował się z nim ostatnio. O ile wiem, wybiera się wkrótce do Waszyngtonu, żeby ubiegać się o amerykańską pomoc.

- A wiec chce, żeby rząd USA wsparł finansowo budowę platform?

- Bynajmniej. Oczekuje od Amerykanów ochrony.

- Sabon jest milionerem. Rządzi połową kraju, że nie wspomnę o jego wpływie na króla i większość ministrów. Czemu sam nie zapewni ochrony tej inwestycji?

- Kraj nie jest tak bogaty jak on. A poza tym Sabon to dziwny człowiek. Podobno ma perwersyjne skłonności, choć nigdy oficjalnie o nic go nie oskarżono.

- Ciekawe.

- Brauer też nie ma o nim dobrego zdania. Uważa go za żadnego pieniędzy zabójcę. Jednak w Kwawi Sabon nie ma tak złej reputacji. - Tate zamilkł na chwilę. - Zastanawiam się, dlaczego on na to pozwala?

- Na co?

- By poza krajem tak o nim mówiono? Po co ktoś miałby celowo wyrabiać sobie opinię rozpustnika?

- Nie mam pojęcia. Zastanawiam się raczej, dlaczego wybrał sobie na współnika akurat Brauera.

- Nikt inny nie ma takich znajomości. Może o to mu chodziło?

- Niewykluczone, ale nie mógł znaleźć bardziej niebezpiecznego sojusznika. Brauer dopuścił się w życiu tylu występków, że Sabon to przy nim anioł. Ta spółka musi się rozpaść, i to z wielkim hukiem.

- Oby.

- Tak bardzo ci na tym zależy?

- Powiedzmy, że... mam swój osobisty powód, by tak się stało. Ale to nic poważnego - dodał spokojnie Tate. - Porozmawiam z kilkoma osobami na temat Brauera i dowiem się, kogo zna w Waszyngtonie. Gdyby zaś pan miał coś nowego, proszę mnie powiadomić.

- W porządku. Sabon zjawił się wczoraj w mieście, ale na krótko.

- W jakim celu?

- Brauer ma dwudziestoletnią pasierbicę, która najwyraźniej przypadła mu do gustu.

- Cholera! Chce pan, żebym się tym zajął?

- Nie trzeba. Sam sobie poradzę - odparł Pierce. - Jeszcze mnie na to stać.

W słuchawce rozległ się zduszony śmiech.

- Jasne. Nie zapomniałem, jak znokautował pan na platformie Colby'ego Lane'a.

- A właśnie, co porabia ten łotr?

- Niedawno dołączył do oddziału najemników i pojechał do Afryki. Teraz już wrócił i pracuje dla Amerykanów. Ostatnio tak bardzo się zmienił, że go nie poznaję. Wszystko przez tę cholerną kobietę.

- Dlaczego zaraz „cholerną”? Co ona winna, że nie potrafi o niej zapomnieć i pozwolić jej żyć spokojnie z nowym mężem. Jeśli będzie się upijał dwa razy w miesiącu i wszczywał burdy, ktoś mu w końcu dołoży.

- Przed panem nikt się na to nie odważył.

- Nawet ty? - zapytał Pierce karcącym tonem.

- Colby wołał ze mną nie zadzierać - odparł Tate. - Nie zauważył pan tej dużej białej blizny na jego szczęcie?

- Nie mówiłeś mi o tym!

- Nawinał mi się, kiedy miałem kiepski nastrój.

- Chciałbym spotkać kogoś, kto widział cię ostatnio w dobrym humorze. A skoro mowa o bliznach, moglibyśmy porozmawiać o twoich - dodał. - Są jakieś nowe?

- Pan wybaczy, ale nie dzisiaj. Mam sporo pracy. Aha, i proszę na siebie uważać. Sabon nie znosi pana tak samo jak Brauer, lecz ma więcej pieniędzy i jest bardziej przebiegły.

Wolałbym nie dowiedzieć się przez telefon o trzeciej nad ranem, że gdzieś na plaży we Freeport znaleziono pańskie zwłoki.

- Nie ma obawy. Bądź ze mną w kontakcie, Tate.

- Oczywiście.

Pierce odłożył słuchawkę i zmarszczył czoło. Jak zwykle wieści nie były pomyślne. Cóż, taki los jaki biznes. W przemyśle naftowym zawsze istniały problemy, o których osoby postronne nie miały pojęcia. Dochodziło do wycieków ropy, eksplozji i pożarów, a także awarii, powodowanych przez niezadowolonych pracowników. Spierano się o finanse i udział w kosztach. Spółki naftowe nie mogły dojść do porozumienia z firmami budującymi platformy wiertnicze oraz rurociągi. Nieustannie pojawiały się nowe kłopoty, a Pierce i inni przedsiębiorcy działający w tej branży musieli sobie z nimi radzić.

Najnowszym przedsięwzięciem, w które Pierce zaangażował swój kapitał, była budowa platformy dla pewnego konsorcjum na Morzu Kaspijskim. Budowa napotykała na szereg prawnych i politycznych przeszkód. Po pierwsze, rurociąg miał przebiegać przez terytorium kraju obłożonego amerykańskimi sankcjami. Po drugie, ograniczony był udział obcego kapitału w tej inwestycji - zdaniem Rosjan prawo międzynarodowe nie miało tu zastosowania, gdyż Morze Kaspijskie, jako akwen śródlądowy, nie podlegało ogólnie obowiązującym przepisom. Zaangażowane w kontrakt spółki naftowe musiały przestrzegać sankcji, a jednocześnie godzić się na warunki dyktowane im przez Rosjan. I pewnie udałoby się *im* pogodzić wszystkie te sprzeczne racje i okoliczności, gdyby nie Kwawi.

Otóż kraj, z którego pochodził Sabon, cały czas utrudniał prowadzenie interesów. Sam Sabon miał odpowiednie kontakty, a wrogowie Stanów Zjednoczonych byli jego przyjaciółmi. Nie przejmował się sankcjami ani racjami politycznymi. Wręczał łapówki i robił to, na co miał ochotę. Ostatnio knuł coś razem z Brauerem i jeśli Tate Winthrop się nie mylił, szykowali jakiś podstęp. Kolega Brauera w senacie mógł pokrzyżować plany powstałemu konsorcjum, a zatem i Pierce'owi, który dostarczał sprzęt oraz robotników do budowy platformy.

Pierce był tak zatopiony w myślach, że nie usłyszał nawet, kiedy otworzyła się furtka w ogrodzeniu otaczającym basen. Nie spostrzegł też Brianny, która idąc szybko w jego stronę, zatrzymała się nagle, zaskoczona widokiem nagiego męskiego ciała. Tak, Pierce opalał się nago, a ona zarumieniła się ze wstydu, choć przecież w Paryżu zdejmowała mu ubranie.

Wtedy właśnie ją dostrzegł. Rozbawiło go, że mimo śmiałych słów, które tak łatwo płynęły z jej ust, ta jasnowłosa dziewczyna jest ciągle taka niewinna.

- Coś cię gnębi - zauważył, gdy pozbyła się wreszcie krępującego rumieńca na policzkach i usiadła na krześle obok niego, rzucając torebkę na stół.

- Mam samobójcze myśli. - Spojrzała na niego ze smętnym uśmiechem. - Pomożesz mi przywiązać kotwicę do szyi?

- Co się stało?

- Otrzymałam ultimatum - stwierdziła bezbarwnym tonem, patrząc na swoje gołe stopy w białych sandałach. - Kurt grozi, że jeśli nie wyjdę za Sabona, coś złego spotka moją matkę i brata. Jest zdesperowany, chyba nie blefuje. Zainwestował wszystkie pieniądze w kontrakt z Sabonem i straci je, nie mając jego poparcia. Jeśli mu odmówię, zbankrutuje.

Twarz Pierce'a zachmurzyła się. Nie sądził, by nawet Brauer mógł posunąć się tak daleko w pogoni za bogactwem.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał. Spojrzała na niego z bladym uśmiechem.

- Nie domyślasz się? - Przesunęła dłońmi po udach. - Teraz albo nigdy.

Pierce zmrużył oczy, wpatrując się z namysłem w jej wiotkie ciało.

- Czy mogłabyś wyrażać się jaśniej?

- Proszę bardzo. - Wstała, rozpięła jedwabną bluzkę i zsunęła ją z ramion, odsłaniając szczupłe, jędrne piersi. - Teraz rozumiesz?

ROZDZIAŁ 5

Pierce nie chciał widzieć w Briannie kobiety. Bronił się przed tym. Bolał nadal nad stratą Margo i nie był jeszcze gotowy do nowego związku, zwłaszcza z osobą tak młodą i niewinną.

Ale widok tych delikatnych, pięknych piersi z twardymi, ciemnymi sutkami odebrał mu wszelką wolę oporu i pozbawił w jednej chwili zdrowego rozsądku. Zareagował błyskawicznie, a że był nagi, jego podniecenie stało się ewidentne. Brianna śledziła tę reakcję wzrokiem, w którym zachwyt i radość mieszały się z obawą i lękiem. Te ostatnie musiały przeważać, bowiem nagle skrzyżowała ręce na piersiach, wyraźnie tracąc pewność siebie.

- Przestraszyłaś się? - zapytał.

- Przepraszam - odwróciła wzrok. - Widzę to... po raz pierwszy - dodała z zażenowaniem.

Pierce wstał i podszedł do niej, ujmując powoli jej dłonie, którymi zakrywała lekko nabrzmiałe piersi. Odsłoniwszy je, patrzył z zachwytem na ich miękkie kształty.

- Są za małe - odezwała się niepewnie, zmieszana i nieporadna.

- Są idealne - odparł z lekkim uśmiechem, który rozproszył nieco jej lęk. - Czy są też napięte, nabrzmiałe? Czy sprawiają ci ból? - zapytał, zmierzwiwszy ją czułym spojrzeniem.

Skinęła niepewnie głową, zastanawiając się, skąd o tym wie.

- Chodź - szepnął - spróbuję temu zaradzić. Jego głos miał głębokie, łagodne brzmienie. Brianna zdawała sobie sprawę, że przez korony drzew docierają do nich promienie słońca, że zza dzielącego ich od plaży ogrodzenia słychać odgłos fal, że nad głowami przelatuje im z hukiem samolot, ale jej świadomość nie rejestrowała tego wszystkiego. Wzrok Pierce'a hipnotyzował ją i przenosił w całkiem inną rzeczywistość. Chciała się w niej znaleźć - i bała się, czy będzie umiała przekroczyć próg, za którym czekało na nią szczęście.

Wstrzymała oddech i podeszła do niego powoli. Była cała spięta. Pierce zawsze ją pociągał, zawsze pragnęła znaleźć się w jego objęciach i poczuć jego dłonie na swoim ciele, ale teraz... Teraz czuła się bezwolna i bezradna. Bezsilna wobec żywiołu.

Stała przy nim i czekała. On tymczasem uniósł powoli wielką, ogorzałą dłoń i powiódł palcami wzdłuż opadającej linii piersi. Briannę przeszedł dreszcz, zadrżała. Gdy zaś przyciągnął ją do siebie lekko drugą ręką i gdy poczuła na czole jego gorący oddech, westchnęła cicho i rozkosznie.

- Furtka... - szepnęła przez wyschnięte wargi. - Zamknijmy ją.

- Nie trzeba - wyszeptał w jej ucho. - Nikt tu nie wchodzi, kiedy się opalam. Będziemy sami. Tylko sami, słodka Brianno.

On też nie mógł powstrzymać pełnego ulgi i rozkoszy westchnienia. Ta dziewczyna była taka piękna, taka pachnąca, świeża, delikatna. Po raz pierwszy od śmierci Margo czuł, że żyje, a świadomość ta była jak zmartwychwstanie. Dotykał miękkiej piersi kobiety, wyczuwał pod ręką jej drżący puls, słyszał przyspieszony oddech i myślał o tym, jak cudownie byłoby zdjąć z niej wszystko i poczuć pod sobą całe jej ciało.

Serce zaczęło mu walić bez wytchnienia, gdy sobie to wyobraził. Nie myślał już o jej wieku, o dziewictwie, braku doświadczenia. Wszystko to przestało się liczyć. Czuł jedynie, że pałą go lędźwie i że spłonie, jeśli nie ugasi czym prędzej tego żaru.

Rozpiął jej dzinsy i rozsunął zamek błyskawiczny. Złapała go za rękę.

- Nie...

Spodziewał się takiej reakcji, więc pochylił się nad nią i szepnął:

- Wiem, to pierwszy raz.

- Będzie bolało.

- Czasami boli - przyznał. - Ale ja zrobię to delikatnie, czule... w promieniach słońca. - Musnął ustami jej górną wargę, a potem dolną, uwalniając rękę z uścisku. - Będiesz czuła tylko rozkosz, obiecuję...

Uśmiechnął się z satysfakcją, słysząc jej cichy jęk. Jęk przyzwolenia. Pochyliwszy głowę, przylgnął ustami do jej drobnej piersi i zaczął delikatnie ją całować. Czuł, jak Brianna się rozluźnia, jak przestaje mu się opierać, jak wplata palce w gęste czarne włosy na jego silnym karku.

Gdy ściągnął jej dzinsy do wysokości ud, poczuła na ciele upragniony powiew wiatru. Było jej tak gorąco, że nie mogła oddychać. Jego namiętne pocałunki sprawiały jej niemal ból.

Tymczasem Pierce już pieścił dłonią miejsce, które nie znało dotąd dotyku męczyzny. Powinna być zaszokowana, zawstydzona, oburzona, ale odczuwała tylko słodycz, przyprawiającą o zawrót głowy słodycz i narastające z każdą pieszczotą podniecenie. Już otwierała się przed nim, już nie próbowała się bronić, coraz bardziej wilgotna, niezaspokojona, przystępna.

Rozsunęła nogi. Odchyliła głowę do tyłu i wyprężyła się, pozwalając mu robić wszystko, co zechce. Czuła się wyzwolona jak nigdy przedtem; rozwiązała, bezwstydną, poddana bez reszty jego i swojej żądzy.

W ostatnim przeblasku świadomości odnotowała, że kładzie ją na dużym, grubym ręczniku, rozpostartym na trawie obok krawędzi basenu. Że nie ma już na sobie dzinsów i majtek, że jest naga, gotowa i pozbawiona lęku. Och, chciała, by już to zrobił, by nie czekał, by połączył się z nią natychmiast!

Pierce był jednak cierpliwy i opanowany. Nie spieszył się, zwlekał, sprawiał wrażenie, że nie chodzi mu o nic więcej, jak tylko o to, by wpatrywać się w nią z podziwem przez długie sekundy. Wreszcie uklęknął między smukłymi nogami Brianny i położył ręce na jej udach.

Zadrzała na widok jego pożądliwego spojrzenia i na myśl o rym, co za chwilę miało się stać. Nigdy nie widziała żadnego mężczyzny w takim stanie, ale zdawało się jej, że natura obdarzyła Pierce'a o wiele hojniej niż panów, których fotografie oglądała czasem z koleżankami w paryskich czasopismach.

Spodziewała się, że zacznie ją zaraz całować i pieścić, ale on, choć wyraźnie podniecony, wciąż tylko się jej przyglądał.

- Nie masz zamiaru tego zrobić? - zapytała szeptem.

- Czego?

- Kochać się ze mną.

Westchnął ciężko. Przesunął dłońmi po jej udach, aż ponownie zadrzała z rozkoszy.

- Bardzo tego pragnę - powiedział cicho. - Ale do końca życia miałbym wyrzuty sumienia.

- Nie... - zaprotestowała z grymasem na twarzy. - Weź tylko to, co sama chcę ci dać! Jeżeli pozostanę dziewicą, ten straszny człowiek...

- Nie wrócisz do domu, Brianno - przerwał jej, zaciskając mocniej dłonie na jej udach.

- Już nigdy. Zostaniesz tutaj.

Była zaskoczona, przestraszona. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Mam z tobą zamieszkać? - zapytała, nie kryjąc zdumienia.

Skinął głową, spoglądając z udręką na jej nogi, rozsunięte zapraszająco i w każdej chwili gotowe go objąć.

- Zgadzam się - szepnęła.

- Ale ojczym ci nie pozwoli. I zapewne znajdzie sposób, żeby sprowadzić cię z powrotem.

- Nie zmusi mnie do tego!

- Prawo będzie po jego stronie.

- Co więc zrobimy?

Przymknął oczy, jakby ostatkiem sił próbował powstrzymać wybuch rozkoszy.

- Musimy pojechać do Las Vegas.

- Do Nevady? - zapytała, wstrzymując oddech.

- Tak. - Zacerpnął powietrza, po czym zupełnie nieoczekiwanie wstał i pociągnął ją za sobą. - Masz naprawdę przepiękne ciało - mruknął, znów dotykając palcami jej piersi. Przez chwilę gładził je delikatnie, patrząc z przyjemnością, jak Brianna przeży się pod jego dotykiem. - Wierz mi, że gdybyś była o dwa lata starsza, nie wahałbym się ani przez chwilę. Ale jesteś zbyt młoda, by zostać czyjąkolwiek kochanką. Muszę się z tobą najpierw ożenić.

- Ty? Ze mną? - Brianna nie wierzyła własnym uszom. Oto spełniały się jej marzenia.

- Żartujesz... - Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Bynajmniej. - Pokręcił głową. - Za nic nie pozwolę, żebyś wpadła w łapy tego zbrojeńca. Tylko w ten sposób mogę cię przed nim ocalić.

- Nie musimy brać ślubu. Nie zechce mnie, kiedy się dowie, że miałam kochankę.

- Skąd wiesz? Poza tym jak mu to udowodnisz?

- Faktycznie... - stwierdziła, przygryzając dolną wargę.

Pierce chwycił ją w pasie i przyciągnął nagle do siebie. Zabrakło jej z wrażenia tchu, gdy poczuła, jak bardzo ciągle jest twardy.

- Nie bój się tego - rzekł z uśmiechem.

- Wcale się nie boję.

- Niepotrzebnie zaprzeczasz. Każda dziewczyna myśli na początku: jak to możliwe, jak on się tam zmieści? Ja się zmieszczę, Brianno.

Zaśmiała się z zażenowaniem.

- Może to udowodnisz?

- Po ślubie.

Spojrzała z zaciekawieniem w jego szeroką, ogorzałą twarz.

- Dlaczego właściwie ci na tym zależy? Tak dbasz o mój honor?

- Tak - odparł wprost. - Jestem staroświecki. Kobiety łatwo się zdobywa, ale z tobą będzie inaczej. Nie obchodzi mnie, jak postępuje cały świat. Mam własne poglądy.

- Małżeństwo albo nic, tak? - Dotknęła jego szerokiej piersi i zauważyła z zadowoleniem, że pod jej palcami zadrżały mu mięśnie.

- Tak.

- W porządku. Skoro tak uważasz...

Była wyraźnie zawiedziona, że nie doszło między nimi do zbliżenia już teraz, więc Pierce pogładził jej długie, miękkie włosy i powiedział łagodnie:

- Uwierz mi, że tak będzie najlepiej. - Cóż mi pozostaje?

Przesunął dłońmi po jej plecach i biodrach, potem przyjrzał się jej ustom.

- Dotykałem cię jak kochanek, ale jeszcze nie całowałem. A bardzo bym chciał.

- Ja też - westchnęła Brianna, unosząc głowę i obejmując jego szyję. - Pocałuj mnie, kochany.

Pierce pochylił się, muskając ustami jej wargi. Brianna rozchyliła usta, poddając się delikatnym muśnięciom jego warg i czując, jak ponownie narasta w nim pożądanie. Słyszac, jak ciężko dyszy, cofnęła się, a wówczas ujrzała w jego oczach dziwny blask. Jej niedoszły kochanek zacisnął zęby, jego nogi drżały lekko, twarz wykrzywił bolesny grymas. Czyżby coś mu się stało?

Instynkt powiedział jej, co ma robić, by mu pomóc. Przywarła do niego ponownie, naparła na wyraźnie wyczuwalną twardość, otarła się o niego udami. On zaś jęknął głośno, wpijając boleśnie palce w jej pośladki, znowu jęknął, a potem poruszył biodrami, szepcząc nieprzytomnie jej imię.

A więc i on tracił głowę! Nie spodziewała się tego, bo gdy ją dotykał, całkowicie nad sobą panował.

A gdyby tak ona go dotknęła?

Przyłożyła mu dłoń do brzucha i patrząc prosto w jego oczy, przesunęła powoli w dół. Pierce zacisnął zęby, ale nie próbował jej powstrzymać. Zawahała się przez moment, zawstydzona swoim zachowaniem.

- Chcesz mnie dotknąć... tam? - zapytał, z trudem łapiąc oddech.

Skinęła głową, on zaś ujął wówczas jej dłoń i przyłożył powoli, gdzie sama nie śmiałaby dotknąć, Brianna uśmiechnęła się z radością, zaciekawieniem i fascynacją.

- Pokaż mi, jak to się robi - powiedziała bezwstydnie, wciąż patrząc mu w oczy.

- Chcesz przeżyć szok?

- I tak kiedyś będę musiała go przeżyć. Milczał długą chwilę, wreszcie znów ujął jej dłoń i zademonstrował cierpliwie, w jaki sposób może sprawić mu rozkosz. Brianna szybko pojęła tę naukę. Wkrótce Pierce zaczął drzeć na całym ciele, jego wszystkie mięśnie stężały i zeszywniały, wreszcie z głuchym jękiem dał upust rozsadzającej go żądz, nie spuszczać przy tym nieprzytomnego wzroku z Brianny, która cały czas patrzyła na niego z radosną fascynacją.

Gdy ochłonął, przygarnął ją do siebie, spocony i drżący. Śmiał się radośnie w pełnym słońcu, nie wstydząc się ani trochę swej nagości. Potem chwycił ją wpół i zaniósł z powrotem na ręcznik, na którym przedtem leżeli.

Tym razem całował ją w sposób, o jakim dotąd czytała tylko w książkach. Brianna prężyła się, drżała, wiła i lkała z rozkoszy, jakiej dziesięć minut wcześniej nie potrafiłaby sobie wyobrazić. Było to przeżycie tak nieoczekiwane i tak intensywne zarazem, że gdy nadeszło wreszcie spełnienie, nie wiedziała, kim jest i gdzie się znajduje. Przyciągnęła ukochanego do siebie, wygięła się w łuk i roztopiła w ekstazie. Nigdy wcześniej nie doświadczyła niczego podobnego.

Długo nie mogła wrócić do równowagi. Na całym ciele czuła gorące pocałunki Pierce'a, które działały na nią kojąco, ale też rozpałały ją na nowo. W końcu Pierce ulitował się nad nią, zaprzestał pieszczot i roześmiał się na widok jej zawiedzionej twarzy.

- Zaspokoiliś moje pragnienia - stwierdził.

- Tak, ty moje też. Ale... nie sądziłam... nie wyobrażałam sobie nawet... - Spojrzała mu w oczy. - Czy to... zgodne z naturą?

Uśmiechnął się szeroko.

- Zależy od punktu widzenia. A czy sprawiło ci przyjemność?

- Och, tak... - szepnęła niepewnie, czerwieniąc się ze wstydu.

- Mnie także - rzekł cicho. Położył się obok Brianny i przyciągnął ją leniwie do siebie.

- To tylko przedsmak prawdziwej rozkoszy, ale na razie wystarczy.

Słowo „rozkosz” tak słodko zabrzmiało w jego ustach, że Brianna znów poczuła rozlewającą się po jej ciele słodką, ciepłą falę. Poruszyła się na ręczniku, z mimowolnym jękiem wygięła plecy w łuk.

- Znowu? Tak szybko? - spytał łagodnie, pochylając się nad nią.

Otworzyła oczy i patrząc na niego półprzytomnie, przeciągnęła się zmysłowo.

- Przepraszam. Może nie jestem zupełnie normalna.

- Jesteś całkowicie normalna. I niezwykle fascynująca - odparł poważnie, kładąc dłoń na jej łonie.

Nie bronila się. Patrzyła mu śmiało w oczy, jakby chciała powiedzieć: „Tak, zrób to raz jeszcze. Właśnie tego pragnę. „

- Czy to nie boli? - zapytał z kamienną twarzą, sięgając w głąb jej kobiecości.

Pokręciła głową.

- Tylko trochę...

Pochylił się nad nią jeszcze bardziej.

- Czy wiesz, co robię, Brianno?

- Domyślam się.

- Nie odwracaj głowy, proszę. I nie zamykaj oczu. Chcę być... z tobą.

Wygiąwszy lekko plecy, skrzywiła się z bólu.

- Czujesz, jak pęka? - spytał Pierce.

- Och... tak!

Patrzyli na siebie szeroko rozwartymi oczami. Było to najbardziej intymne przeżycie, jakiego Pierce'owi dane było doświadczyć z kobietą. Intymniejsze niż uprawianie seksu. Sam nie wiedział, dlaczego to zrobił, ale teraz nie żałował już swej decyzji. Czuł, jak przeszkoda puściła. Naprawdę czuł to!

- Wielki Boże! - wyszeptał z przejęciem, a wówczas Brianna przywarła do niego z cichym szlochem.

- Pierce... - westchnęła. - Och, Pierce...

Nie czuła już bólu, tylko lekkie odrętwienie. Myślała, że po tym, co się stało, będą się kochać, tak naprawdę, rozchyliła nawet zapraszająco swoje smukłe nogi, ale Pierce pokręcił powoli głową.

- Kiedy cię posiąde - szepnął - nie poczujesz ani odrobiny bólu.

- Ale... dlaczego nie teraz? - zapytała.

- Ponieważ nie chcę, żeby seks kojarzył ci się z cierpieniem. - Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta. - Będiesz wspominała nasze pierwsze zbliżenie jako bezgraniczną rozkosz.

- Wiem - odpowiedziała szeptem. - ty też. Uniosła się ponownie i pocałowała go zaborczo, ocierając się z uwodzicielskim uśmiechem o jego muskularne ciało. Pierce pomógł jej wstać.

Dopiero dużo później uświadomił sobie, że po raz pierwszy od dwóch lat zupełnie zapomniał o Margo. Och, chwilami zapominał już o niej wcześniej, ale zawsze pozostawała gdzieś w głębinach jego pamięci. To z tego powodu nigdy nie był w stanie zatracić się w ramionach żadnej kobiety.

Teraz było inaczej. Brianna budziła w nim pożądanie, jakiego nie zaznał od czasów młodości. Nie była to miłość, ale to nic. Ich związek i bez miłości mógł okazać się trwały. Pierce zamierzał poślubić Briannę, aby ochronić ją przed Philippem Sabonem, ale przecież nie działał wyłącznie z pragmatycznych pobudek. Kierowała nim raczej dzika namiętność. Namiętność i wola życia. Chciał żyć, a Brianna przywracała mu radość życia. Dzięki niej mógł wyjść z mroku w światło dnia.

Oczywiście była dla niego o wiele za młoda, ale gdyby jej się znudził, gdyby zapragnęła kogoś w swoim wieku, zawsze będą mogli się rozstać. Tymczasem miał zamiar cieszyć się jej słodkim, gibkim ciałem i znaleźć zapomnienie. Nad resztą się nie zastanawiał.

Jeszcze tego samego popołudnia polecili do Las Vegas, a kilka godzin później stali obok siebie w kaplicy. Brianna wystąpiła w krótkim białym żakiecie i kapeluszu z welonem, trzymając w ręce bukiet białych róż. Wcześniej dokonali błyskawicznych zakupów, świetnie się przy tym bawiąc. Pierce pomógł jej wybrać odpowiedni strój, drwiąc z przesądu, że nie powinien oglądać w nim panny młodej przed ślubem. Sam założył smoking, a był w nim tak przystojny, że przyciągał zazdrosne spojrzenia kobiet, gdy wychodzili z wielkiej czarnej limuzyny do kaplicy, w której miała odbyć się ceremonia.

Obrączkę dla Brianny też kupili na miejscu. Była repliką wiktoriańskiej biżuterii, wykonaną z czternastokaratowego złotego złota z jaśniejszym obramowaniem i wygrawerowanymi pośrodku liśćmi bluszczu. Pasowała idealnie do smukłego palca Brianny i bardzo jej się podobała.

Pierce nie zdjął swojej starej obrączki. Nie miała odwagi go o to prosić i zapewne źle postąpiła, ale wszystko działo się tak szybko, że nie było czasu się tym martwić.

Pastor odprawiał ceremonię w obecności dwóch opłaconych świadków. Po słowach przysięgi Pierce uniósł welon Brianny i czule ją pocałował. Miał przy tym bardzo poważny wyraz twarzy, a ona nie mogła nie pomyśleć, czy jej mąż nie wspomina czasem pierwszej żony i nie porównuje obu ceremonii. Z pewnością nie pobierali się w podobnym miejscu. Tym razem ślub musiał odbyć się szybko, gdyż w przeciwnym razie Kurt z pewnością znalazłby jakiś sposób, by do niego nie dopuścić. Brianna żałowała jednak w duchu, że nie ma na sobie pięknej długiej sukni, o jakiej zawsze marzyła, i że twarz pana młodego nie emanuje radością i miłością. Nie wątpiła, że budzi w nim sympatię i pożądanie, ale czy to wystarczy, by utrzymać go przy sobie?

Gdy wyszli z kaplicy, spojrzała z niepokojem w jego czarne oczy.

- Przestań się dręczyć - powiedział drwiąco, trącając ją palcem w czubek nosa. - Zobaczysz, że będziemy szczęśliwi.

- Mam nadzieję - odparta z przejęciem.

Pierce westchnął ciężko. Z jego oczu zniknął wyraz rozbawienia. Patrzył na Briannę w milczeniu, wreszcie odezwał się cicho:

- Mój Boże, wciąż nie mogę zapomnieć, jaka jesteś młoda...

- Postaram się szybko o zmarszczki, jeśli sobie tego życzysz - zażartowała. - Będę moczyła twarz w wodzie, aż pofałduje mi się skóra.

- Jedno wiem na pewno - Pierce roześmiał się na te słowa. - Przy tobie na pewno nie będę się nudzić!

- Postaram się o to, mój mężu.

Gdy wsiedli z powrotem do czarnej limuzyny, Brianna wtuliła się w jego ramię i szepnęła mu zalotnie do ucha:

- Skoro jesteśmy już małżeństwem, to może zabierzesz mnie do najbliższego motelu i zapieścisz na śmierć?

Pierce uśmiechnął się jak ojciec znoszący pobłażliwie kaprysy dziecka.

- Niczego bardziej nie pragnę, kochana. Ale musimy odlecieć stąd najbliższym samolotem. - I nie będzie podróży poślubnej?

- Pobraliśmy się, żeby uchronić cię przed Sabonem - przypomniał jej poważnie. - Wierz mi - dodał szybko, widząc nagły smutek w jej oczach - że to, co robiliśmy przy basenie, sprawiło mi wielką przyjemność. Kiedyś na pewno będziemy się kochać, ale teraz na to nie pora.

- Dlaczego? Co znowu się stało?

- Widzisz, Brianno, mamy pewien poważny problem. Nie chciałem ci o nim mówić, żeby nie psuć uroczystości. Teraz jednak powinnaś się dowiedzieć.

- O czym? - zapytała, pełna najgorszych przeczuć.

ROZDZIAŁ 6

Pierce skrzywił się, jakby nie miał ochoty nic mówić.

- No dobrze - westchnął - chyba nie powinienem dłużej tego przed tobą ukrywać. Otóż kiedy przebierałaś się w hotelu, zatelefonowałem do Artura. Powiedział, że dzwoniła twoja matka i że pytała o ciebie. Wygląda na to, że miała... mały wypadek.

- Boże święty!

- To nic poważnego - uspokoił ją szybko. - Podobno poślizgnęła się na schodach i upadła. Artur mówi jednak, że była przerażona i że chciała pilnie z tobą rozmawiać. Nie zdradził jej oczywiście, gdzie jesteśmy. Powiedział tylko, że dzisiaj na pewno wrócimy.

Brianna pokiwała domyślnie głową.

- Wiem, o co chodzi. To pewnie Kurt ją pobił. Groził, że zemści się na niej albo na dziecku, jeśli nie będę mu posłuszna. Mówił, że Philippe dzisiaj wraca i chce się ze mną zobaczyć. - Westchnęła. - Po co ona za niego wyszła? - zapytała ze złością po raz nie wiadomo który. - Nie widziała, co to za człowiek?

- Jest bogaty - zauważył Pierce.

- No tak - uśmiechnęła się krzywo - mojej matce to wystarczy. Czy myślisz, że zechce ją skrzywdzić? Albo dziecko?

- Na razie są chyba bezpieczni. Ale kiedy Sabon dowie się, co zrobiliśmy, dostanie szau. Nie pogodzi się tak łatwo z tym, że mu ciebie odebrałem. Będzie szukał zemsty i na nas, i na twojej rodzinie. Kurt zapewne także.

Brianna poczuła przyspieszone bicie serca.

- Co więc proponujesz? - zapytała, odgarniając do tyłu włosy.

- Przede wszystkim nie wracasz do domu - stwierdził z ponurą miną. - Polecimy z powrotem do Freeport zamiast do Nassau. Załatwiłem już, żeby podstawili nam samochód z kierowcą, który jest równocześnie ochroniarzem. W zaistniałych okolicznościach nie mogę polegać tylko na Arturze. Zostaniemy na razie we Freeport, aż wszystko się uspokoi i będę mógł sprowadzić mojego szefa ochrony z całą ekipą.

- Naprawdę myślisz, że Philippe Sabon stanowi dla nas zagrożenie? - zapytała z niepokojem.

- Owszem - odparł, biorąc ją za rękę. - Ale nie martw się, nic ci się nie stanie. Teraz ja odpowiadam za ciebie. Jesteś pod moją opieką.

Brianna przygryzła wargę.

- To jakiś koszmar! - jęknęła. - Żyjemy w końcu dwudziestego wieku! Takie rzeczy nie powinny się zdarzać! Zupełnie obcy człowiek nie może chcieć, żebym za niego wyszła!

- Sabon jest bardzo bogaty. Zdobywa zwykle wszystko, czego pragnie. Twój ojczym nawet nie zdaje sobie sprawy, w co się wpakował. - Pierce spojrział na wyraźnie bladą twarz Brianny. - Uważam, że powinnaś zamieszkać w Stanach, gdzie mój szef ochrony będzie cię miał na oku. Nadal zamierzasz studiować matematykę?

Wpatrywała się w niego, z trudem ukrywając przerażenie. Dopiero co ją poślubił. Marzyła, że z nim zamieszka, będzie go kochała i spała w jego objęciach, a on tymczasem proponuje jej wyjazd i studia.

- Nie myślałam o tym ostatnio - wyznała szczerze.

- Jeszcze nie jest za późno. Załatwię ci miejsce na jakiejś małej uczelni w pobliżu Waszyngtonu. Pod przybranym nazwiskiem, żeby Sabon cię nie odnalazł. A nawet gdyby mu się to udało, Tate Winthrop albo któryś z jego ludzi będzie w pobliżu. Będą cię strzec dzień i noc, dopóki to się nie skończy.

- Nie mogłabym zostać z tobą? - zapytała, unikając jego spojrzenia.

Pierce westchnął ciężko.

- Bardzo bym tego pragnął - odparł z niewzruszoną powagą. - Ale po tym, co między nami zaszło... to niemożliwe.

- Nie rozumiem - powiedziała zaskoczona.

- Doprawdy? - Zaśmiał się chłodno. - Posłuchaj, kochanie. Jesteś łakomym kąskiem, a ja wygłodzonym samotnikiem. Nie pomogą moje najlepsze intencje, jeśli pozostaniemy zbyt długo pod jednym dachem.

- Ale ja ciebie pragnę!

- Nie mnie, tylko seksu.

- Jak możesz! - zaprotestowała, dotknięta jego uwagą, jednak Pierce zdawał się głuchy na jej oburzenie.

- Kusi cię po prostu zakazany owoc - mówił. - Odkryłaś właśnie zmysłową miłość i chcesz zgłębić jej sekrety. Ja już je poznałem. Mogę ci ofiarować kilka namiętnych nocy w swoim łóżku, ale unieszczęśliwiłbym cię, gdybym za bardzo zasmakował w tych rozkoszach. Związałibyśmy się zbyt mocno, przyzwyczaili do siebie.

- Czy to źle?

- Masz dobre serce, Brianno. Wiem, że nie potrafiłabyś odejść, a byłoby to konieczne. Ja jestem samotnikiem. Nie potrzebuję żony.

- Ożeniłeś się ze mną - przypomniała mu tonem oskarżenia.

- Żeby ochronić cię przed Sabonem - przyznał, patrząc na nią z uwagą. - Masz dopiero dwadzieścia lat, kochana. Jesteś naiwna, szczerza, chcesz złożyć mi w ofierze swoje serce. Doceniam to, ale proszę cię jednocześnie: nie rób tego. Pożadam cię, mógłbym cię wykorzystać i porzucić bez skrępulów następnego ranka. Zraniłbym twoją duszę. Jesteś taka wrażliwa, Brianno, taka ufna. Nie chcę twojej krzywdy...

- A ja nie chcę więcej słuchać tych pokrętnych tłumaczeń - przerwała mu ostro. - Powiedz lepiej wprost, o co ci chodzi. Czy to wszystko znaczy, że pozwoliłeś mi zostać twoją żoną, zakładając, że zgodzę się z tobą przespać, a potem zniknąć? - spytała oschle, nie chcąc, by dostrzegł, jak bardzo boli ją serce.

- Właśnie.

- Nie ma sprawy.

- Och, nie udawaj, że traktujesz to tak lekko - odpowiedział natychmiast. - Jesteś we mnie po uszy zakochana. Sądziłaś, że tego nie widać? Przypominasz otwartą książkę. Nie potrafisz maskować swoich uczuć.

Westchnęła głęboko, odgarniając nerwowo włosy.

- W porządku, nie próbuję nawet tego zrozumieć, bo już sama nie wiem, o co tak naprawdę ci chodzi. Powiedz mi tylko, co teraz zrobimy - zapytała, patrząc w przyciemnioną szybę limuzyny.

- Ty zaczniesz studia, a ja zajmę się nową inwestycją.

- Nie chcesz ze mną sypiać?

- Chcę - przyznał bez ogródek. - Marzę o tym. Ale ja, w przeciwieństwie do ciebie, potrafię się kontrolować. Zaczekajmy, aż trochę dorośniesz.

Spojrzała na niego smutnymi zielonymi oczami.

- Uważasz, że ślub zawarty w tak wulgarnym miejscu cię nie obowiązuje, tak? Skoro tak, to chyba rzeczywiście musimy się rozstać. Inaczej o tobie myślałam.

Pierce uniósł brwi i spojrzał na nią z niepokojem. - W wulgarnym miejscu? - powtórzył zdumiony.

- A jak byś je określił? - zapytała cicho, odwracając głowę.

Nie zastanawiał się nad tym wcześniej. Rzeczywiście, było to szczególne miejsce, gdzie organizowano tandetne ceremonie, pozwalające dziewczynom zapomnieć o zasadach i zawrzeć szybko ślub, po którym następował jeszcze szybszy rozwód.

Gdy uświadomił sobie ten fakt, natychmiast sposepniał. Brianna, choć z pozoru taka śmiała i nowoczesna, hołdowała tradycji. Kreowała się na bezwstydnicę i cyniczkę, lecz w gruncie rzeczy była romantyczką i idealistką. Z pewnością marzyła o ceremonii w kościele, w

długiej białej sukni, w otoczeniu druhen. Margo miała taki właśnie ślub. Co prawda Brianna musiała wychodzić za mąż w pośpiechu, ale mógł zadbać o bardziej tradycyjną oprawę uroczystości.

- Przepraszam - powiedział ze szczerym ubolewaniem. - Byłem tak tym wszystkim przejęty, że nie pomyślałem o szczegółach. Wolałabyś brać ślub w kościele, prawda?

- A jak było z tobą? - zapytała, odwracając wzrok.

- Margo uznała, że nie czułaby się mężatką, gdybyśmy nie mieli stosownej ceremonii.

- Pierce dostrzegł na twarzy żony bolesny grymas i ponownie zdał sobie sprawę, jak bardzo ją zranił.

- A więc postąpiliśmy jak należy - stwierdziła zadziwiająco spokojnym tonem. - To tylko fikcyjne małżeństwo, mające uchronić mnie od poważniejszych problemów. Ślub kościelny byłby tu świętokradztwem. Przepraszam za niepotrzebne uwagi, Pierce. Powinnam być ci wdzięczna, zamiast się czepiać.

Ujął jej chłodną dłoń, popatrzył w oczy.

- Za mało się znamy - powiedział, wyczuwając, że jest urażona. - Pewnie jeszcze nie raz sprawimy sobie przykrość.

- Nie ma obawy. Skoro ja będę w Stanach, a ty w Nassau... - Uśmiechnęła się cierpko.

- Tego przecież chcesz, prawda? Zresztą, nawet gdyby nie prześladował mnie ten szaleniec, wolałbyś, żebyśmy widywali się tylko od czasu do czasu.

- Zgadza się.

- Sam więc widzisz. - Westchnęła ciężko. - W porządku, Pierce, nie będę sprawiała ci kłopotów. - Zdjęła z palca obrączkę i wręczyła mu ją bez słowa.

Spojrzał na nią z wyrzutem.

- Co to ma znaczyć?

- Jesteś nadal mężem innej kobiety. - Wskazała obrączkę na jego lewej ręce. - Nie mam zamiaru z nią konkurować.

Puścił raptownie jej dłoń i odezwał się szorstko:

- Nie zdejmę tej obrączki, jeśli o to ci chodzi. Nigdy. A już na pewno nie po to, by sprawić przyjemność dziewczynce, której się wydaje, że jest dorosła!

Spokojny, lecz dobitny ton jego głosu sprawił, że Briannie przeszły po plecach ciarki. Nie zamierzała jednak oddawać mu pola.

- Przykro mi, panie Hutton, że mam zbyt mało doświadczenia, żeby być dla pana odpowiednią partnerką w tej grze - stwierdziła. - Ale wkrótce je zdobędę. Skoro nie jestem

tak naprawdę twoją żoną, mogę umawiać się z innymi mężczyznami. W sumie tego chcesz, prawda? Powinnam sobie kogoś znaleźć i zniknąć z twojego życia.

- Chcę tylko uchronić cię przed Sabonem - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- Tylko!

- Tak, tylko! Tylko to mnie obchodzi! A co do innych mężczyzn - dodał powoli - jeśli złamiesz małżeńską przysięgę, lepiej dobrze się przede mną ukryj.

- Słucham? - Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Powiedziałem wyraźnie. Wzięliśmy ślub. Nieważne, w jakim miejscu. Żadna kobieta nie będzie przyprawiać mi rogów!

- Sam sobie zaprzeczasz. A na dodatek jesteś zazdrosny.

- To nie ma nic wspólnego z zazdrością! O fikcyjnym małżeństwie nie może być mowy ze względu na Sabona, nie na mnie. Musimy udawać, że naprawdę jesteśmy mężem i żoną, że kochamy się i jesteśmy sobie wierni. Gdybyśmy pozwolili komukolwiek myśleć inaczej, twój ojczym skwapliwie by to wykorzystał i pchnął cię w jego ramiona. Jeśli więc będziesz umawiać się na randki, nie uwierzy, że masz męża.

- Nie on jeden - stwierdziła ponuro. Twarz Pierce'a stężała.

- Stawiam sprawę uczciwie - rzekł chłodno. - Wolałabyś, żebym cię uwiódł, zanim polecimy do Stanów?

Nie chciała drażnić tego tematu. Włożyła obrączkę z powrotem na palec i zapytała:

- Nie sądzisz, że Sabon zrezygnuje z walki i wróci do domu, kiedy dowie się, że wzięliśmy ślub?

Pierce zawahał się, jakby zamierzał nalegać, by odpowiedziała na zadane przez niego pytanie, w końcu jednak odparł:

- Moim zdaniem tym bardziej będzie się starał cię zdobyć.

Potem nie odezwał się już do chwili, gdy zajęli miejsca w samolocie. W czasie lotu Brianna zasnęła, lecz nagle coś ją obudziło. Ocknęła się i zobaczyła, że Pierce patrzy w zamyśleniu na stewardesę, podgrzewającą w przedniej części kadłuba tacki z daniami dla pasażerów.

- Zaraz podadzą obiad. Zjesz coś? - zapytał, widząc, że nie śpi.

- Chętnie.

- A może najpierw napijesz się szampana? - Wyciągnął z oparcia fotela rozkładany blat.

- Szampana? W samolocie?

- Na pewno leciałaś z Paryża pierwszą klasą? - zapytał, przyglądając się jej uważnie.

- Oczywiście, że nie - mruknęła. - Brauerowi od roku brakuje pieniędzy. Mówiąc między nami, jest chyba na skraju bankructwa.

- Nic dziwnego, że tak mu zależy na względach Sabona - stwierdził z namysłem Pierce. - Jeśli ulokował cały kapitał w tym przedsięwzięciu, znalazł się w poważnych tarapatkach.

- Dlaczego? Pierce rozłożył swój blat.

- Ponieważ współpracujemy z konsorcjum spółek naftowych, budujących na zlecenie Rosjan platformę na Morzu Kaspijskim. Kiedyś ci o tym wspominałem, pamiętasz? Poprowadzimy rurociąg przez... - Wymienił nazwę kraju, a wówczas Brianna otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Przecież Amerykanie nałożyli na nich sankcje! Nic dziwnego, że Brauera to martwi. Zacznie się walka o wpływy, a wtedy on straci swoje pieniądze. Ale ty masz przecież amerykańskie obywatelstwo, prawda? Czy ciebie te sankcje nie dotyczą?

- Nie mam amerykańskiego obywatelstwa - odparł, przypominając jej o swoim europejskim rodowodzie.

- Zapomniałam - powiedziała ze skruchą. - Mówisz tak znakomicie po angielsku. Bez żadnego akcentu.

- Mój dziadek zawsze powtarzał, że muszę opanować angielski do perfekcji, bo posługują się nim ludzie interesu. Poza tym sporo czasu spędzam w Stanach.

Brianna odsunęła się, żeby stewardesa mogła położyć na blat tacę z jedzeniem, i zaczękawszy, aż również Pierce zostanie obsłużony, rozłożyła na kolanach serwetkę.

- Chyba nie znam się na międzynarodowej polityce - wróciła do przerwanej rozmowy.

- Powinnaś się uczyć - odparł z uśmiechem. - Łatwiej jest porozumieć się z ludźmi, gdy znamy ich poglądy i przekonania.

- Iloma językami mówisz?

- Płynnie tylko trzema. - Wzruszył ramionami i spojrzał na nią z uśmiechem. - Wiesz, kto dla Araba jest analfabetą?

- Nie.

- Człowiek, który posługuje się tylko jednym językiem.

Brianna zaśmiała się zaskoczona.

- Więc należę do tej kategorii.

- Nauczę cię greki - zaproponował. - Pięknie brzmi. Wiedziała, że Pierce mówi także po francusku, ale tymi umiejętnościami nie chciał się jakoś z nią dzielić. Ciekawe dlaczego? Zapewne ze względu na Margo, która była Francuzką. Może wyznawał jej miłość w tym

języku? Zerknęła odruchowo na jego duże, silne dłonie i westchnęła ciężko, przypominając sobie, jaką rozkosz sprawiał jej ich dotyk.

Pierce usłyszał to westchnienie i spojrzał jej pytająco w oczy. Zarumieniła się natychmiast i szybko spuściła wzrok. Boże, niczego nie potrafiła przed nim ukryć. Czytał z jej twarzy jak z książki.

Zjadła powoli potrawkę z kurczaka i uśmiechnęła się do stewardesy, która nalała jej czarnej kawy. Zauważyła, że Pierce też pije kawę bez cukru i śmietanki.

- Gdzie zamieszkamy we Freeport? - zapytała nagle.

- Zarezerwowałem apartament w jednym z hoteli. Zameldujemy się pod przybranymi nazwiskami. Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Zawiadomiłem też Winthropa. Zjawi się z którymś ze swoich ludzi.

- Naprawdę poważnie do tego podchodzisz. Skinął głową, popijając kawę.

- Jeśli nasze informacje są ścisłe, twój ojczym wyrusza dzisiaj do Waszyngtonu. - Spojrzał na nią uważnie. - Słyszałem bardzo niepokojące pogłoski. Gra idzie o dużą stawkę. Kraj Sabona sąsiaduje z ubogim państwem, które marzy o zagarnięciu drogocennej ropy, bo własne zasoby ma już na wyczerpaniu. Dysponuje za to nowoczesną bronią i poparciem potężnych sojuszników.

- Mój Boże! - przeraziła się Brianna. - Nie sądzisz chyba, że mogą zaatakować Kwawi?

- Tak właśnie myślę. Sabon też dobrze o tym wie. Pewnie wciągnął Brauera w swoje przedsięwzięcie właśnie dlatego, że ten ma przyjaciela w amerykańskim Senacie. Chce się nim posłużyć, żeby uzyskać pomoc od Stanów Zjednoczonych. Sam nie może na nią liczyć, bo wspierał przeciwników USA podczas wojny w Zatoce Perskiej. Gdyby Brauer zdołał zapewnić mu ochronę ze strony Amerykanów, proponując w zamian część zysków z wydobycia ropy, Sabon mógłby sfinalizować transakcję z konsorcjum naftowym. W przeciwnym razie może być zmuszony do zaatakowania sąsiedniego kraju.

- Sam rozpocząłby wojnę?

- Owszem. - Pierce spojrzał na nią, wycierając usta serwetką.

- To przerażające.

- Zgadza się. Bliski Wschód jest beczką prochu. Wystarczy iskra, by rozgorzał konflikt w całym regionie. Omal do tego nie doszło na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy Irak napadł na Kuwejt. Tym razem byłoby jednak jeszcze gorzej. Poszczególne kraje opowiedziałyby się po jednej lub drugiej stronie i wojna mogłaby się rozszerzyć aż do Zatoki Perskiej. - Westchnął ciężko. - Ucierpieliby na tym wszyscy, którzy mają inwestycje na Morzu

Kaspijskim. A nawet gdyby wojna ogarnęła tylko dwa kraje, groziłyby nam opóźnienia dostaw i akcje terrorystów. Jeśli Brauer nie nakłoni Amerykanów do współpracy, może opłacić najemników, żeby dokonali zamachu na naszą platformę wiertniczą i obarczyć winą przeciwników Sabona. Sprowadziłoby to na nich reperkusje ze strony Rosjan, a w rezultacie interwencję Stanów Zjednoczonych. Strach pomyśleć o ewentualnych konsekwencjach takiej sytuacji.

- Chyba nie wszystko z tego rozumiem.

- Pocieszę cię: nie ty jedna.

- A ty rozumiesz?

- Staram się.

- I nic nie możesz temu zaradzić?

- Staram się - powtórzył. - Winthrop pracuje bez wytchnienia. Zapobiegł już jednemu zamachowi. Wierzę, że dzięki niewielkiej pomocy znajomych z wywiadu poradzi sobie i z następnymi. Im też zależy, żeby mieć wszystko pod kontrolą.

- Domyślam się. - Brianna wypła łyk kawy, zerkając na niego znad plastikowego kubka. - To bardzo ekscytujące, choć chyba niebezpieczne - oznajmiła po chwili, a potem dodała: - Ja nigdy nie robiłam niczego ryzykownego. Całe moje życie składało się z nudnych, monottonnych dni. No, prawie całe - poprawiła się. - Ty jesteś moją największą przygodą.

Pierce poprawił się w swoim fotelu.

- Ty też - mruknął, wcale się nie uśmiechając. - Wprowadziłaś zamęt w moje życie.

- I bardzo dobrze - odparła. - Potrzebowałeś tego. Zaczynałeś powoli usychać. O wiele za wcześnie.

- Wcale nie usychałem - zaproponował.

- Owszem. Przesiadywałeś w barach, stając się łatwym łupem dla złodziei. - Zmarszczyła brwi i zacisnęła usta. - A gdyby ta blondyna, która obserwowała cię w Paryżu, była agentką CIA?

Pierce zaśmiał się krótko.

- Nie znam żadnych tajemnic o znaczeniu strategicznym. Prowadzę tylko moją skromną firmę. Nie wykonuję wierceń, nie wiem nawet, jak to się robi.

- Ale potrafisz skonstruować platformę wiertniczą. Opatentowałeś nawet model szybu do eksploatacji płytkich złóż, prawda?

Pierce był zaskoczony jej pytaniem.

- Nie wiedziałem, że znasz się na przemyśle naftowym.

- Dopiero od niedawna. Kiedy odprowadziłam cię do hotelu w Paryżu, doszłam do wniosku, że skoro będę się zadawać z człowiekiem, który buduje platformy wiertnicze, muszę mieć o tym jakieś pojęcie.

- Dlaczego sądziłaś, że się jeszcze spotkamy? - zapytał zdziwiony. - Nie zamierzałem jechać do Nassau ani cię odwiedzać.

- Tak przypuszczałam. Ale masz tam dom, więc postanowiłam złożyć ci wizytę. Niestety, zabrakło mi odwagi. Gdyby nie było cię na przyjęciu, na które zabrał nas Kurt, zetknęlibyśmy się chyba tylko przez przypadek.

- Sam nie wiem, co o tym myśleć - rzekł, dopijając kawę.

- Ja tam myślę, że to przeznaczenie. Po prostu musieliśmy się spotkać. Pan Bóg pomyślał sobie kiedyś, że ułoży historię, która będzie zaczynała się od słów: „Pewnego razu w Paryżu Brianna spotkała Pierce'a. Ona była zwykłą uczennicą, a on opłakiwał śmierć ukochanej żony... „

- Przestań - przerwał jej.

- Dlaczego? Nie było tak?

- To czysty przypadek, żadne przeznaczenie.

- Moim zdaniem byliśmy sobie pisani.

- Powiedziałem ci już, że jesteś dla mnie za młoda.

- Tylko o siedemnaście lat.

- Osiemnaście.

Brianna skrzywiła się, udając pretensję.

- Nie wspominałeś, że miałaś urodziny.

- A więc miałem.

Jego chłodne spojrzenie zniechęciło ich do żartów.

Odłożywszy widelec, rozpakowała czekoladowe ciastko, które stanowiło deser, i zaczęła jeść je w skupieniu. Nie byłaby jednak sobą, gdyby nie odezwała się po chwili:.

- Nie wiem nawet, jaką lubisz muzykę, jakie czytujesz książki i co robisz w wolnym czasie.

Pierce wyraźnie nie miał ochoty rozmawiać o tych sprawach. Nie chciał dopuścić do poufałości i zażyłości, która mogłaby związać ich ze sobą zbyt mocno. A jednak, jakby wbrew sobie, odpowiedział:

- Mam kilku ulubionych kompozytorów: Debussy, Respighi, Puccini, a ze współczesnych John Williams, Jerry Goldsmith, James Horner i David Arnold. No i

oczywiście Erie Serra. Czytam prawie wszystko, ale najchętniej biografie i historię starożytnych Greków i Rzymian.

- Ja też lubię tych kompozytorów - stwierdziła Brianna. - I uwielbiam operę. Szczególnie Turandota i Madame Butterfly Pucciniego.

Pierce wolał jej nie mówić, że ma taki sam gust.

- A co czytujesz? - zapytał.

- Oczywiście romanse - odparła z szerokim uśmiechem.

- No tak, jesteś jeszcze dość młoda i naiwna, by wierzyć w szczęśliwe zakończenia - stwierdził lekko drwiącym tonem. - Ja swoje przeżyłem i wiem, że to tylko bajki.

- Przeżyłeś dziesięć cudownych lat z kobietą, która odwzajemniała twoją miłość - zauważyła. - To także była bajka?

- Tak, bajka - odparł. - Tylko bez happy endu. Moja żona umarła.

- Może odrobina radości, chwila szczęścia, to wszystko, czego należy oczekiwać od życia - stwierdziła filozoficznie Brianna. - A gdybyś w ogóle nie poznał Margo? Czy wtedy byłbyś szczęśliwszy?

Nie chciał odpowiadać na to pytanie. Odwrócił wzrok, spojrzął szklanym wzrokiem na resztki czekoladowego ciastka, a wtedy Brianna odpowiedziała za niego:

- Nie byłbyś. Miałeś ogromne szczęście, że spotkałeś tak niezwykłą kobietę. Twoje wspomnienia to twój skarb.

Pierce nigdy nie uważał się za szczęściarza. Ale może rzeczywiście nim był. Margo kochała go bezgranicznie. Spojrzawszy na Briannę, pomyślał ze zdziwieniem, że jego zmarła żona także by ją pewnie polubiła. Pod wieloma względami były zresztą do siebie podobne. Potrafiły współczuć i pomagać innym. Brianna nie miała urody Margo, ale także przyciągała uwagę.

- Nigdy nie byłaś zakochana? - zapytał ciekawie.

- Tylko w tobie - odparła szczerze.

Pierce zacisnął zęby i spojrzawszy na pusty już kubek, dał znak stewardesie, by ponownie go napełniła.

- Masz za mało lat, żeby wiedzieć, czym jest miłość - odezwał się po dłuższej chwili. - Chcesz przeżyć namiętny romans. Pożadasz mnie, nic więcej.

- Skoro tak uważasz.

Pierce wypił łyk kawy i sparzywszy sobie wargę, odstawił kubek z bolesnym grymasem na twarzy.

- Pewnego dnia spotkasz mężczyznę w twoim wieku i zrozumiesz, co mam na myśli.

- Nie spotkam.

- A to dlaczego?

- Bo już spotkałam. Nie jestem wolna. Nie mogę szukać męża, skoro poślubiłam ciebie.

- Nasze małżeństwo nie potrwa długo - stwierdził krótko, patrząc jej prosto w oczy. - Kiedy to wszystko się skończy, unieważnimy je.

Serce zamarło jej w piersi. A więc takie miał plany! Rzeczywiście, z łatwością mógł unieważnić małżeństwo, które nie zostało skonsumowane. Nic dziwnego, że nie chciał z nią iść do łóżka.

ROZDZIAŁ 7

Brianna bawiła się w milczeniu papierową serwetką, obrysowując paznokciem wytłoczony na niej znak linii lotniczej.

- Rozumiem - rzekła wreszcie, zdawszy sobie sprawę, że Pierce czeka na jej odpowiedź. - Teraz wreszcie pojęłam, dlaczego tak bardzo nie chcesz, byśmy zamieszkali razem.

- I tak nic by z tego nie wyszło. Dzieli nas zbyt duża różnica wieku. Należymy do różnych pokoleń, myślimy innymi kategoriami...

- Ale przede wszystkim chodzi o Margo.

- Tak - przyznał z gniewnym błyskiem w oczach.

- Kochałem ją. Nie będę jej zdradzał.

Złość, jaką czuła do niego Brianna, ulotniła się w jednej chwili.

- Doceniam to, Pierce - powiedziała cicho, wzruszona tą deklaracją. - Doceniam i podziwiam. Ale...

- zawahała się - ona odeszła i nigdy nie wróci. A ty masz jeszcze przed sobą trzydzieści albo czterdzieści lat życia. Naprawdę chcesz pozostać sam? Do śmierci?

- Tak - powtórzył jak echo.

- Ona by tego nie chciała. Nie chciałyby, żebyś był samotny, nieszczęśliwy i wiecznie przygnębiony.

- Skąd możesz wiedzieć? - zachnął się, zirytowany jej słowami. - Zresztą, dajmy temu spokój. Nie chcę dyskutować na ten temat.

Złożył blat, wstał z fotela i poszedł szybkim krokiem do toalety. Zamknąwszy za sobą drzwi, przyłgął czołem do ich chłodnej powierzchni, ciężko dysząc. Przekłęta dziewczyna! Musiała ciągle przypominać mu o przeszłości? Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo cierpi, wspominając twarz Margo, jej oddech, dotyk jej dłoni w ciemnościach? Z każdym dniem coraz trudniej to znosił.

Pomyślawszy, że czeka go następnych trzydzieści lat takiej męki, poczuł ból w sercu. Gdyby jeszcze Brianna tak bardzo go nie pociągała...

Nie, nie chciał o niej myśleć ani mieć jej blisko siebie. Gdyby odeszła, byłby bezpieczny ze swymi wspomnieniami. Nie musiałby walczyć z pokusą.

Nie tylko jednak jej widok był dla niego udręką. Te rzucane od niechcenia uwagi, żartobliwe propozycje, nieustanne prowokacje... Zaśmiał się bezwiednie. Skąd w tej

dziewczynce tyle seksapilu, skąd ta wiedza, jak go poruszyć, pobudzić, zaniepokoić? Taka niewinna dziewczyna. Dziewica! Czy to instynkt, czy wiedza nabyta z obserwacji? Bo na pewno nie doświadczenie. Przekonał się o tym, by tak rzec, namacalnie.

Ważnie to połączenie niewinności i bezwstydu nieodmiennie go w niej zachwycało. Brianna sprawiała, że po raz pierwszy od śmierci Margo zdarzały się takie momenty, kiedy naprawdę było mu lekko na duszy. Dzięki niej znowu się śmiał. Normalnie zniecierpliwiony, rozdrażniony i skłonny do zwady (gniew uśmierzał ból samotności), przy Briannie łagodniał, stawał się wyrozumiały. Zaczynał patrzeć na świat jej dobrymi, wesołymi oczami. Zakrawało na ironię, że dziewczyna, która tyle w życiu przeszła, była tak niepoprawną optymistką.

Spojrzał na swoją twarz w lustrze. Miał przyprószone siwizną skronie i zmarszczki wokół oczu. Przyglądał włosy z szyderczym uśmiechem. Czy Brianna naprawdę nie dostrzega, jaki jest stary? Dlaczego właśnie on budzi pożądanie w tak młodej i atrakcyjnej kobiecie? Co ona widzi w jego szerokiej, surowej, ponurej twarzy?

Brianna siedziała wygodnie w lotniczym fotelu i myślała dokładnie o tym samym. Co ona w nim widzi? Pierce Hutton nie był szczególnie przystojny. Miał też z pewnością o wiele więcej lat niż ona. Ale nie znała nigdy mężczyzny, który mógłby się z nim równać. Był fascynujący i ogarniała ją rozpacz, że nie potrafi znaleźć drogi do jego serca.

Stewardesa serwowała kolejne napoje, więc Brianna postanowiła napić się szampana. Czemu nie? Pierce dał jej wyraźnie do zrozumienia, że nie jest mu potrzebna. Może odrobina alkoholu poprawi jej nastrój.

Gdy wrócił na miejsce, Brianna była już po dwóch kieliszkach. Na jego widok wzniosła toast, rozlewając trochę musującego napoju na sukienkę.

- Ups... ! - powiedziała, nachylając się ku niemu.

- Przepraszam. Zadrżała mi ręka.

Spojrzał na nią podejrzliwie i zapytał:

- Co ty pijesz?

- Szampana.

- Nie wolno ci pić alkoholu. Jesteś nieletnia.

- Ona mi go dała. - Brianna wskazała na stewardesę, krzątającą się w przejściu między fotelami z tyłu samolotu. - No, idź, powiedz jej, że łamię prawo. Zobaczmy, czy się odważy.

- Dość tego. Oddaj mi kieliszek. - Wychylił to, co zostało na dnie i mruknął, patrząc na nią ze złością: -Kretynka. Nie możesz pić alkoholu. Masz za słabą głowę.

- Nauczę się - odparta dumnie. - Jestem mężatką.

- Nagle zawołała z błyskiem w oku, jakby doznając olśnienia: - A więc to dlatego zameżne kobiety dużo piją! Widzisz, co mi zrobiłeś? - Pokiwała głową, rzucając mu zawadiackie spojrzenie.

- Nic ci nie zrobiłem.

- Owszem - odparowała. - Powiedziałeś, że nie chcesz ze mną spać!

Pierce jęknął głucho, wyobrażając sobie rozbawione spojrzenia siedzących w pobliżu pasażerów.

- Zamknij się natychmiast - syknął, starając się być dyskretny.

- Ani mi się śni! Szampan zamiast nocy poślubnej to nawet niezły pomysł. Znieczula ból niezaspokojonej żądz...

- Jesteś o wiele za młoda, żeby go odczuwać.

- Och, dobrze, więc boli mnie serce - westchnęła z sennym uśmiechem. - Była taka piosenka. Zaśpiewać ci ją?

Próbował zaoponować, ale bezskutecznie. Uniósł szybko rękę, wcisnął guzik nad głową, a gdy po chwili zjawiała się stewardesa, polecił jej krótko:

- Proszę zrobić jej kawę. Mocną.

- Czy coś się stało? - spytała zaniepokojona dziewczyna.

- Ona nie pije alkoholu - wyjaśnił. - W dodatku jest nieletnia.

- Tak mi przykro.

- Nie ma sprawy - wtrąciła się Brianna. - Nie wiedziała pani, że jestem nieletnia i że wyszłam właśnie za człowieka, który mnie nie lubi. Nie mogła się pani domyślać, że ten człowiek, mój mąż, nie chce mnie nawet wziąć do...

- Brianno!

- Do Paryża - dokończyła, patrząc drwiąco na rozgniewanego Pierce'a.

- Powinien pan ją tam zabrać - odezwała się stewardesa. - To piękne miasto.

- Może jednak przyniesie pani tę kawę - powtórzył Pierce. - I coś do jedzenia. Szybko!

- Tak, proszę pana. Już podaję.

Stewardesa oddaliła się, a Brianna oparła głowę o fotel i spojrzała na męża błędnym wzrokiem.

- Masz niewiarygodnie dużo problemów - stwierdziła. - Dosłownie cię przygniatają.

- Nie bądź taka wesoła. Zobaczmy, jaki humor będziesz miała jutro, kiedy obudzisz się z kacem.

- Z kacem? - powtórzyła zdumiona. - Bez przesady. Wypiłam tylko kieliszek szampana.

- Dwa. I spójrz na siebie.
- Wyglądam bardzo ładnie.
- Możliwe. Jesteś też nieźle wstawiona.

- Wytrzeźwieję, zanim wrócimy na ziemię - obiecała. - Tymczasem pomyślę, jak cię uwieść. Powinam chyba kupić sobie jakieś poradniki - dodała refleksyjnie. - Albo kasety wideo.

Pierce chrząknął i zaczął rozglądać się za stewardesą. Przypominał tonącego, który chwyta się kurczowo kamizelki ratunkowej. Dosłownie podskoczył, gdy Brianna położyła delikatnie dłoń na jego masywnym udzie.

- Ty obłudniku - szepnęła, kiedy odsunął jej rękę. - Jesteśmy małżeństwem!
- Nieprawda - odburknął. - Wzięliśmy ślub tylko formalnie. Nic więcej nas nie łączy.

Brianna wydeła żałośnie swoje usteczka.

- Tak się traktuje młodą żonę? - mruknęła, po czym znów przesunęła palcami po wewnętrznej stronie jego uda. - Umieram z miłości do ciebie, a ty nawet nie pozwolisz mi się dotknąć? Daj sobie sprawić trochę radości...

Pierce czuł, że cały płonie. Nie tylko z gniewu, rzecz jasna. Całe szczęście, że Brianna była zbyt pijana, by zdawać sobie sprawę, jak na niego działa. Podniecała go tak bardzo, że teraz rzeczywiście myślał tylko o tym, by zaciągnąć ją do łóżka. Musiał dopilnować, by wytrzeźwiała, póki jeszcze nad sobą panował.

Gdy stewardesa przyniosła kawę i kanapkę, Pierce powitał ją z ulgą.

- Wypij to - przykazał Briannie, podając jej ostrożnie kubek.
- Psujesz całą zabawę - mruknęła z niezadowoleniem, ale spełniła jego polecenie.

Zjadła też kanapkę, którą rozpakował z celofanu. Stewardesa podała jej jeszcze drugą i trzecią kawę, kofeina skutecznie ją ocuciła, a porcja jedzenia wchłonęła część alkoholu w żołądku.

Brianna czuła, że przytomnieje, lecz wcale nie była tym zachwycona.

Tymczasem Pierce pograżył się w lekturze gazety, którą dostał od stewardesy, i nie oderwał od niej wzroku, dopóki nie wylądowali we Freeport. Brianna dała mu się poprowadzić do hali lotniska, gdzie na część podróżnych czekali kierowcy limuzyn. Tu Pierce rozejrzał się, ale nie zobaczył nigdzie planszy ze swoim nazwiskiem. Za to jakiś kościsty, śniady mężczyzna, który wcale nie wyglądał na szofera, trzymał wysoko uniesioną tabliczkę z koślawym napisem BRIANNA MARTIN.

Brianna, niczego nie podejrzewając, podeszła do niego z uśmiechem i przedstawiła się swym panieńskim nazwiskiem, jakby zapomniawszy, że jest mężatką i że mąż idzie tuż za nią.

- Witamy we Freeport, panno Martin - nieznajomy przemówił po angielsku z wyraźnym obcym akcentem, po czym skłonił się i wziął ją pod rękę. - Pozwoli pani ze mną.

- Proszę zaczekać - powiedziała, odwracając głowę, by odnaleźć Pierce'a w tłumie podróżnych. Ten zorientował się już, że coś jest nie w porządku, i ruszył do przodu, zamierzając uwolnić żonę z uścisku śniadego mężczyzny, ale w tym samym momencie poczuł, że uwiera go w plecy okrągły, twardy przedmiot.

- Jesteś jej ochroniarzem, tak? - usłyszał za sobą niski głos. - Ciebie też zabierzemy. Mógłbyś ostrzec Huttona.

Pierce'a zaskoczyła ta uwaga. Zobaczył, że Brianna szuka go wzrokiem, dał jej jednak znak głową, by nie wszczyniała awantury. Na szczęście знаła go już na tyle dobrze, że pojęła od razu, o co mu chodzi.

- Co chcecie zrobić z Jackiem? - spytała ostro, wymyślając to imię na poczekaniu.

- Pojedzie z nami - oznajmił śniady mężczyzna. - Mógłby zawiadomić policję. A jak będziesz krzyczeć, mój przyjaciel go zastrzeli. Rozumiesz, panienko?

- W porządku, wy tu rządzą. Mogę zapytać, dokąd jedziemy?

- Dowiesz się w swoim czasie.

Zaprowadził ją do długiej czarnej limuzyny, czekającej przed halą lotniska. „Jack” oraz jego strażnik szli za nimi. Wszyscy wsiedli do samochodu, dwaj uzbrojeni w automatyczną broń mężczyźni zajęli miejsca naprzeciwko Brianny i Pierce'a, a kierowca, który czekał w środku, ruszył powoli przed siebie.

Ku zaskoczeniu Pierce'a, nie wyjechali z lotniska. Pojazd skierował się do jednego ze stojących na uboczu hangarów, zatrzymał się obok niewielkiego eleganckiego odrzutowca, którego drzwi były już otwarte, a opuszczone schodki czekały na pasażerów.

- Dokąd lecimy? - zapytała Brianna.

Nikt jej nie odpowiedział, przylgnęła więc plecami do oparcia fotela i zamknęła oczy. Uznała, że powinna trochę odpocząć przed tym, co ją czeka. Przeczuwała, kto ich porwał.

Kilka godzin później wylądowali na małej wyspie: Brianna widziała z okna samolotu jakieś miasteczko i przypomniała sobie, że Sabon opowiadał jej o należącej do niego wysepce w Zatoce Perskiej, położonej u wybrzeży kraju, w którym miał tak duże polityczne wpływy.

Przy samolocie czekały na nich dwie stare brytyjskie limuzyny. Briannę wepchnięto do jednej z nich, Pierce'a do drugiej. Oba pojazdy szybko ruszyły z miejsca.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała jednego z mężczyzn, tego i trochę bardziej przystępnego niż pozostali dwaj porywacze.

- Na wyspie.

- Ale na jakiej? - naciskała.

- Na Dzamil - odparł, potwierdzając jej najgorsze obawy. Spojrzał przy tym na nią tak pożądliwie, że przeszły ją ciarki.

- Czemu pan tak na mnie patrzy? - rzuciła, by go speszyć bądź zniechęcić, lecz on wyszczerzył tylko w uśmiechu żółte zęby i odpowiedział:

- Bo jesteś bardzo piękna.

Na dodatek czuć było od niego alkoholem, więc Brianna zaczęła bać się jeszcze bardziej. Postanowiła zablęfować:

- Jeżeli pracujesz dla Philippe'a Sabona, pamiętaj, że lepiej z nim nie zadzierać!

Był to celny strzał. Mężczyzna natychmiast wytrzeźwiał. Wyższy z pozostałych dwóch porywaczy - ten, który miał w ręku broń - skarcił ostro kolegę, który mruknął coś pojednawczym tonem.

- Nie bój się - uspokoił Briannę wysoki, siwiejący mężczyzna. - Nikt cię nie skrzywdzi. - Spojrzał raz jeszcze na grubasa, który odwrócił szybko głowę do okna, udając, że ogląda przez przyciemnione szyby pejzaż porośniętej krzakami wyspy.

Brianna czuła mdłości. Skoro jej uwaga wywarła takie wrażenie, porywacze musieli rzeczywiście działać z polecenia Sabona. Teraz była już pewna, że wkrótce wpadnie w jego ręce. Pierce nie mógł temu zaradzić, mając przeciw sobie uzbrojonych strażników, a wyspa przypominała więzienie, z którego nie było ucieczki. Sabon miał ją w garści!

Zamknęła oczy, starając się zapanować nad strachem. Słyszała wiele o perwersyjnych skłonnościach tego człowieka. Jak zdoła to wytrzymać?

A jeśli któryś z jego ludzi rozpozna Pierce'a? Jej mąż nie miałby wtedy szans na przeżycie. Zabiliby go od razu albo po uzyskaniu okupu. Sabon nie ryzykowałby z pewnością procesu o porwanie, w który zamieszane byłyby Stany Zjednoczone. Pierce nie miał może obywatelstwa USA, ale Brianna była Amerykanką. A Sabon Uczył, że przyjaciele Kurta w amerykańskim Senacie ocalą jego roponośne pola.

Wynikał z tego kolejny nieprzyjemny wniosek -kiedy Sabon ją wykorzysta, wcale nie zostanie uwolniona. Byłoby to dla niego zbyt ryzykowne. Będzie więc musiała zniknąć, zostanie uwięziona i odcięta od świata. Resztę życia spędzi gdzieś na dzikiej pustyni w rządzonej przez Sabona kraju.

Nie mogła zginąć tak haniebnie. Musiała coś wymyślić. Na pewno zdoła uciec porywaczom, jeśli będzie czujna i nie przegapi nadarzającej się okazji. A jeśli zginie przy próbie ucieczki? Cóż, trudno. W rękach Sabona i tak czeka ją niechybna śmierć, może tylko

odłożona w czasie. Jak powiedział kiedyś jej ukochany ojciec, lepiej odejść w glorii chwały niż szczeznąć w zapomnieniu.

A więc nie podda się bez walki. Sabon z pewnością ją popamięta.

Pierce'a nurtowały te same myśli, lecz był większym pesymistą niż Brianna. Wiedział, że z wyspy należącej do Sabona nie mają żadnej szansy ucieczki i że on, Pierce, nie jest w stanie uchronić dziewczyny przed zakusami przebiegłego Araba. Wyrzucał sobie, że nie posłuchał wcześniej jej próśb. Teraz Sabon sponiewiera ją tak, że nie pomoże jej potem żaden psycholog. Zhańbi ją i upokorzy. Zniszczy na zawsze jej ufność, naturalność, spontaniczność. A on, jej mąż, nie wyzbędzie się nigdy poczucia winy.

Całe szczęście, że tuż przed odlotem do domu rozmawiał z Winthropem. Jego szef ochrony powinien przybyć wkrótce do Freeport, a że jest specjalistą w swojej dziedzinie, z pewnością domyśli się, że stało się coś poważnego, skoro jego mocodawca nie dotarł na miejsce. Pierce odprężył się nieco. Tak, Tate odnalazłby igłę w stogu siana. Z pewnością trafi na ich ślad. Byle tylko nie za późno.

Stare limuzyny zatrzymały się przed imponującą rezydencją z widokiem na morze. Brianna domyśliła się, że to Zatoka Perska. Plaża była tu piaszczysta, a roślinność podobna do tej, która występuje na Karaibach, tyle że architektura, sceneria miały typowo arabski charakter. Służący w białych szatach, którzy wyszli na długi kamienny ganek razem z umundurowanymi strażnikami, też wyglądali na Arabów.

Oboje zakładnicy zostali związani i wprowadzeni do przestronnego budynku. Minawszy szeroki korytarz, znaleźli się w niewielkim pomieszczeniu z pojedynczym, umieszczonym wysoko okienkiem, zbyt małym, by mogli przez nie uciec. Stała tam prycza ze zwiniętym brudnym materacem, wiklinowe krzesła, stolik oraz lampa. Podłoga wyłożona była kamiennymi płytami. Łazienkę stanowiła obskurna kłitka z muszlą klozetową i umywalką, nie było wanny ani prysznic. Stare rury miały rdzawy kolor, podobnie jak woda w toalecie.

- Zostaniecie tutaj - oznajmił niski mężczyzna, wtykając za pas pistolet.

- Może nas pan przynajmniej rozwiązać? - zapytała Brianna, wyciągając przed siebie ręce. - Nie mogę iść nawet do toalety.

Strażnik powiedział coś po arabsku do wyższego, starszego mężczyzny. Najwyraźniej nie mogli dojść do porozumienia. Wysoki Arab wskazał na zakratowane okienko i solidny zamek na grubych hebanowych drzwiach, przekonując zapewne kolegę, że więźniowie nie mają szans ucieczki.

W końcu niższy mężczyzna ustąpił.

- W porządku - stwierdził, rozwiązując ręce Brianny. - Ale tylko ty - dodał, pozostawiając więzy na przegubach Pierce'a. Szturchnął go jeszcze na odchodne, a potem obaj strażnicy wyszli, zamykając za sobą drzwi na klucz.

- Dzięki Bogu! Nareszcie jesteśmy sami - powiedziała Brianna i podbiegła do Pierce'a, by uwolnić mu ręce. Nie było to łatwe, po jakimś czasie uporała się jednak z supłami i zapytała: - I co teraz, Jack? Co z nami będzie?

Pierce roztarł obolałe nadgarstki.

- Zostaniemy tu, dopóki nie zdecydują, co z nami zrobić.

Brianna usiadła z ciężkim westchnieniem na krzesło, spoglądając na swoją brudną i niemilosiernie wymiętą odzież. Zerknęła także na męża. Tego dnia był w luźnych spodniach, sportowej koszuli i białej marynarce. Nie wyglądał jak przedsiębiorca-milioner, rzeczywiście przypominał swojego szofera, nic więc dziwnego, że go nie rozpoznali.

Tyle że Sabon na pewno nie da się nabrać. Zdemaskuje natychmiast swego starego wroga i pośle go na śmierć. Był przecież wściekły na Pierce'a i Briannę, że mieszają mu szyki. Niewątpliwie znajdzie sposób, żeby się na nich zemścić.

- I znowu wpakowałam cię w kabałę. - Pokiwała ze smutkiem głową.

- Poradzimy sobie - pocieszył ją z uśmiechem.

- Tak myślisz? - Zerknęła w kierunku zakratowanego okienka. - Gdybyśmy mieli drabinę i młot kowalski, to może?

Pierce nie odpowiedział. Wpatrywał się w nią z namysłem, mrużąc oczy. Wyobraziwszy sobie, co mogłoby ją spotkać, gdyby wpadła w ręce Sabona, coraz mocniej zaciskał zęby.

Musi jej pomóc. Musi to zrobić. Choćby tutaj, na brudnej pryczy. Nie powinna wspominać z odrazą i strachem pierwszego w swoim życiu miłosnego aktu. Jeśli zaś Sabon ją dopadnie, na zawsze pozostanie zrażona i okaleczona.

- Widzę, jak mi się przyglądasz - Brianna przerwała jego myśli. - I chyba wiem, o co ci chodzi. Jeśli się zastanawiasz, czy ja... - uśmiechnęła się z zakłopotaniem, zamilkła, zaraz jednak dodała: - To dobry pomysł, Pierce. Zobacz, jest tu nawet łóżko. Nie będę się opierała. Prawdę mówiąc - westchnęła - ocaliłbyś mnie od losu gorszego niż śmierć.

- Nie mogę znieść myśli, że Sabon miałby być twoim pierwszym kochankiem.

- Ja także.

- Jesteś taka delikatna... Zależy mi na tobie, Brianno. Na twoim szczęściu.

Serce podskoczyło jej do gardła na te słowa. Wstrzymała oddech, napotykając jego płomienny wzrok.

- Więc może temu zaradzimy - podsunęła - póki jest jeszcze czas? Jesteśmy w końcu małżeństwem.

- Małżeństwo... - Pierce zaśmiał się cicho. - Bez przerwy mi o tym przypominasz.

Wstał powoli z krzesła, rozejrzał się wokół. Tak jak przypuszczał, w celi nie zainstalowano żadnych kamer. Dom, choć piękny, był stary i nie miał nowoczesnego wyposażenia.

Skoro nabrał pewności, że nikt ich nie obserwuje, podstawił krzesło pod drzwi, aby mogli usłyszeć, gdyby ktoś wchodził. Potem odwrócił się do Brianny. Na twarzy miał wyraz rezygnacji i wcale nie wyglądał na szczęśliwego, ale zdradzały go jego oczy, które płonęły na myśl o czekającej go rozkoszy.

- Naprawdę chcesz to zrobić? - zapytała z zapartym tchem Brianna, kiedy zbliżył się do niej i przytulił ją do siebie.

Uśmiechnął się, rozczulony. Brianna była niepoprawna. Zamknięta w więzieniu, z wyrokiem wydanym na nią przez jakiegoś niezrównoważonego Araba, czekała niecierpliwie na pierwszy pocałunek kochanka i cieszyła się otwarciem perspektywą miłosnej intymności. Zupełnie jakby była z ukochanym na ukwieconej łące, wolna i szczęśliwa.

A może Brianna była w tej chwili szczęśliwa?

Szczęśliwa mimo wszystko.

- Drżysz - mruknął, przesuwając powoli dłońmi po jej jędrnych piersiach i brzuchu. - Jesteś zdenerwowana? Boisz się?

- Ja? Drzę, bo nie mogę się już doczekać tej chwili! - Zarzuciła mu ręce na szyję i spojrzała głęboko w oczy. - Och, Pierce! Tak długo na ciebie czekałam! Będzie... bosko!

Znów roześmiał się mimo woli. Jej spontaniczność go rozbijała. Tak, będzie bosko. Będzie na pewno. Byłoby tylko nie załamało się pod nimi to pokrzywione łóżko. Zerknął na nie z wahaniem, ale zaraz napotkał rozogniony wzrok Brianny i przestał się czymkolwiek przejmować.

ROZDZIAŁ 8

Brianna przywarta zachłannie do jego ust. Całowali się niczym wygłodzeni kilkuletnim oczekiwaniem kochankowie. Wreszcie Pierce odsunął ją delikatnie i mruknął z rozbawieniem:

- Nie tak szybko, dziecino. Mamy niewiele czasu, ale nie musimy się tak spieszyć.

- Musimy. - Sięgnęła do jego paska, pomagając mu zdjąć spodnie. - Chcę mieć pewność, że się nie rozmyślisz.

- Nie ma mowy - odparł, patrząc jej w oczy. - Już za późno, by się wycofać.

Sądziła, że zrobi to szybko, nie sprawiając jej żadnej przyjemności. Ale myliła się. Dotyk jego dużych, nieco szorstkich dłoni działał jak narkotyk. Pierce pieścił ją czule, delikatnie, a kolejne muśnięcia jego warg odbierały jej przytomność, tak były zniewalające i słodkie. Nie spodziewała się, że ktokolwiek, nawet on, jest w stanie tak szybko i tak gwałtownie ją pobudzić. Reakcja jej ciała, natychmiastowa, intensywna, była zaskoczeniem dla niej samej.

Nie miała jednak czasu, by wsłuchiwać się w swoje zmysły. Pierce już rozpiął jej bluzkę, już zsunął z piersi koronkowy stanik i pochyliwszy głowę, przygryzł delikatnie nabrzmiały sutek. Zadrzała, westchnęła błogo. A potem jęknęła, domagając się nowych pieszczot.

Nie czekała długo. Ręka Pierce'a zsunęła się na jej brzuch, łono, zrazu była ostrożna, jakby nieśmiała, potem coraz bardziej pewna, wprawna i zaborcza. Brianna przylgnęła do niego z cichym jękiem, wyprężyła się w przeczuciu rozkoszy, zamknęła oczy.

Słyszała swój przyspieszony oddech. Słyszała szept, którym przynagliła go gorączkowo:

- Tak... Och, tak, proszę... Tak!

Pierce pozbawił ją szybko resztek ubrania, zdumiony tą eksplozją jej namiętności. Położył ją delikatnie na łóżku, przylgnął do niej biodrami i brzuchem, a potem wszedł w nią powoli i uważnie. Musiał być uważny, musiał trzymać się w ryzach, gdyż od dawna nie był tak bardzo pobudzony i każdy bardziej zdecydowany ruch groził przedwczesnym zakończeniem tego cudownego seansu.

Gdy znalazł się w niej cały, przeniknął go błogi dreszcz. Usłyszał wymowne westchnienie Brianny, a wtedy objął ją wzruszony ramieniem, spojrzął jej głęboko w oczy i zapytał nierównym, zdyszonym głosem:

- Poprosiłaś lekarza... żeby coś ci dał?

- Tak...

Półprzytomna z rozkoszy, nie zdążyła już dodać, że poprzestała tylko na odebraniu od lekarza recepty. Nie była zdolna do takich rozmów w takiej chwili. Teraz liczyło się tylko, że Pierce jest w niej, że czuje go całym ciałem, całym wnętrzem, że wypełniają i czyni szczęśliwą. Wiedziała, że to nie koniec, czekała na więcej. Czy w takim stanie mogła rozmawiać i myśleć o czymś innym niż o mającej ją pochłonąć rozkoszy?

Świadomość, że może zająć w ciążę, czyniła zresztą ich zbliżenie jeszcze bardziej intymnym, jeszcze bardziej ekscytującym. Brianna wpiła krótkie paznokcie w jego ramiona, poruszyła się pod nim, jak gdyby zachęcając go do akcji, a wtedy Pierce mruknął cicho i wykonał pierwszy ruch.

Nie wyobrażała sobie w najśmielszych marzeniach, jaka wielka rozkosz płynie z takiej bliskości. Czowała pulsujący żar, zamknięty w jej łonie. Patrzyła otwartymi ze zdumienia oczami w jego wykrzywioną rozkoszą twarz. Zdawało jej się, że płynie, rozplywa się, przestaje istnieć. Że staje się z Pierce'em jednością i że cały kosmos jest jednym. Napiętą ciszę mąciły jedynie ich przyspieszone oddechy i szmer ocierających się o siebie nóg. Wreszcie poczuła w sobie gorącą eksplozję, a wtedy i ona zadrżała w ostatnim, ekstatycznym spazmie i poczuła, jak rozlewa się w niej i po niej wszechogarniająca fala szczęścia.

To jest jak wybuch wulkanu, myślała, drętwiąc pod ciężarem masywnego ciała Pierce'a i łkając jak dziecko. Zaciskała zęby, trzęsła się jak w gorączce. Kolejne spazmy rozkoszy - tak intensywne, że niemal bolesne - zdawały się trwać w nieskończoność, pozbawiając ją poczucia rzeczywistości. Pierce szeptał jej coś na ucho, ale nie słyszała, co mówił. On zresztą też chyba nie był świadomy swych słów. On także drżał, także był mokry od potu. Przyłgnęli do siebie, oddychając nierównomiernie, i dopiero po długim czasie zaczęli ogarniać świadomością, kim są, gdzie są i co właśnie się stało.

Brianna nadal czuła w sobie przyjemne pulsowanie, nadal była rozwibrowana i pobudzona, toteż poruszyła leniwie biodrami, aby zachęcić męża do nowej przygody.

On jednak odsunął się lekko i szepnął, całując ją na pocieszenie w usta.

- Nie, Brianno. Nie mamy czasu na drugi raz. Potem wstał, ubrał się i pomógł jej zrobić to samo.

Była tak osłabiona, że z trudem trzymała się na nogach, lecz on podtrzymywał ją i wspierał. Całował raz po raz jej powieki z czułością, jakiej nie okazywał nikomu od lat. Tulił twarz dziewczyny w swych wielkich, ciepłych dłoniach, dopóki nie zaczęła znowu normalnie oddychać.

Kiedy zaś Brianna wróciła już do dawnego stanu, spojrzała na niego łagodnymi, zielonymi oczami, w których znać było ślad zaznanej niedawno z rozkoszy, i mruknęła z lekko drwiącym uśmieszkiem:

- Wyrwałeś mnie z rąk kata.

- Tak, Sabon poniósł wielką stratę - przyznał Pierre. Odgarnął do tyłu jej włosy, wziął głęboki oddech i dodał: - Naprawdę szkoda, że mieliśmy tak mało czasu. Kiedyś ci to wynagrodzę.

- Kiedy? - zapytała wyzywająco. - Chcę wiedzieć dokładnie.

Odwrócił się, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że choć to, co zrobił, zrobił dla niej i ze względu na nią, sam także chciałby powtórzyć ten akt. I to jak najprędzej. Czyżby więc go zdobyła? Czyżby się od niej uzależnił?

Czyżby ją pokochał?

- Idź pierwsza do toalety - powiedział cicho, otwierając jej drzwi.

Minęła go bez słowa, nieco zmieszana, on zaś zamknął za nią drzwi, podszedł powoli do krzesła blokującego wejście do celi i usiadł na nim z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Wyglądał na znudzonego, ale w środku płonął. Nie wyobrażał sobie, że to pierwsze zbliżenie będzie tak cudowne, tak oszałamiające. Wolałby, oczywiście, kochać się z nią w innym miejscu. Może w jakimś domu nad morzem...

; Nie, nie nad morzem! W domu nad morzem kochał się z Margo!

Na myśl o zmarłej żonie zacisnął zęby z rozpacz. Zdradził ją. Zdradził z Brianna, z napaloną małolatą. Przysięgał, że nie dotknie nigdy żadnej kobiety - i nie dotrzymał słowa.

Ale przecież zrobił to nie z miłości. Raczej po to, żeby Philippe Sabon nie posiadał pierwszy tej małolaty.

Wyłącznie dlatego. Ot, dobry uczynek, przysługa starszego przyjaciela, nic więcej.

Zaśmiał się gorzko z tej obłudnej argumentacji. Dobry uczynek? Od lat nie zaznał takiej rozkoszy! Podobnych uniesień doświadczał z Margo. Myślał, że tylko ona jest go w stanie tak pobudzić, dać mu tyle szczęścia, a teraz...

Teraz nie mógł przestać myśleć o delikatnym ciele Brianny, które czuł pod sobą przed chwilą. O jej niewinnych, zmysłowych ustach, o łzach radości, kiedy płakała z ekstazy. Kochając się po raz pierwszy w swoim życiu, osiągnęła pełne zaspokojenie. Z nim, dzięki niemu. Czuł z tego powodu dumę, ale też wstyd. Wzięli, co prawda, ślub, miał prawo z nią sypiać, ale było to przecież fikcyjne małżeństwo.

Właściwie dlaczego zaproponował jej wtedy, żeby wzięli ślub? Skoro już powiedział sobie tyle rzeczy całkowicie szczerze, powinien też być w stanie przyznać, że jak na

dorosłego mężczyznę bardzo łatwo podjął tę decyzję. W gruncie rzeczy podjął ją za nią. To on chciał tego związku. Bo czy nie było innego sposobu, by chronić Briannę? Och, z pewnością by się znalazł.

A więc chciał ją poślubić, chciał ją mieć. Mieć na wyłączność. Kierował się pożądaniem. To straszne.

Ale może łączyło ich coś więcej niż tylko pożądanie. W końcu w ciągu wszystkich tych lat, poprzedzających małżeństwo z Margo, miał wiele kobiet. Niektóre były piękne, niektóre bardzo doświadczone. Lubił ich towarzystwo. Żadna jednak nie dorównywała Briannie, choć w ramionach tej ostatniej spędził zaledwie kilka chwil. Był zaskoczony, że tak na niego działa. Może fascynowała go jej niewinność? Wprowadzanie Brianny w tajniki seksu sprawiało mu niekłamaną satysfakcję. W dodatku nie odczuwała przy tym lęku ani bólu, lecz taką samą rozkosz jak on.

Brianna wyszła z łazienki, przerywając jego rozmyślania. Zmyła z twarzy makijaż, a włosy zaplotła w warkocz. Unikała jego wzroku. Jej nieśmiałość wzbudziła w nim opiekuńcze uczucia.

- Jak myślisz, co z nami zrobią? - zapytała, siadając na gołych sprężynach pryczy.

- Dobre pytanie.

- Nie sądzę, żeby chcieli nas uwolnić. Pierce westchnął ciężko.

- Szczerze mówiąc, ja też nie.

Spojrzała na niego, po czym znów spuściła wzrok i uśmiechnęła się figlarnie do swoich myśli.

- No cóż, miło mi było pana bliżej poznać, panie Hutton.

- Wzajemnie, panno Martin - odparł uprzejmie. Zamilkli na moment. Popatrzyli oboje w kierunku zamkniętych drzwi, po czym Brianna, jak zwykle, odezwała się pierwsza:

- Pewnie nie masz w kieszeni żadnego tarana?.

- Gdybyś miała spinkę do włosów, spróbowałbym otworzyć zamek.

- Poczekaj, chyba coś znajdę - ożywiła się, lecz tylko na chwilę, bowiem zaraz potem w zamku zazgrzytał klucz i przez otwarte drzwi weszło dwóch mężczyzn. Jeden wycelował w nich automatyczny pistolet, drugi wyszarpnął brutalnie spinke z włosów i z ręki Brianny.

- Żadnych ucieczek! - odezwał się po angielsku z wyraźnym obcym akcentem niższy z mężczyzn. - *Monsieur Sabon* przyjedzie dziś wieczorem - dodał, posyłając uśmiech w stronę Brianny. - Będiesz dla niego prezentem, *mademoiselle*.

Drugi mężczyzna zmarszczył brwi i spojrzawszy na Pierce'a, powiedział coś do swego towarzysza, który nagle spochmurniał. Rozmawiali po arabsku, więc Brianna nie rozumiała

ani słowa, ale Pierce wiedział mniej więcej, o czym mówią. Obawiali się, czy Sabon nie będzie miał pretensji, że umieścili jego wybranek w jednej celi z obcym mężczyzną.

Jego domysły okazały się słuszne - strażnicy uzgodnili coś między sobą, po czym wyższy z nich chwycił Pierce'a za ramię i rozkazał:

- Pójdiesz z nami.

Brianna chciała zaprotestować, ale powstrzymała ją karcące spojrzenie męża.

- Co zamierzacie z nim zrobić? - odważyła się jednak zapytać.

- Zamkniemy go w osobnej celi. Żebyś nie miała pokus, *mademoiselle*.

- Rzeczywiście! - zachnęła się, udając oburzenie. - Nie zadaję się z ochroniarzami!

Uzbrojeni mężczyźni uśmiechnęli się tylko, a potem wyprowadzili Pierce'a i Brianna została sama.

Było już ciemno, gdy dwaj porywacze wrócili, przynosząc jej chleb, ser oraz szklanek czerwonego wina. Gdy niższy kładł tacę na stoliku, wyższy i starszy mierzył do niej z pistoletu.

Brianna zerknęła na szklanek i stwierdziła krótko:

- Nie piję wina. Mogłabym prosić o wodę? Niższy mężczyzna wydawał się zbity z tropu.

- Wino koi nerwy - stwierdził.

- Nie jestem zdenerwowana - odparła, gapiąc się na niego bezczelnie.

Mężczyźni wymienili rozbawione spojrzenia. Niższy z nich zabrał wino i wyszedł. Wróciwszy po chwili ze szklanką wody, postawił ją z przesadną uprzejmością przed dziewczyną, która powiedziała nieoczekiwanie:

- Jestem Brianna. A ty?

- Raszid - odparł zaskoczony.

- A jak ty masz na imię? - zapytała wysokiego mężczyznę.

- Mufti - burknął, wyraźnie zakłopotany.

- Od dawna pracujecie dla pana Philippe' a Sabona?

- Nie - odparł Raszid. Mówił łamaną angielszczyzną, co wynikało chyba wyłącznie z braku kontaktu z językiem, bo z każdą chwilą radził sobie coraz lepiej. - Nasza wioska wiele mu zawdzięcza. Przysyłał pieniądze na lekarstwa i jedzenie dla biednych.

Brianna przyjęła tę wiadomość ze zdziwieniem, pomyślała jednak, że widać nawet źli ludzie mają czasem przebłyski dobroci.

- Jego matka była Arabką, prawda? - zapytała, przypominając sobie zasłyszane plotki.

Raszid skinął głową.

- Tak, pan Sabon pochodzi z arabskiej rodziny.

- Ale ma francuskie nazwisko.

Raszid spojrział na Muftiego i odparł z grymasem niezadowolenia na twarzy:

- O pewnych sprawach nie wolno mi mówić, *mademoiselle*. Powiem tylko, że *Monsieur* Sabon ma na względzie dobro naszego kraju. To dzielny i dobry człowiek.

- Jest porywaczem - stwierdziła stanowczo. Raszid wzruszył ramionami.

- Pozory mylą, *mademoiselle*. Żyjemy w burzliwych czasach i grozi nam zagłada, ale zrobimy wszystko, aby przetrwać. *Inszalah* - dodał, co po arabsku oznaczało, jeśli Bóg pozwoli". - Musimy liczyć się ciągle z inwazją ze strony wrogów - kontynuował po chwili. - Nasi wrogowie zazdroszczą nam odkrytych niedawno złóż ropy. Kraje zachodnie dużo płacą za ropę, a my być może mamy największe jej złoża w całym regionie. W przeszłości Zachód kontrolował produkcję przypraw w Indiach, kauczuku w Afryce i herbaty na Dalekim Wschodzie. A obecnie kurczy się obszar tropikalnych lasów, gdyż zachodnia cywilizacja potrzebuje drewna, a restauracje McDonalda muszą mieć tereny na pastwiska, by sprzedawać więcej hamburgerów. Brianna ze zdumieniem słuchała tego wywodu. Nie był do końca spójny, znać w nim było ideologiczne wpływy, jednak jak na opryszków, jej dwaj strażnicy znali się zaskakująco dobrze na światowej polityce.

- Jest pani jeszcze bardzo młoda - dodał Mufti. - Niewiele pani wie o brudnych interesach i o niegodziwości ludzi Zachodu.

- Mam o tym pewne pojęcie - odparła, przyglądając im się z zainteresowaniem. - Powiedźcie, dlaczego pracujecie dla pana Sabona?

- Ja, *mademoiselle*, mam czworo dzieci - odparł Raszid. - Jedno z nich choruje na raka. Pan Sabon płaci za jego kosztowne leczenie we Francji.

- A ja straciłem żonę i dwoje dzieci, kiedy zbombardowano nasz dom - powiedział drżącym głosem Mufti, ściskając mocniej broń. - *Monsieur* Sabon dowiedział się o tym od jednego z moich kuzynów z wioski i zaproponował mi pracę.

Poruszył się niespokojnie, jakby nie mógł sobie znaleźć miejsca. Wydał się Briannie zbyt stary, by mieć małe dzieci. Widząc jego siwiejące włosy, pomyślała z początku, że jest pewnie w wieku jej ojca. A może to życie i doznane krzywdy tak go odmieniły?

- Za dużo mówimy, Raszid. - Mufti zmienił nagle ton i wskazał lufą w kierunku drzwi. - Powinniśmy już iść.

- Miło mi było z wami porozmawiać - uśmiechnęła się do niego Brianna. Patrząc na ich szczupłe, poorane zmarszczkami, śniade twarze, nie czuła żadnego zagrożenia. Ci ludzie rzeczywiście przeszli już swoje, podczas gdy ona wiodła dotąd stosunkowo spokojne życie.

Nie musiała w każdym razie posługiwać się bronią i walczyć na wojnie. Oblicza obu Arabów nosiły ślady cierpień, były przedwcześnie postarzałe. Pomyślała o żonie i dzieciach Muftiego, ginących pod gradem bomb. Szczerze współczuła temu człowiekowi. -Przykro mi z powodu twojej rodziny - zwróciła się do niego.

Mufti wydawał się zawstydzony i zakłopotany tym stwierdzeniem.

- W niczym pani nie zawiniła, panno Martin - odparł uprzejmie. - To świat jest okrutny. To on zmusza czasem ludzi do niegodziwych czynów. Mi też przykro, że panią porwano. Ale nie było innego wyjścia, proszę mi wierzyć. - Zawahał się, stanąwszy przy drzwiach.

- *Monsieur* Sabon na pewno nie zrobi pani krzywdy - dodał nieoczekiwanie. - Nie sprowadzono pani tutaj z żadnych niemoralnych pobudek, Allah mi świadkiem.

Po tych słowach obaj mężczyźni skinęli uprzejmie głowami i wyszli, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Sabon jej nie skrzywdzi, powtórzyła w myślach Brianna. O co więc właściwie mu chodzi? Zastanawiała się nad tym jeszcze długo po zapadnięciu zmroku, wreszcie usnęła.

Obudziły ją ożywione głosy, które dobiegały zza zamkniętych drzwi. Rozpoznawszy jeden z nich, Brianna wstrzymała oddech, wstała z materaca i usiadła sztywno na krześle. Po chwili do jej celi wszedł Philippe Sabon. Rzuciwszy ostrą komendę dwóm swoim ludziom, zamknął drzwi, a potem przyjrzał się jej ciekawie.

Brianna wpatrywała się z przerażeniem w jego szczupłą, poznaczoną bliznami, śniadą twarz. Jego przymrużone czarne oczy przepełniały ją strachem. Sabon musiał dostrzec cień lęku na jej twarzy, bowiem machnął niecierpliwie ręką i zaczął pospiesznie tłumaczyć:

- Nie, nie. Nie po to tu przyszedłem. Wolałem, żeby wszyscy myśleli, że mam na ciebie ochotę, to prawda, ale robiłem to po to, żeby twoje zniknięcie nikogo nie zdziwiło. Uznają, że porwałem cię dla niegodziwych celów. Taki właśnie był mój plan.

- Co takiego? - wyjąkała Brianna, niepewna, jak ma rozumieć to wyjaśnienie.

Sabon usiadł na materacu i skrzyżowawszy długie nogi, zapalił małe tureckie cygaro.

- Nie jestem aż takim potworem, żeby znajdować przyjemność w gwałceniu niewinnych dziewcząt - oznajmił spokojnie. - Ale gdybyś miała ochotę, skusiłbym się na twoje wdzięki.

Milczała, ciągle zdumiona, więc zaśmiał się chłodno i zapytał:

- Nie masz pojęcia, o co tu chodzi, prawda? - Pochylił się ku niej i dodał: - Ponieważ pozostaniesz tu przez jakiś czas, odpowiem na pytanie, które boisz się zadać. Kiedyś podczas podróży do Palestyny wszedłem na minę. Była to koszmarna pamiątka po jednym z wielu

konfliktów w tym regionie. Odniosłem tak poważne rany, że przestałem być mężczyzną. Stąd wziął się mit, że mam perwersyjne skłonności. - Machnął lekceważąco ręką. - Lepsze to niż plotki, które zaczęłyby krążyć, gdyby poznano prawdę.

- Współczuję - powiedziała szczerze Brianna, starając się, by ulga, która ją ogarnęła po tych słowach, nie była zbyt widoczna, - To musi być dla pana... straszne.

- Owszem. - Wpatrywał się obojętnie w czubek cygara. - To było straszne. - Spojrzał jej w oczy, jakby próbował w nich dostrzec drwinę lub rozbawienie. Ale twarz Brianny emanowała jedynie łagodnością i spokojem. - Przy kobiecie takiej jak ty - podjął -mężczyzna wstydzi się swoich prymitywnych instynktów. Gdybyśmy spotkali się wcześniej, mógłbym być zupełnie innym człowiekiem. Teraz troska o dobro mojego narodu musi mi zastąpić inne przyjemności.

- Co pan zrobi ze mną i ochroniarzem pana Hut-ona?

Sabon wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie zdecydowałem. Hutton z pewnością będzie was szukał i może sprawić mi trochę kłopotów. Widzisz, twój ojczyma ja wymyśliliśmy pewien sposób, żeby sprowokować wasz nadopiekuńczy rząd do wysłania wojska dla ochrony naszych pól naftowych, gdy wkrótce zaczniemy je eksploatować.

- Kurt i pan?

Sabon przytaknął. Wstał i zaczął przechadzać się po celi, krzywiąc się z odrazą na widok tego miejsca.

- Wiem, że nie jest ci tu wygodnie. Wszystko przez ten pośpiech. Postaram się to naprawić. - Odwrócił się do niej. - Kurt opłacił grupę najemników, którzy mają nas zaatakować, zanim zrobią to nasi prawdziwi wrogowie. Obarczymy winą rząd sąsiedniego kraju i poprosimy o amerykańską interwencję, aby powstrzymać agresora, póki ten nie zorientuje się, jak bardzo jesteście słabi. Kurt ma wpływowego przyjaciela w Senacie. Amerykanie mogą pod byle pretekstem uderzyć na naszego wspólnego wroga.

- Nie wolno wam tego robić! - zaprotestowała Brianna. - Możecie rozpętać wojnę!

Sabon ponownie wzruszył ramionami i zaciągnął się dymem z cygara.

- To lepsze niż gdyby złoża ropy miały dostać się w ręce nieprzyjaciół. Naprawdę niełatwo było przekonać szejka, że musimy zacząć wydobywać naftę, aby uchronić naszą gospodarkę od katastrofy. Jego zdaniem nie należy uzależniać się od Zachodu, nawet dla dobra kraju. Musiałem mu długo tłumaczyć, że zagraniczne inwestycje będą służyć całemu narodowi.

- Więc pan chce służyć narodowi? Rzucił jej piorunujące spojrzenie.

- Masz o mnie ciekawe mniemanie. Jestem potworem, tak? Występnym draniem, którego interesuje tylko deprawowanie kobiet i pomnażanie swego bogactwa? To nie do pomyślenia, aby Philippe Sabon myślał o dobru swego narodu?

Brianna rozłożyła tylko bezradnie ręce, nie wiedząc, co powiedzieć. Za to Sabon mówił dalej, coraz bardziej przejęty i rozgorączkowany.

- Gdybyś widziała wioskę, w której się urodziłem... To enklawa nędzy, niedożywienia, chorób, ciemnoty! Sąsiadujące z nami kraje dzięki nafcie cieszą się dobrobytem, a my żebrzemy u ich drzwi, odprawiani przez służących, którzy są bogatsi od nas! To upokarzające! Musimy to przerwać! Ci ludzie mają prawo do godnego życia jak wszyscy inni!

Brianna wciąż nie była w stanie nic powiedzieć.

- Istnieje przecież międzynarodowa pomoc... -wykrztusiła wreszcie.

- Pomoc! - Sabon uśmiechnął się boleśnie. - Jakże jesteś naiwna. Naiwna i bezkrytyczna. Żyjesz na dekadentckim Zachodzie i nie wiesz, co to prawdziwy niedostatek. Nie brakuje wam żywności, wody, odzieży, samochodów i samolotów, którymi docieracie, dokąd chcecie. Nie ma pani pojęcia, panno Martin, jak żyje reszta świata. - Wypuścił kłęb dymu z cygara, pokiwał z przekonaniem głową. - Ale to się zmieni. Miesiąc pobytu w moim kraju może być dla ciebie bardzo pouczający, Brianno. Tu, w Kwawi, w przeciwieństwie do mieszkańców miast w ościennych państwach, ludzie żyją w lepiankach, bez żadnych udogodnień, czerpią wodę ze studni wydrążonej w piasku, pieką nad ogniem każde najmniejsze zwierzę, które zdołają upolować, przedają wełnę na ubrania i przyglądają się bezradnie, jak ich dzieci umierają z głodu lub z powodu chorób, gdyż brakuje im leków. Nie ma tu Europejczyków, nie ma nowoczesnych miast... - Uśmiechnął się gorzko, widząc jej konsternację. - Jesteś oszołomiona?

- Aż taka tu bieda?.

- Owszem - stwierdził lakonicznie. - Bieda, prymityw i brak nadziei. Bez pieniędzy ludzie w moim kraju nie zdobędą wykształcenia. I na zawsze pozostaną nędzarzami.

Brianna była wstrząśnięta tymi słowami. Miała zupełnie fałszywe wyobrażenie o Sabonie i o świecie, w którym żył. Nie potrafiła się w tym wszystkim odnaleźć.

- Teraz mamy w dodatku problem, co począć z tobą, kiedy Kurt ubiega się o pomoc Amerykanów.

- Jak to, co począć? Więc chce pan mnie tu zatrzymać? Ale po co, skoro nie ma pan... niegodziwych zamiarów?

Sabon westchnął.

- Sprowadziłem cię tu, żeby zapewnić sobie poparcie Kurta. Wmówiłem mu, że zamierzam się z tobą ożenić i połączyć w ten sposób nasze rodziny - przyznał otwarcie. - Przystał chętnie na mój plan, bo jest bezgranicznie chciwy. O ile mi jednak wiadomo, żona namawiała go do wycofania się z transakcji. Obszedł się z nią tak, że zasłużył na moją wzgardę. Nie znoszę mężczyzn, którzy biją kobiety, bez względu na powód.

- Widząc, że Brianna podnosi się z miejsca, uniósł rękę w uspokajającym geście. - Nie martw się, skończyło się na paru siniakach. Sprawdziłem to osobiście.

Brianna odetchnęła z ulgą - i jeszcze bardziej znienawidziła Kurta Brauera. Otrząsnąwszy się z gniewnych myśli, zapytała:

- A więc porwał mnie pan, żeby mieć gwarancję, że Kurt pozostanie lojalny?

- Dokładnie tak - odparł z chłodnym uśmiechem.

- Oczywiście on jest przekonany, że mam wobec ciebie... inne zamiary. I niech dalej tak myśli. - W jego oczach pojawiły się nieoczekiwane wesołe błyski. - Twoja matka zagroziła podobno, że od niego odejdzie, jeśli coś ci się stanie. Jak na tak wyrachowaną osobę okazała się zadziwiająco troskliwa, nie sądzisz?

- Dlaczego pan mówi, że moja matka jest wyrachowana? - Brianna postanowiła stanąć w obronie rodzicielki.

- A nie jest? Przecież zawsze tak o niej myślałaś. Wstrzymała oddech.

- Skąd pan tyle wie o mojej matce? I skąd pan wie, jaki mam do niej stosunek?

- Mam wszędzie szpiegów. - Zapatrzył się z niekłamany żalem w jej delikatne rysy.

- I sporo o tobie wiem, droga Brianno. Podobasz mi się, zawsze mi się podobałaś. Potrafisz współczuć, a to rzadka cecha. Patrząc na ciebie, boleję, że nie jestem już taki jak dawniej. Nosiłbym cię na rękach, byłeś tylko zechciała być ze mną.

To nieoczekiwane szczere wyznanie do reszty pozbawiło ją tchu. Sabon wydawał się teraz taki bezbronny i udręczony, że serce ścisnęło jej się z litości. Gdy jednak dostrzegł jej reakcję i domyślił się jej uczuć, na jego twarzy pojawił się bolesny grymas.

- Nie żałuj mnie, nie warto - zaśmiał się krótko. - To raczej mi powinno być cię żal. Nigdy nie chciałem, żebyś została w cokolwiek zamieszana. Nie przy-szłoby mi do głowy, żeby cię porywać, ale zrobiłem to także dla twojego dobra. Reakcje Kurta trudno przewidzieć, a ostatnio zupełnie przestał nad sobą panować. Nie darowałbym sobie, gdyby cię skrzywdził. A skrzywdziłby cię na pewno, gdybyś upierała się, że za mnie nie wyjdiesz.

Brianna wstała z krzesła i podeszła do niego ostrożnie. Nie przypominał w niczym potwora, za jakiego dotąd go uważała. Nie był człowiekiem zasługującym na powszechną nienawiść.

Dotknęła niepewnie jego ramienia, wyzbyta już lęku, a wówczas on spojrzał zdumiony na jej delikatną dłoń, dotykającą rękawa jego kosztownej szaty. Zajrzał Briannie głęboko w oczy, a potem, niepewnie jak chłopak, który po raz pierwszy jest sam na sam z dziewczyną, położył szczupłe ręce na jej ramionach.

- Pozwolisz? - zapytał, przyciągając ją powoli do siebie.

Nie broniła się. Było to niewiarygodne doświadczenie. Stała w celi w objęciach mężczyzny, który ją uwięził. Nie próbował jej uwieść ani zgwałcić. Dotykał tylko jej włosów. Słyszała tuż przy uchu jego oddech, przez chwilę dotykał policzkiem czubka jej głowy. Poczula, jak drży z przejęcia. Nazywano go potworem, kryminalistą, bestią - a on drżał w jej ramionach jak bezbronne dziecko.

- Czy nikt nie może panu pomóc? - zapytała cicho.

- Nie - odparł ze ściśniętym gardłem. Ujął w dłonie jej twarz, zobaczyła, że w oczach ma łzy. Przyglądał się jej w bolesnym milczeniu, nie wstydząc się wcale swojej słabości. Miał oto w zasięgu ręki uosobienie swoich marzeń, a jednak było ono równie niedościgłe, jak odległa gwiazda.

- Tak mi przykro - westchnęła Brianna, dotykając delikatnie jego policzka.

- Taki los - uśmiechnął się słabo. - Pozostały mi tylko wspomnienia i marzenia. Od dzisiaj będę również pamiętał wyraz twoich oczu. - Cofnął się, przytykając na chwilę do ust jej dłonie, po czym powiedział zduszonym głosem: - Dziękuję, Brianno.

Odwrócił się, podszedł do drzwi i stał tam przez chwilę, starając się nad sobą zapanować.

- Nikt nie zrobi ci tutaj krzywdy - zapewnił ją zmienionym, trzeźwym tonem. - Masz na to moje słowo. Gdybyś potrzebowała jakiegokolwiek pomocy, jestem do dyspozycji.

- Dlaczego tak się pan o mnie troszczy? Wzruszył niemal niedostrzegalnie ramionami.

- Może dlatego, że nie znałem nigdy osoby o równie czułym sercu? Osoby, która potrafi współczuć takiemu potworowi jak ja?

- Nie jest pan potworem.

- Owszem, jestem - odparł z surowym wyrazem twarzy. - I dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę.

Pokręciła głową, ale nie wróciła już do tego tematu.

- Panie Sabon... - zaczęła - a co będzie z Jackiem?

- Mam na imię Philippe - poprawił ją. - Kto to jest Jack?

- Ochroniarz pana Huttona - odparła, mając nadzieję, że Sabon nie odkrył jeszcze prawdy. - Towarzyszył mi, a teraz dokądś go zabrano.

- A więc Hutton przydzielił ci ochroniarza. Musi poważnie się obawiać, że nastają na twoją cnotę.

- Owszem.

Sabon wybuchnął głośnym śmiechem.

- W przeszłości jego obawy byłyby nader uzasadnione. Z twoimi włosami i delikatną cerą byłabyś dla każdego Araba „białym złotem”. Może i dobrze się dla ciebie złożyło, że tamtego feralnego dnia trafiłem do Palestyny.

- Co to jest „białe złoto”? - zapytała.

- Kiedyś w tej części świata kwitł handel niewolnikami. Biała kobieta warta była tyle złota, ile ważyła. Dostałbym za ciebie ładną sumkę. No nic - spojrzął na zegarek - muszę teraz zająć się pracą. Dostaniesz wszystko, czego potrzebujesz - obiecał, odwracając się znowu do drzwi. Po chwili dodał jeszcze z tajemniczym uśmiechem: - Mufti i Raszid mówią o tobie z uznaniem. Mile nas zaskoczyłaś.

- Wy mnie też - odparła. - Pewnie wszyscy operujemy stereotypami, dopóki nie poznamy się bliżej.

- To prawda. Jeszcze raz powtórzę, że ogromnie mi przykro, iż musisz tu zostać. Ale gra idzie o zbyt wysoką stawkę, bym mógł cię teraz uwolnić.

Po tych słowach zapukał do drzwi i wyszedł, gdy otworzyli mu je dwaj strażnicy.

Brianna przygryzła wargę, klnąc w duchu, że nie jest w stanie odwieść go od realizacji szaleńczego planu. Ten człowiek uważał, że ma prawo wszcząć wojnę, aby ocalić swój kraj przed agresją. I chciał uwikłać w konflikt Amerykanów!

Musiała temu zapobiec. Musiała dotrzeć do Waszyngtonu, zdemaskować machinacje Kurta, powiedzieć komuś, co knuje Sabon.

Najpierw jednak musiała uciec. Razem z Pierce'em. Jak mogli się uwolnić? Co zrobiłby Sabon, gdyby dowiedział się, kogo ma w swoich rękach? Z pewnością nie omieszkałby tego wykorzystać. Prawdopodobnie zażądałby okupu za Pierce'a. Bogacz z Zachodu byłby narażony w tym ubogim kraju na duże niebezpieczeństwo.

Chodziła nerwowo po celi, rozważając różne możliwości ucieczki. Nie mogła przeniknąć przez mur ani wyłamać żelaznych krat w oknie. Pozostawały drzwi, których pilnowali strażnicy. Może by tak wzbudzić ich litość?

Cóż za naiwny pomysł! Mimo szacunku, jaki do niej żywili, zastrzeliliby ją prawdopodobnie bez wahania, gdyby okazało się, że jest przeciwna planom ich szefa.

Usiadła ponownie, zastanawiając się nad dziwnym zachowaniem Sabona. Jeszcze niedawno myślała o nim z odrazą i przerażeniem. Teraz darzyła go sympatią. Wiedziała, że nie zapomni do końca życia widoku łez w jego oczach.

Skarciła się w duchu za ten odruch współczucia. To typowe, przypomniała sobie, więzień często identyfikuje się ze strażnikiem, ofiara z porywaczem. Czytała kiedyś na ten temat. Pierce'a zemdliliby ze śmiechu, gdyby dowiedział się, że jej tkliwe serduszko ścisnęło się z żalu dla tego szaleńca.

Pierce... Właśnie, co się z nim dzieje? Pokraśniała, przypomniawszy sobie, co między nimi zaszło. Pewnie Pierce poczuje się okropnie, gdy się dowie, że ze strony Sabona nic jej w istocie nie groziło. A jeśli na dodatek zaszła w ciążę...

Wtedy Pierce się wścieknie. Przecież wcale nie chciał się z nią wiązać.

Teraz musiała jednak myśleć tylko o ucieczce. Później, wróciwszy bezpiecznie do domu, będzie miała czas zastanowić się nad innymi problemami.

ROZDZIAŁ 9

Tate Winthrop skończył właśnie rozmawiać przez telefon z jednym ze swoich ludzi, którzy na jego polecenie stale obserwowali i analizowali sytuację polityczną na świecie. Spoglądał teraz zamyślony za okno swego luksusowego apartamentu w Waszyngtonie, podziwiając nocny pejzaż miasta, którego światła lśniły niczym diamenty, szafiry i rubiny. Był to piękny widok, ale nie dorównywał zachodowi słońca w rezerwacie Siuksów w południowej Dakocie, gdzie Tate urodził się i wychował.

Przyjrzał się twarzy młodej, ciemnookiej blondynki na oprawionym w zwykłą drewnianą ramkę zdjęciu, które stało na jego biurku. Chował je zawsze, gdy przychodziła do niego na kolację, mając wolny wieczór po pracy w Smithsonian Institute. Nie chciał ujawniać, co do niej czuje. Cecily była biegłym antropologiem i pracowała często dla FBI, badając ludzkie szkielety. Jak na wrażliwą, młodą kobietę wybrała sobie ponurą profesję, ale marzyła zawsze, by wyrwać się ze szponów ojczyzny, zdobyć wykształcenie i robić coś oryginalnego - miała więc, czego chciała.

Prawdę mówiąc, to Tate jej to umożliwił. Nie wiedziała nawet, jak wiele mu zawdzięcza, lecz on wolał, żeby tak zostało. Czuł się za nią odpowiedzialny, lubił ją, może nawet więcej niż lubił. Nigdy jednak nie pozwolił, by doszło między nimi do jakiegokolwiek zbliżenia. Był w końcu Siuksem, a ona białą kobietą. Nie uznawał mieszania ras. Dziecko urodzone z takiego związku byłoby pozbawione tożsamości.

Podziwiając delikatne rysy Cecily na fotografii, pomyślał, że coraz trudniej będzie mu skrywać swoje uczucia. Cecily Peterson była atrakcyjną, szczupłą kobietą, odważną i inteligentną. Miał słabość na jej punkcie. A ostatnio pociągała go bardziej niż kiedykolwiek.

Telefon od Huttona zadzwonił w odpowiednim momencie. Będąc z dala od Cecily, zbierze siły, by móc dalej walczyć z pokusą. Bez tego sobie nie poradzi. I tak powstrzymywał się nadludzkim wysiłkiem, by jej nie objąć, nie pocałować, nie przytulić i nie rozkochać w sobie. Gdyby miał mniej skrupułów i słabszą wolę, zrobiłby to już wiele lat temu.

Położył smukłe, śniade dłonie na biurku, zastanawiając się nad sytuacją. Pierce chciał, żeby wziął dwóch ludzi i poleciał do Freeport. Teraz ich człowiek donosił stamtąd, że samolot Pierce'a wylądował, ale on sam nie zgłosił się w hotelu, gdzie zarezerwowano mu pokój pod przybranym nazwiskiem. Nie było też młodej kobiety, która miała mu towarzyszyć.

Oznaczać to mogło tylko jedno - Pierce został porwany.

Tate podejrzewał, czyja to sprawka. Philippe Sabon i Kurt Brauer od dawna coś knuli, a Pierce stanął im na drodze.

Wstał, rozprostowując zeszywniałe kości. Poglądził ręką swój długi czarny warkocz. Może robił głupio, nie ścinając włosów, skoro żył wśród białych, ale nie pozbył się jeszcze pewnych przesądów, którym jego rodzina hołdowała od pokoleń. Wierzył w moc talizmanów, a długie włosy do nich należały. Kiedy ściał je jeden jedyny raz, pracując za granicą dla tajnej agencji rządowej, został postrzelony w pierś i omal nie zginął. Od tego czasu tylko sporadycznie je przystrzygał.

Podszedłszy do szafy, wyjął niewielką walizeczkę z rzeczami, których stale potrzebował. Potem zadzwonił do swoich dwóch najlepszych ludzi i powiedział im, gdzie mają do niego dołączyć. Na myśl o tym, co go czeka, poczuł przyspieszone bicie serca. Takie skoki adrenaliny utrzymywały go przy życiu podczas monotonnej na ogół pracy ochroniarza. Zadanie mogło okazać się niebezpieczne, ale przynajmniej wreszcie coś zacznie się dziać.

Pierce Hutton, zamknięty w znacznie mniejszej celi niż Brianna, próbował bezskutecznie otworzyć zamek w drzwiach spinaczem, który znalazł w szufladzie. Niestety, mechanizm był zardzewiały i ani drgnął. Klnąc pod nosem, rzucił pogięty spinacz na podłogę i usiłował staranować drzwi ramieniem. I to nic nie dało. Musiały być wzmocnione stalą, gdyż odczuł boleśnie siłę uderzenia. Spojrzawszy w górę, zobaczył zakratowane okienko. We wszystkich celach musiały być takie same.

Usiadł na ziemi i zaczął się zastanawiać, co dzieje się z Brianna. Był wściekły, a zarazem bezradny jak nigdy dotąd. Dręczyła go myśl, że mogą ją skrzywdzić, a on nie będzie mógł temu zaradzić. Oczy zapłonęły mu gniewem, gdy przypomniał sobie, co słyszał o Sabonie. Jeśli ten człowiek zrobi krzywdę jego żonie, drogo za to zapłaci! Dopadnie go, choćby miał na to poświęcić resztę życia!

Nagle usłyszał za drzwiami jakieś głosy. Przytknął ucho do chropowatej powierzchni drewna i rozpoznał głos Sabona. - Nie mogę ich jeszcze wypuścić - mówił Sabon, wyraźnie poirytowany na swego rozmówcę.

- Nie chcesz chyba zabić tej dziewczyny! - zawołał tamten po angielsku.

- Broń Boże! - padła zdecydowana odpowiedź. - Nie zamierzam nikogo zabijać. Ale nie możemy ich wypuścić, dopóki nie dopniemy swego. Amerykanie muszą zapewnić nam ochronę. A nie byliby zachwyceni, gdyby się dowiedzieli, że porwaliśmy kogoś z amerykańskim paszportem, bez względu na powody.

- To prawda, ale czy nie dałoby się przenieść jej w jakieś przyzwoitsze miejsce?

Chwila ciszy.

- W porządku, zabierzemy ją i tego jej ochroniarza do starej fortecy w głębi łądu. Jest tam może mniej wygod, ale będą za to mieli więcej przestrzeni. Dowiedziałeś się już czegoś o Huttonie?

- Nie. Prawdopodobnie nadal jest gdzieś na zachodzie Stanów.

- Miejmy nadzieję, że tam pozostanie, dopóki Kurt nie załatwi naszych interesów w Waszyngtonie. Przez te ich cholerne media Hutton i tak szybko wszystkiego się dowie, ale może nie zdąży już pokrzyżować nam planów.

- Tak myślisz?

- Z pewnością. On też ma swoje kłopoty. Nie brakuje mu wrogów i musi pilnować swego interesu. Cała nadzieja, że Kurt szybko załatwi sprawę. Ma obywatelstwo niemieckie i amerykańskie. To powinno nam pomóc. Dobra, chodźmy sprawdzić, czy przybyli już komandosi.

Odeszli, a Pierce nadal rozmyślał z ponurą miną nad tym, co usłyszał. Ku jego zdziwieniu, Sabon wcale nie interesował się dziewczyną. Dlaczego więc ją porwał? I po co Kurt poleciał do Stanów? Co oni knuli?

Zaklął cicho w bezsilnej złości. Zanosilo się na jakąś wielką aferę, a on był bezradny jak kot zamknięty w worku. Miał tylko nadzieję, że Winthrop zauważy jego nieobecność i przyjdzie mu z pomocą, nim będzie za późno. Współczuł z góry swoim porywaczom. Nie mogli liczyć na łagodne potraktowanie.

W ciągu następnych godzin pod drzwiami celi Brianny panował ożywiony ruch. Nie zobaczyła już porywaczy, ale słyszała rozmaite odgłosy - tupot nóg, szczęk broni, głośne krzyki. Przez kilka minut na korytarzu znajdowało się wielu ludzi, którzy wkrótce gdzieś odmaszerowali. Z zewnątrz dochodził warkot lotniczych silników, lecz na pewno nie były to samoloty. Może więc śmigłowce?

Przeszły ją ciarki, gdy przypomniała sobie o planach sprowokowania amerykańskiej interwencji, w które wtajemniczył ją Sabon. Czyżby naprawdę zamierzał zorganizować prowokację, zaatakować własną armię i obarczyć winą rząd sąsiedniego kraju? Czy Kurt o tym wiedział? Czy brał udział w spisku? Chyba nie był aż tak zdesperowany, by pomagać Sabonowi wszczynać wojnę i brać odpowiedzialność za bezpieczeństwo w całym regionie? Ale kto go tam wie...

Rozdrażniona tym, że nic nie widzi, ustawiła krzesło do góry nogami na pryczy i stanęła na nim, próbując wyrzeć przez okno, dostrzegła jednak tylko śmigła przelatującego helikoptera.

Nie szkodzi, i tak wiedziała wystarczająco dużo, by wyciągnąć odpowiednie wnioski. Ci ludzie z pewnością szykowali się do natarcia. Planowali zbrojną prowokację, a ona nie mogła nikogo ostrzec. Nie była w stanie pomóc nawet samej sobie.

Pocieszała się, że Sabon z pewnością nie zamierza poświęcać życia swoich ludzi. Pewnie chce tylko upozorować atak, aby przebywający w okolicy cudzoziemcy byli świadkami rzekomej agresji.

Wydarzenia kolejnych minut zdawały się potwierdzać jej domysły. Z daleka, a czasem z całkiem bliska, zaczęły dochodzić eksplozje bomb i odgłosy wybuchających pocisków. Słysząc także było wizg rakiet. Jak daleko to więzienie znajduje się od centrum wydarzeń, pytała się rozgorączkowana. Czy są tutaj bezpieczni? Może w zamieszaniu uda jej się uwolnić i ostrzec kogoś w Ameryce, zanim Kurt zacznie rozmawiać z zaprzyjaźnionym senatorem?

Stała w bezruchu, układając w myślach fragmenty łamigłówki. Sabon twierdził, że Kurt jest już w Stanach i że wie o planowanym ataku. Miał być akurat „przypadkiem” w Waszyngtonie, na wieść o wydarzeniach w Kwawi poinformować o nich zaprzyjaźnionego senatora, by ten mógł przekazać sprawę dalej. Wtedy zaś...

Nie, chwileczkę! Zanim Amerykanie wyślą gdziekolwiek swoich żołnierzy, musi się najpierw odbyć przesłuchanie przed specjalną komisją. Brianna odetchnęła z ulgą. Nie było groźby interwencji. Nie od razu. Rząd USA nie podejmie pochopnej decyzji. Biedny Kurt. I Sabon także. Ich wysiłki na nic się nie zdadzą.

Zeskoczyła z łóżka, odwróciła krzesło i usiadła na nim uspokojona. Nie musiała się już martwić, że dojdzie do wojny. Najważniejsze było teraz, co stanie się z nią i z Pierce'em. Miała nadzieję, że nikt go dotąd nie rozpoznał. On był w znacznie trudniejszym położeniu niż ona.

Zaczęła się zastanawiać, czy myślał o niej po ich namiętym zbliżeniu, a potem, czy rzeczywiście mogła zająć w ciążę. Uśmiechnęła się do siebie na myśl o tym, że mogłaby urodzić chłopczyka o ciemnych włosach i czarnych oczach, takich jak oczy Pierce'a. Było to jednak smutne marzenie - Pierce z pewnością znienawidziłby ich oboje. Kochał nadal swą zmarłą żonę, zaś dla niej, dla Brianny, tylko się poświęcał.

Spochmurniała, przypomniawszy sobie coś, o czym wolałaby zapomnieć. Kiedy Pierce doznał dzięki niej zaspokojenia, wyszeptał słowa, które potem długo brzmiały echem w jej uszach: „Margo, kochanie... „

Zamknęła oczy, próbując zatrzeć w pamięci wspomnienie wspólnie przeżytej rozkoszy. Nie kochał się z nią, była dla niego jedynie substytutem Margo. Nie zdawała sobie z tego sprawy, dopóki nie było po wszystkim. Dobrze przynajmniej, że nie zdążyła mu

wyznać, jak bardzo go kocha. To pogorszyłoby tylko sprawę. Przecież on nie darzył jej miłością.

Skrzyżowała ręce na piersiach, postanawiając więcej o tym nie myśleć. Bała się, że oszaleje, zamknięta ze swoimi myślami w tej pustej celi. Teraz musi znaleźć sposób, żeby się uwolnić, tylko to jest ważne. Nawet jeśli Sabon nie ma szansy sprowokowania interwencji, jego najemnicy mogą przypadkiem zbombardować budynek, w którym więziono ją i Pierce'a.

Pokręciła głową na wspomnienie o Sabonie. Rozumiała motywy jego działania, szczerze współczuła jego rodakom, uważała jednak, że przyjął fatalną taktykę. Próbuje ratować swój mały, biedny kraj, mógł rozpętać trzecią wojnę światową. Nie można myśleć tylko o dobru własnego narodu, trzeba myśleć o całym świecie. Może i Sabon ma szlachetne intencje, ale zniweczy wszystko swoim zaślepieniem. Czy sędziwy szejik, który rządzi Kwawi, wie cokolwiek o planach Philippe'a? Na pewno nie. A zatem biedny z niego człowiek. Może zresztą też już jest więźniem, jak ona i Pierce.

Nagle usłyszała jakiś hałas za oknem i po chwili u jej stóp wylądował kamień owinięty w papier. Schyliwszy się, zobaczyła kawałek koperty, na którym napisano po angielsku drukowanymi literami: „ODWRÓĆ ICH UWAGĘ”.

Zgniółszy papier w dłoni, zacisnęła usta, zastanawiając się nad znaczeniem tych słów. Po chwili oczy rozblęły jej radośnie. Chyba nadchodzi pomoc!

Wciągnęła głęboko powietrze, po czym zaczęła kaszleć głośno, udając, że się krztusi i nie może złapać tchu. W celi rzeczywiście było gorąco i duszno, bowiem słońce stało już wysoko i z każdą godziną pustynna spiekota coraz bardziej dawała się we znaki. Może uda jej się oszukać strażników i wmówić im, że się dusi?

- Och... nie mogę oddychać! - krzyknęła rozpaczliwym głosem i znów zaniosła się kaszlem. - Moje płuca... serce! Mam astmę, pomóżcie mi!

Upadła na podłogę, zaciskając rękę na piersi. Wiedziała, że Sabon osobiście przykazał strażnikowi, by strzegł dziewczyny jak oka w głowie, spodziewała się więc, że ten wpadnie do celi, gdy tylko usłyszy wołanie o pomoc.

I rzeczywiście strażnik usłyszał jej krzyki i sięgnął do kieszeni po klucze. Zanim jednak zdążył zbliżyć się do drzwi celi, osunął się na posadzkę z podciętym gardłem.

Trzej ubrani na czarno, zamaskowani mężczyźni w wojskowych butach wyjęli pęk kluczy z jego sztywniejącej dłoni i zaczęli posuwać się metodycznie wzdłuż korytarza, sprawdzając po kolei każdą celę.

Kiedy otworzyły się drzwi jej celi, Brianna zobaczyła tylko parę czarnych oczu pod kominiarką. Nie były to jednak oczy Pierce'a. Mężczyzna, który stanął na wprost niej, miał szczuplejszą, bardziej pociągłą twarz i znacznie masywniejszą sylwetkę.

- Panna Martin? - zapytał.

- Właściwie pani Hutton - odparła - ale z pewnością już niedługo. Kim jesteście?

- Działamy z polecenia pana Huttona. Niech się pani nie boi.

- Wie pan, gdzie jest Pierce? - ożywiła się Brianna. - Jak się czuje? Czy nic mu nie zrobili?

Mężczyzna nie odpowiedział. Chwycił Briannę za ramię i wyprowadził ją za drzwi.

- Zaraz wszystkiego się dowiemy - oznajmił. - Proszę iść za mną.

- Rozkaz - powiedziała, unosząc do góry kciuk. Tate Winthrop uśmiechnął się pod kominiarką. Czy ta dziewczyna jest żoną jego szefa? Nic nie wiedział o ślubie. Jeśli to jednak prawda, to Pierce wybrał sobie piękną dziewczynę. Piękną i cholernie pewną siebie.

Ścisnął w dłoni automatyczny pistolet, po czym ruszył ostrożnie w głąb szerokiego korytarza. Usłyszawszy zza rogu cichy świst, przystanął na moment, odpowiedział podobnym sygnałem i poszedł dalej.

W miejscu, gdzie korytarz zakręcał, natknęli się na trzech napastników, również zamaskowanych, którzy zaczęli biec w ich kierunku, strzelając na oślep z automatów.

Brianna była tak zaskoczona, że nie zdołała nawet się poruszyć, ale jej opiekun najwyraźniej spodziewał się ataku. Wystrzelił dwie krótkie serie z broni, którą trzymał w ręku, i napastnicy osunęli się na ziemię.

- Proszę na nich nie patrzeć - ostrzegł Briannę spokojnym głosem, ciągnąc ją za sobą w głąb korytarza.

Starła się odwrócić wzrok od ciał leżących na podłodze, ale ciekawość była silniejsza. To zaś, co dostrzegła kątem oka, przyprawiło ją o mdłości. Ci ludzie nie byli Arabami. Mieli jasną karnację. Musieli być najemnikami Sabona, bezwzględnymi mordercami, gotowymi strzelać do wszystkiego, co się rusza. Natychmiast zmieniła zdanie o człowieku, który ich wynajął.

Tacy ludzie nie pozorują ataku. Strzelają, żeby zabić, a ona mogła być ich ofiarą. Gdzie zapewnienia Sabona, że nikomu nie chce zrobić krzywdy?

Tate, trzymając Briannę za rękę, wyczuwał jej napięcie, nie miał jednak czasu, by ją pocieszać. Szedł wciąż naprzód, czujnie się rozglądając. Podejmowanie takiej akcji z dwoma tylko ludźmi zakrawało na szaleństwo, ale zdaje się, że i tak mieli większe szanse powodzenia

niż duża grupa. Oby tylko udało się szybko uwolnić Pierce'a i ulotnić bez wdawania się w awanturę.

- Chciałabym panu pomóc, ale nie mam pojęcia, dokąd go zabrali - odezwała się Brianna, domyślając się jego myśli.

- Moi ludzie już go znaleźli - uspokoił ją szybko. - Ale nie mogą otworzyć drzwi. Zamek nie chce puścić.

- Nie da się go przestrzelić?

- To stalowe drzwi, niemieckiej produkcji. Jak w schronach Saddama Husseina. Fachowa robota, tyle że zamek jest zardzewiały.

- To co zrobimy?

- Spokojnie - uśmiechnął się. - Jeden z moich ludzi odsiadywał kiedyś wyrok za napad na bank. Poradzi sobie z każdym zamkiem, potrzebuje tylko trochę czasu. - Rozejrzał się uważnie. - Mamy szczęście, że napastników było tak niewielu. Są teraz zbyt zajęci na lądzie, by zawracać sobie nami głowę. Ale to długo nie potrwa. Sabon wróci lada chwila, gdy tylko się przekona, że wszystko idzie zgodnie z planem.

- Powiedział, że chce zabezpieczyć złoża ropy w swoim kraju przed agresją ze strony sąsiadów. Że jego rodacy głodują, a on pragnie poprawy warunków ich życia.

- A pani mu uwierzyła. - Tate westchnął ciężko. - Gdyby wszyscy mówili prawdę, żylibyśmy w krainie szczęścia.

Minęli kolejny narożnik, a wtedy zobaczył z ulgą, że dwaj jego partnerzy idą pospiesznie w ich kierunku, prowadząc Pierce'a.

Brianna chciała pobiec mu na spotkanie, ale Tate ją powstrzymał.

- Nie teraz. Później będzie czas na czułości. Szybciej! - krzyknął do pozostałych. - Mamy dwie minuty na opuszczenie budynku, zanim centrum łączności wyleci w powietrze!

- Boże! - Brianna popatrzyła na niego z przerażeniem. - Dlaczego?

- Podłożyłem tam ładunek.

- Ale...

- Pospieszmy się! - Pierce dopadł do niej i pociągnął ją za rękę, - Musimy szybko wracać do Stanów! Brauer już jest w Waszyngtonie!

- Wiem - potwierdziła Brianna, puszczając się biegiem w stronę wyjścia. - A ten atak... to najemnicy opłaceni przez Kurta... a nie rząd sąsiedniego kraju!

Chcą zwalić winę na sąsiadów... dać pretekst do interwencji.

- Kto ci to powiedział?

- Sabon. Rozmawiał ze mną... powiedział wszystko... Może Kurt nie zdąży - dodała, z trudem łapiąc oddech. - Zanim wysłą żołnierzy, musi być posiedzenie komisji...

- Akurat! - wtrącił się Tate, który biegł tuż za nimi, ubezpieczając odwrót.

- O co panu chodzi? - odwróciła się Brianna.

- Biegnij, dziewczyno! - ponaglił ją Tate, a potem dodał: - Gdy agresja godzi w żywotne interesy USA, agencje rządowe mogą podejmować natychmiastowe działania. Marines mogą wylądować tu choćby i jutro, bez wiedzy i zgody Kongresu.

- Naprawdę? - Serce skoczyło jej do gardła.

- Biegnij!

Wypadli pędem na zewnątrz, gdzie czekał już na nich ogromny wojskowy śmigłowiec o imponującym uzbrojeniu.

- Wsiadać! - wrzasnął Tate, starając się przekrzyczeć ryk silnika.

Pierce chwycił Briannę pod ramiona, aby pomóc jej wejść. Pozostali mężczyźni pospieszyli za nimi. Tate klepnął dłonią kask pilota i po chwili maszyna oderwała się od ziemi. Kilka sekund później posypał się na nich grad pocisków.

- Strzelają do nas! - wystraszyła się Brianna.

- Pewnie ludzie Sabona odkryli waszą ucieczkę -stwierdził Tate, patrząc spokojnie na zegarek. - Sześć, pięć, cztery...

- Co on liczy? - Brianna zwróciła się do Pierce'a. Zamiast odpowiedzi usłyszała potężną eksplozję.

- Okay, na razie Sabon nie wezwie posiłków -mruknął z uśmiechem Tate. - Dobra robota, chłopaki. - Poklepał po plecach swych partnerów.

- Gdzie zostawiłeś samolot? - zapytał Pierce.

- Nie na lotnisku - odparł Tate. - Byłby zbyt łatwym celem. Jest... - przerwał nagle i w jednej chwili stracił dobry humor, gdy spoglądając przez ramię pilotowi, usłyszał wypowiedane szybko po arabsku słowa, których nawet Pierce nie zrozumiał. - Obawiam się, że musimy wylądować w najbliższym porcie i liczyć na cud - oznajmił. - Najemnicy Sabona nie poprzestali na wysadzeniu lotniska. Znaleźli lądowisko, na którym zostawiłem samolot.

- Sprytni chłopaki - mruknął Pierce.

- Taa, sam szkoliłem co najmniej dwóch. Pracowaliśmy razem w agencji rządowej. - Spojrzał na widoczny w dole ląd. - Czasem żałuję, że stamtąd odszedłem. Na przykład teraz. - Znów klepnął w kask pilota, wydając mu po arabsku jakiś rozkaz, po czym zwrócił się do swych towarzyszy: - Musimy opuścić śmigłowiec, żeby nie narażać Hamida. On może

przelecieć nim spokojnie przez granicę, jest tutejszy. My nie będziemy bezpieczni. Nie lubią tu cudzoziemców.

- Jak dotrzemy do domu? - zapytał spokojnie Pierce.

- Może frachtowcem? Za odpowiednią opłatą wezmą na pokład każdego pasażera.

- Kiedy nas porwano, ukryłem portfel w samolocie, żeby nie zorientowali się od razu, kim jestem - stwierdził Pierce. - Kiedyś może się znajdzie, ale na razie jestem bez forsy.

- Nie ma problemu - oznajmił Tate. - Przywiozłem sporo gotówki. - Pochylił się naprzód i wetknął mu w garść plik banknotów. Potem obdarował w ten sam sposób siedzących obok dwóch zamaskowanych mężczyzn. - Mają zasłonięte twarze i nie odzywają się, żeby nikt ich nie rozpoznał - wyjaśnił, widząc zaciekawione spojrzenie Brianny.

- Czy to ludzie, których znamy? - nie omieszkała zapytać.

- Zależy, na ile uważnie przyglądasz się portretom osób poszukiwanych przez policję i służby antyterrorystyczne.

- Mówi pan serio? - Brianna popatrzyła na mężczyzn z jeszcze większym zainteresowaniem.

- Przestań - mruknął z niechęcią Pierce. - Powinnaś być przerażona.

- Przecież jestem. - Skuliła się w fotelu ze zboląłą miną. - Teraz lepiej?

Tate i Pierce wybuchnęli zgodnym śmiechem.

- Mówię ci, Tate, ta dziewczyna jest okropna.

- Właśnie widzę. - Tate sprawdził broń i wyjął z kurtki automatyczny pistolet. Upewniwszy się, czy jest zabezpieczony i czy w komorze nie ma naboju, wręczył go Pierce'owi. - Pamięta pan, jak się tego używa?

Pierce skinął głową i wsunął broń do kieszeni.

Brianna denerwowała się coraz bardziej. Owszem, była także podekscytowana tą niezwykłą przygodą, tyle że cena za te wszystkie atrakcje mogła być zbyt wysoka. Wciąż miała przed oczami obraz zabitych przez Tate'a mężczyzn. Wyglądali tak bezbrannie, tak żałośnie. A Tate nawet nie zatrzymał się, by na nich spojrzeć. Był bezwzględny, bezduszny, zimny. Dopiero teraz uświadomiła sobie coś, czego początkowo nie dostrzegła - wszyscy ci ludzie byli zabójcami. Potrafili posługiwać się bronią i w razie zagrożenia nie wahali się jej użyć. Zdaje się, że Pierce także miał w tym względzie pewne doświadczenie.

Poczuła się nagle między nimi jak nieopierzone pisklę w otoczeniu drapieżnych jastrzębi. Skrzyżowała ręce na piersiach, spojrzała na pilota. Zaczynał właśnie lądować, ale wcale nie w pobliżu miejsca, które wyglądałoby na port. Wokół był tylko piasek, a w dole

stała gromada ludzi, zapewne Arabów. Nie mogli liczyć na to, że wmieszają się w tłum i znikną niezauważeni.

Wreszcie śmigłowiec wylądował, a ich wybawca wyciągnął spod jednego z foteli dużą brezentową torbę i zeskoczył na ziemię razem z Brianna, Pierce'em i pozostałymi. Pożegnał się z towarzyszącymi mu dwoma mężczyznami, a potem z pilotem. Ten pozdrowił go gestem ręki i odleciał.

- Co teraz? - zapytała z niepokojem Brianna.

- Znikniemy w tłumie - odparł Tate, ściągając z głowy maskę.

Brianna przekonała się natychmiast, że akurat on mógł wmieszać się w tłum znacznie łatwiej niż ona czy Pierce. Był człowiekiem o ciemnej karnacji i ostrych rysach twarzy. Jego głęboko osadzone czarne oczy przypominały kształtem migdały. Miał też wyraziste brwi, szeroki prosty nos, zmysłowe usta, pociągłe policzki i kwadratowy podbródek. Zaplecione w warkocz gęste czarne włosy sięgały mu niemal do połowy pleców. Brianna bez trudu odgadła, kogo ma przed sobą.

- Pan Winthrop, jak sądzę? - mruknęła ze zdawkowym uśmiechem.

- O, widzę, że jestem sławny.

- Mój mąż wiele o panu opowiadał.

- Co na przykład?

- Ze zjada pan skorpiony żywcem.

- Grzechotniki także, ale wyłącznie wtedy, gdy próbują go ukąsić - dodał z szerokim uśmiechem Pierce, wyciągając rękę do Winthropa. - Dzięki za pomoc, przyjacielu. Sabon zamierzał nas chyba więzić przez dłuższy czas.

Tate uściśnął mu mocno dłoń.

- Zrobiłem to, za co mi pan płaci - przypomniał swemu chlebodawcy. - Kiedy siedzę beczynnienie, traci pan tylko pieniądze.

- Jak nas znalazłeś?

Tate wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Mógłbym panu powiedzieć, ale...

- Ale musiałbym pana zaraz potem zastrzelić - dokończyła za niego Brianna - czy tak?

- Cóż, nie miałbym wyjścia. - Tate rozłożył ręce. - Złożyłem przysięgę.

- Och, on ciągle składa jakieś przysięgi - skomentował Pierce. - Ale dotrzymuje słowa tylko wtedy, gdy jest mu to na rękę.

- Taki fach - westchnął Tate, a wówczas wszyscy troje się roześmieli.

Pierce pierwszy spoważniał i odezwał się trzeźwym tonem:

- Musimy ustalić plan działania. Jeśli Brauer dotrze przed nami do odpowiednich ludzi w Waszyngtonie, dojdzie w tym regionie do konfliktu na wielką skalę. Cały arabski świat przystąpi do wojny.

- Mam telefon. - Tate otworzył brezentową torbę i wyjął z niej aparat. Niestety, okazało się, że nie działa. Indianin mruknął coś pod nosem w nieznanym im języku, a potem wrzucił ze złością telefon do torby.

- Co się stało? - zapytał Pierce.

- Baterie.

- Nienaładowane?

- W ogóle ich nie ma! Nasz pilot handluje pokątnie na czarnym rynku - wyjaśnił ze złością Tate. - Nie sądziłem, że upadnie tak nisko, żeby mnie okradać.

- Pokręcił głową i spojrzał na Pierce'a. - Powinien mnie pan wyłąć. Pokpiłem sprawę. Zapasowa bateria załatwiłaby problem.

- Daj spokój.

- Mówię poważnie.

- Ja też. - Pierce położył potężną dłoń na jego szerokich barkach. - Każdy może wpaść w pułapkę i popełnić błąd. Tobie ukradziono baterię, ja zostałem porwany. Jesteśmy kwita.

Tate pokręcił tylko głową, wciąż niezadowolony z siebie, po czym sięgnął głębiej do brezentowej torby i rzucił na ziemię dwie obszerne czarne szaty.

- Nie miałem czasu zadbać o odpowiednie rozmiary, ale na pewno nie są za małe. Powinny się nadać. Zasłońcie sobie głowy. Zwłaszcza pani - zwrócił się do Brianny, spoglądając na jej bujne jasne włosy. - RzUCA się pani w oczy jak kruk na śniegu.

- Nie wypada tak mówić o „białym złocie” - zauważyła, wkładając czarną szatę.

- Słucham? - Tate zmarszczył brwi.

- „Białe złoto” - powtórzyła, spoglądając na wyraźnie rozbawionego Pierce'a. - Tak nazwał mnie *Monsieur Sabon*. Stwierdził, że w czasach handlu niewolnikami byłabym warta fortunę.

- Naprawdę tak powiedział? - zapytał Pierce, przestając się nagle uśmiechać.

- Tak. To nie był zresztą jedyny komplement, jaki usłyszałam.

- Więc prawil ci komplementy? No proszę.

- Naprawdę był bardzo miły i uprzejmy.

- A tobie pewnie zrobiło się go żal? Briannę zaskoczył nieco jego ostry ton.

- Skoro chcesz wiedzieć, rzeczywiście było mi go żal - odparta. - Gdybyś wiedział o nim to, co ja...

Teraz Pierce miał już w oczach błyskawice.

- Więc niepotrzebnie braliśmy ślub, tak? - zapytał. - Niepotrzebnie postanowiłem cię chronić?

Brianna posmutniała. Nie chciała, by Pierce ciągle jej przypominał, że ich małżeństwo, podobnie jak skonsumowanie związku, miało uchronić ją przed występniymi zakusami Sabona. Tyle że Sabon nie zagrażał żadnej kobiecie i nie skrzywdziłby jej, nawet gdyby chciał. A przynajmniej nie w taki sposób. Czy więc powinni unieważnić zawarty ślub? Nie, to nie wchodziło już w rachubę, chyba że nie przyznaliby się, iż doszło między nimi do zbliżenia. Pozostawał tylko rozwód, a to wymagało czasu.

Spojrzała w czarne oczy Pierce'a i zaczerwieniła się, przypominając sobie znowu namiętne chwile, które wspólnie przeżyli.

Pierce domyślił się jej uczuć i szybko odwrócił wzrok. Wolał o wszystkim zapomnieć, uznać, że ten niefortunny epizod należy już do przeszłości. Wróć do kraju, myślał, zdekonspiruj spisek Brauera, a potem rozwiodą się bez rozgłosu. On wróci do swoich zajęć, a Brianna pójdzie na studia. Najpierw jednak muszą zająć się pilniejszymi sprawami.

- Czas ruszać w drogę - powiedział do Tate'a, ignorując żonę, po czym wszyscy troje przywdziali obszerne szaty i turbany.

Dopiero teraz spojrzał na Briannę. W egzotycznym przebraniu przypominała chłopca. Miała jasną cerę, ale przecież nie wszyscy Arabowie są śniadzi. Prawdę mówiąc, nie rzucała się szczególnie w oczy - i całe szczęście.

Posuwali się powoli w kierunku centrum niewielkiej stolicy Kwawi, starając się wmieszać w tłum. W małym miasteczku, gdzie wszyscy się znają, byłoby to niemożliwe, ale w porcie roilo się od przybyszów z całego Bliskiego Wschodu, gdy więc znaleźli się w pobliżu nabrzeża, nie zwracali chyba niczyjej uwagi. Szli dość długo wzdłuż szeregu wyglądających podejrzanie frachtowców, aż wreszcie Tate rozpoznał jeden z nich.

- Znam kapitana tej łajby - oznajmił cicho. - Zostańcie tutaj. Wejść na pokład i zorientuj się, czy zechce nas zaokrętować.

- Możesz mu zaufać? - zapytał Pierce. Tate wzruszył ramionami.

- Nikomu nie można ufać, ale jeśli dobrze mu zapłacimy, nie oszuka nas. Zaraz wracam.

Po tych słowach wszedł na statek, wymijając zgrabnie schodzących akurat po trapie marynarzy.

- A więc to jest ten tajemniczy pan Winthrop - stwierdziła Brianna, gdy zostali z Pierce'em sami.

- Robi wrażenie, prawda?

Skinęła głową, nie popatrzyła jednak na męża. Była skrępowana tym, że znów zostali sam na sam, może nawet trochę zawstydzona. On zaś stanął przed nią i spojrzawszy w jej zielone oczy, poczuł się nagle winny. Przypomniał sobie, że w chwili uniesienia wyszeptał imię zmarłej żony. Brianna nie mogła tego nie usłyszeć. I z pewnością nie mogła zapomnieć.

- Przepraszam - powiedział cicho. - Chciałem cię ustrzec przed Sabonem, ale... Chyba jednak nie powinniśmy byli...

- To już się stało, Pierce - przerwała mu szybko. - I wcale tego nie żałuję.

- Tak - przyznał - było... naprawdę wspaniale. Ale dla mnie chyba jeszcze za wcześnie.

- Od śmierci Margo minęły dwa lata - przypomniała mu ostrożnie. - Dla większości ludzi to wystarczająco długo.

- Nie dla mnie. Ona... była całym moim życiem.

- Wiem. Nadal jest. - Odsunęła się od niego. - Cóż, przykro mi, że zamiast dać ci radość, wpędziłam cię w poczucie winy. Jedyne pożytkiem - uśmiechnęła się smutno - to że nie muszę już składać nikomu w ofierze mojego dziewictwa.

Zabolały go te słowa.

- Wydawało mi się, że oboje wiemy, na czym nam zależy. Nie mów teraz, że liczyłaś na coś więcej. Czy nie chodziło o to, żebyś nie wpadła w ręce Sabona?

- Owszem. I obroniłam cię przed nim. - Odwróciła się do niego plecami, krzyżując ręce na piersiach. - Zapomnijmy już o całej tej sprawie. Nic się nie stało.

A więc nie chciała z nim rozmawiać. Czowała się urażona, dotknięta. Patrzył na nią i czuł w sercu niewygodę, jakiś nieznaczny, lecz dokuczliwy ból. Było to nie do zniesienia, podobnie jak pożądanie, które ogarniało go za każdym razem, gdy stał obok niej.

Tak, płonął z pożądania, co uświadomił sobie z przerażeniem i co wpędziło go natychmiast w jeszcze większe wyrzuty sumienia. Jak może pożądać Brianny, skoro jego serce należy nadal do Margo?

Brianna wpatrywała się ze smętną miną w pordzewiały kadłub starego frachtowca, po którego pokładzie kręciło się kilku podejrzanych ludzi. Aby odwrócić myśli od Pierce'a i jej z nim żalostnego związku, zaczęła się zastanawiać nad szansami podejmowanej właśnie ucieczki. Decydowali się na ryzykowny krok, zawierając swój los kapitanowi tego statku. Gdyby jednak zostali w Kwawi, wcześniej czy później zostaliby rozpoznani i wpadliby znowu w ręce Sabona. Zapewne nie potraktowałby ich łagodnie, zwłaszcza że Winthrop zastrzelił jego najemników. Towarzysze zabitych domagaliby się zemsty.

Nie wolno ulegać panice, przykazała sobie dobitnie. Tylko odwagą mogą coś zdziałać, tylko śmiała akcja może przynieść im ocalenie. Czas odsunąć na bok urazy i pretensje, nie pielęgnować w sercu żalu do Pierce'a, ale współdziałać z nim i z Tate'em. W końcu Pierce naprawdę się dla niej poświęcił. Dla niego ów miłosny akt z dwudziestoletnią dziewczyną był tym samym co cudzołóstwo. Czy mogła go potępiać, że nie odwzajemnia jej miłości? Nie jest winien temu, że nadal kocha Margo i czuje się z nią związany. Taka wierność, która sięga poza grób, godna jest podziwu, a nie pretensji.

Odwróciła się i obdarzyła go smutnym spojrzeniem.

- Ja też cię przepraszam - powiedziała. - I jestem ci wdzięczna, że starałeś się mnie chronić.

Popatrzył na nią uważnie, zdziwiony tą nagłą metamorfozą.

- Nie masz się czym martwić - dodała Brianna, zanim zdążył się odezwać. - Nie zajdę w ciążę, Sabon mi nie zagraża... Nie mamy wobec siebie żadnych zobowiązań. Jesteśmy kwita.

Nie miała podstaw, by zapewniać go w ten sposób, ale nie chciała, by niepotrzebnie się zamartwiał. Bo gdyby nawet się okazało, że zaszła w ciążę, to i tak zaszyje się w jakimś zakątku świata, a Pierce nigdy o niczym się nie dowie.

- Jesteśmy kwita? - powtórzył głucho.

- Oczywiście - stwierdziła z przekonaniem. - Wydostaniemy się stąd wkrótce, potem pójdę na studia, a potem dyskretnie się rozwiedziemy. Nikt nie musi nawet wiedzieć, że byliśmy kiedykolwiek małżeństwem.

Pierce nie nadał za nią. Ta dziewczyna zmieniała się zbyt gwałtownie, zbyt często. On potrzebował czasu do namysłu, chciał wszystko spokojnie rozważyć, podczas gdy ona już powzięła decyzję. Z marsową miną szukał właściwych słów, aby wyrazić swoje uczucia, zanim jednak zdążył się odezwać, na pokładzie statku zrobił się ruch, po czym Tate Winthrop zszedł po trapie, uśmiechając się do nich z zadowoleniem.

- Wygląda na to, że mamy przyjaciół w najdziwniejszych miejscach! - Wskazał na idącego za nim wysokiego mężczyznę, który wydał się Briannie dziwnie znajomy. Gdy podeszli bliżej, rozpoznała go i struchlała z przerażenia. Był to Mufti, jeden z porywaczy!

ROZDZIAŁ 10

Mufti uśmiechnął się do Brianny i zapytał:

- Jesteś zaskoczona, prawda?

- Owszem - odparła.

- Nie bój się. Z mojej strony nic ci nie grozi.

- Ale... co ty tu robisz?

- Szpieguję dla rządu Salidu.

- To ten sąsiedni kraj, który chcą obarczyć odpowiedzialnością za agresję - uzupełnił Tate. - Musimy zabrać ze sobą Muftiego, bo stał się właśnie naszym koronnym świadkiem, - Nie wspomniał jej, że jeden z jego ludzi omal Muftiego nie zamordował, zanim ten zdążył się ujawnić i zdać na ich łaskę. Odpowiednie władze w Salidzie potwierdziły drogą radiową prawdziwość jego słów i mieli teraz nieoczekiwanego sojusznika.

Tate posiał Muftiego do kapitana statku, aby ten zezwolił im wejść na pokład. Zauważywszy po chwili, że kapitan schodzi pospiesznie po trapie, Tate wyszedł mu na spotkanie. Zamienili parę słów, po czym kapitan pobiegł z powrotem na pokład, machając rękami i wykrzykując jakieś rozkazy.

- Dostał właśnie wiadomość przez radio, że najemnicy Sabona są już w drodze - wyjaśnił szybko Tate. - Twierdzi, że dzisiaj i tak nie może wypłynąć. Będzie na nas czekał jutro, ale do tego czasu musimy się gdzieś ukryć.

- Mamy przeczekać noc? - zapytał Pierce, rozglądając się gorączkowo po ruchliwym porcie. - Gdzie? Nawet w tym przebraniu nie wyglądamy na Arabów. Nie będziemy bezpieczni w żadnym hotelu.

- Nie to miałem na myśli - oznajmił Tate, dając ręką znak swoim towarzyszom. - Krewni Muftiego mieszkają na wsi, niedaleko stąd, lecz z dala od uczęszczanych szlaków. Chodźcie, mam pewien pomysł...

Dwie godziny później Brianna ocierała z czoła pot i przeklinała w duchu Tate'a, próbując wydoić krowę w prymitywnej obórcie, zbudowanej jedynie z gliny i słomy. Wioska, do której dotarli, znajdowała się kilka kilometrów od miasta, a wyglądała tak, jakby nic się tam nie zmieniło od dziesięcioleci. Pierce i Tate przerzucali siano i czyścili stajnię. Mufti, mający na głowie turban, podobnie jak jego towarzysze, nosił worki ze zbożem z rozklekotanej ciężarówki do stodoły. Nie płacono im za tę pracę, ale w zamian za pomoc mieli dostać miejsce do spania - na czystym sianie na poddaszu.

Briannę nadal bolały pośladki od jazdy na wielbłądzie do tej leżącej na odludziu wioski. Było to rzeczywiście ostatnie miejsce, gdzie mógłby ich szukać Sabon oraz jego ludzie. Z pewnością będą raczej przeczesywać port, próbując trafić na ślad zbiegów, tymczasem ci mieli przeczekać noc na wsi, a rano wrócić do miasta i wślizgnąć się niepostrzeżenie na statek.

O ile oczywiście nikt ich wcześniej nie schwyta.

Dojąc po raz pierwszy w życiu krowę, Brianna wspominała słowa Sabona o ciężkiej doli jego narodu. Zobaczywszy teraz, w jak prymitywnych warunkach żyją jego rodacy, poczuła się winna, że ona ma w domu jedwabne suknie, eleganckie buty i kosztowne kosmetyki. Pomyślała, że najuboższej rodzinie w Stanach powodzi się bez porównania lepiej niż mieszkańcom Kwawi. Tutejsze kobiety przedwcześnie się starzały, mężczyźni byli przygarbieni i niedożywieni. Większość młodych kobiet, krzątając się przy pracy, nosiła na plecach niemowlęta. Niektóre małe dzieci miały charakterystycznie wydęte brzuszki - bolesny znak tego, że nie są odpowiednio karmione. Starsze dzieciaki czerpały wodę z głębokiej studni metalowym wiadrem, które - jak wyjaśniła im za pośrednictwem Muftiego jedna z kobiet - dostali w prezencie z Zachodu.

Mieszkańcy wioski byli zresztą niezwykle wdzięczni za ten prosty, zdawałoby się, dar - dzięki niemu nie musieli używać do nabierania wody skórzanego bukłaka, jak mieli to w zwyczaju od lat.

Brianna nie mogła się nadziwić, ile radości sprawia tym ubogim ludziom tak prosta rzecz, jak metalowe wiadro. Była też zdumiona, że akceptują swój los. Nikt się nie skarżył, że jest biedny, ani nie szukał winnych. Nie obchodziło ich to, że tuż za granicą, w bogatym sąsiednim kraju, jest nowoczesne miasto, mogące rywalizować przepychem i zamożnością ze stolicami Europy. Brianna dowiedziała się także, że wielu mieszkańców wioski wracało stamtąd z zawiedzionymi nadziejami, nie osiągając dobrobytu. Ludzie żyjący w prymitywnych warunkach, nie potrafiący nawet czytać, a co dopiero obsługiwać komputer, nie mieli w mieście żadnych szans na przetrwanie. Jak słusznie zauważył Sabon, brak wykształcenia z góry skazywał ich na porażkę.

- Jesteś bardzo zamyślona - zauważył Pierce, przystając obok niej z workiem zboża na ramieniu.

- Jestem - przyznała z lekkim uśmiechem.

- A nad czym tak rozmyślasz?

- Czy to nie zdumiewające, jak niewiele się tu zmieniło? - westchnęła. - Ta wioska wyglądała pewnie tak samo dwadzieścia, trzydzieści lat temu.

- Albo i więcej.

- Zobacz, Pierce, ci ludzie nic nie posiadają, a jednak wydają się być tacy szczęśliwi.

- Pogoń za bogactwem i dobrobytem nie wypaczyła ich systemu wartości - stwierdził, unosząc głowę i rozglądając się wokół. - Mają tu czyste powietrze, zegarki nie dyktują im rytmu dnia, nie znają przestępczości, narkotyków, brutalnej przemocy... - Spojrzał z uśmiechem w jej oczy. - Życie w łączności z naturą, w prymitywnych warunkach, bez zdobyczy cywilizacji dla niektórych zdaje się przekleństwem. Ma ono jednak także wiele plusów.

- Gdyby jeszcze nie te choroby, brak opieki zdrowotnej i edukacji...

- Skąd o tym wiesz? - przerwał jej, marszcząc brwi.

- Od Sabona - odparła. - Powiedział, że tylko dzięki wykształceniu ludzie z jego kraju mogą wydobyć się z nędzy.

- To prawda. - Pierce zmrużył oczy, - Mam jednak nadzieję, że nie dałaś mu się omamić.

- Może myli się w niektórych sprawach i z pewnością stosuje niewłaściwe metody, ale wierzę, że naprawdę chce pomóc swoim ludziom.

Pierce przyglądał się jej uważnie.

- Czemu się go nie boisz?

Brianna przez chwilę bawiła się źdźbłem, wystającym ze stojącego obok niej koszyka.

- Nie wiem - odparła w końcu. - On jest inny niż się wydaje. Założyłabym się o duże pieniądze, że za całą tę intrygę odpowiada w większości Kurt.

- Twój ojczym? - Podszedł bliżej i spojrzał na nią z góry. - Dlaczego tak uważasz?

Popatrzyła mu głęboko w oczy.

- Sabon mógł z nami zrobić, co chciał. Ale wydał rozkaz, żeby nas nie krzywdzono. Powiedział mi, że atak na jego ludzi miał być symulowany. Ale użyto prawdziwych bomb i pocisków, prawda?

- Tak - odparł chłodno Pierce. - Kuzyn Muftiego twierdzi, że zginęło wielu ludzi.

- No właśnie - westchnęła ciężko.

- Więc twoim zdaniem Sabon nie wiedział, że nastąpi prawdziwy atak?

- Tak przynajmniej twierdził, a ja mu wierzę. Jego babka urodziła się w tym kraju i mieszkała tu całe życie. On sam ma tu wielu krewnych. Mufti chętnie ci opowie, jak wiele zrobił dla swoich ludzi. Czy pozwoliliby ich zabijać, żeby nakłonić inny kraj do ochrony złóż ropy?

- Nie - odparł po chwili Pierce, choć przyszło mu to z trudem.

- Więc może to Kurt opłacił najemników i sam ich tu przysłał. Na polecenie Sabona, ale z innymi rozkazami niż wspólnie ustalili.

Pierce zmarszczył brwi.

- Jeśli tak było, Kurt długo nie pożyje.

- Możliwe. Ale teraz jest w Waszyngtonie. Ma Sabona w garści. Powie swemu przyjacielowi w Senacie, co tylko zechce. Założmy, że przedstawi Sabona jako szaleńca, który próbuje wszcząć wojnę ze swymi sąsiadami. Który planuje przewrót wojskowy i chce przejąć dyktatorską władzę...

Pierce spojrział na nią, zdumiony jej przenikliwością i zarazem przerażony prawdopodobieństwem takiego scenariusza.

- Nie - pokręcił głową - Kurt nie postradał przecież zmysłów.

- Wcale tego nie twierdzę - odparła. - Pamiętaj jednak, że grozi mu utrata wszystkiego, co posiada. Sabon dawał mu do zrozumienia, że może wycofać się z kontraktu. Nie zdziwiłabym się więc zbytnio, gdyby Kurt próbował sam przejąć złoża ropy. Jeśli oskarży Sabona o zamach stanu i sprowokuje wojskową interwencję, będzie mógł się ogłosić ich właścicielem. Dogada się z konsorcjum naftowym i zaprowadzi swoje porządki. Sabon wyląduje w więzieniu albo zginie, a Kurt będzie wreszcie bogaty.

Pierce przeczesał ręką włosy.

- Snujesz tylko domysły.

- Całkiem logicznie domysły, prawda?

- Aż za bardzo. - Gwizdnął przez zęby i znów pokręcił głową. - Boże wszechmogący, co za bagno!

- Będzie jeszcze gorzej, jeśli nie udaremnimy planów Kurta Brauera - dodała Brianna.

- Jeżeli to on wysłał najemników i wydaje im rozkazy, nie będą brali jeńców. Gdy wpadniemy w ich ręce, zabiją nas i obarczą całą winą Sabona.

Pierce jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak przygnębiony. I tak zaskoczony. Brianna zdumiała go swoją inteligencją i sprawiła, że nie patrzył już na nią z dotychczasową pobłażliwością. Nie docenił jej. Miał ją za trzpiotowatą pannicę, a tymczasem to on nie umiał właściwie ocenić sytuacji. Winił za wszystko Sabona. Ale przecież ten traciłby zbyt wiele, zabijając swoich ludzi. Kurt natomiast pozbawiony był skrupułów - akurat co do tego Pierce nie miał żadnych wątpliwości. Świadczyła o tym przeszłość Brauera, jego dotychczasowe działania i przedsięwzięcia.

- On zabije także Sabona - Brianna przerwała zaległą na chwilę ciszę.

- Tak, będzie musiał. Sabon za dużo wie. - Pierce zacisnął pięści i spojrzał z namysłem przed siebie. - Na razie jednak nic nie możemy zrobić. Nie ruszymy się stąd do rana, podróż statkiem do Miami również musi trochę potrwać. Poza tym Kurt i tak się domyśli, co chcemy zrobić, i każe swoim najemnikom czekać na nas w Stanach. Będą obserwowali lotniska i porty.

- Musimy uważać.

- Jeszcze jak.

- Zwłaszcza Mufti. On wie o tej sprawie więcej niż ktokolwiek. Może wpakować Kurta do więzienia, o ile tylko dotrze żywy do Waszyngtonu.

- Zadbamy o to - obiecał jej Pierce. - Znajdziemy jakiś sposób.

Brianna spojrzała na jego szeroki tors i pomyślała, że chciałaby złożyć na nim głowę i usnąć. Była senna i wyczerpana doświadczeniami ostatnich dwóch dni.

- Jesteś zmęczona? - domyślił się natychmiast.

- Tak. - Skinęła głową. - Ale jakoś się trzymam. Pierce? - zapytała po chwili, jakby niepewna tego, co ma zamiar powiedzieć.

- Tak? - zachęcił ją uśmiechem. - Co jeszcze wymyśliłaś, moja mądralo?

- Nie kpij ze mnie.

- Nie kpię - zapewnił z powagą. - Zaimponowałaś mi, Brianno, naprawdę.

- Może więc... - zawahała się - może więc powiemy o wszystkim Sabonowi, ostrzeżemy go?

Pierce nie zachnął się ani nie zirytował, jak tego się obawiała, lecz zapytał rozsądnie:

- Jak do niego dotrzemy? Poza tym nie możemy z nim współpracować. On nas porwał.

- Dla dobra swego kraju.

- To go nie usprawiedliwia.

- Mógł nas zabić - stwierdziła, wpatrując się w koszyk - lecz nie zrobił tego.

Pierce przysunął się do niej. Uniósł podbródek Brianny i spojrzał jej prosto w oczy.

- Powiedz szczerze: co się stało, że zmieniłaś o nim zdanie? Jeszcze niedawno miałaś go za potwora, bałaś się go.

Westchnęła ciężko.

- Nie mogę ci tego powiedzieć. Przydarzyło mu się kiedyś coś... strasznego. Nie jest tym, za kogo wszyscy go uważają. Gdybyś znał jego tajemnicę, też byś mu współczuł.

Pierce odwrócił wzrok. Teraz nie mógł już zamaskować swej irytacji. A był zły - zły na Briannę, bo nie chciał, by cokolwiek przed nim ukrywała, i zły na siebie, bo ze

zdumieniem odkrył, że jest o nią zazdrosny. Nigdy by nie przypuszczał, że oładnie nim to uczucie - a jednak tak właśnie się stało.

Spojrzał na jej gibkie, młode ciało i westchnął z udręką. Pamiętał, z jaką rozkoszą dotykał go przy basenie w Nassau. Pamiętał ton ekstazy w jej głosie, gdy przywarli do siebie w celi, gdzie ich uwięziono. Znow jej pragnął, pożałował jej każdą cząstką swego ciała.

Gdyby wiedział, że z nią jest podobnie... Że Brianna czuje znajomy, podniecający zapach jego ciała. Że nie ma już żalu, iż zastępuje mu tylko Margo. Że teraz myśli jedynie o tym, jaką rozkosz może *jej* sprawić kontakt z mocnym, napiętym ciałem Pierce'a. Chciała znów zaznać tej rozkoszy. Bezwiednie przysunęła się bliżej, aby poczuć jego ciepło. Otarła się o jego tors i dopiero wtedy Pierce pojął, że kipią w nich te same pragnienia, te same żądze.

- Ci ludzie to muzułmanie - szepnął zduszonym głosem, czując zawrót głowy z powodu jej bliskości. - Nie akceptują takiego zachowania.

- Wiem - odparła, wpatrując się w jego wargi.

- Więc dlaczego patrzysz na moje usta?

- Bo chcę cię pocałować.

Pierce milczał. Cały płonął, choć przecież jeszcze jej nie dotknął.

- Nie możemy... - Zaciśnął bezsilnie pięści.

- Jesteśmy małżeństwem - stwierdziła żałośnie.

- Wiem, ale nawet w nocy nie będziemy sami. Tutaj... po prostu nie możemy się kochać.

- Cholera! - zaklęła szeptem, z zabawną rozpaczą.

- Cholera - powtórzył za nią i zmrużył oczy, które zbyt wyraźnie lśniły z pożądania. - Ja też cię pragnę, Brianno. Bardzo, do szaleństwa...

Po raz pierwszy przyznał się do tego tak otwarcie, lecz ona nie dociekała, z jakiego powodu i dlaczego akurat teraz. Po chwili Pierce westchnął ciężko i odwrócił wzrok w kierunku horyzontu.

- Jesteś młoda, Brianno - pokręcił głową - bardzo młoda. Nasz pierwszy raz był cudowny, przyznaję. Doświadczyłaś czegoś nowego i chcesz to powtórzyć. Ale teraz... nie mamy warunków.

Przymknęła powieki, upajając się delikatną wonią jego ciała połączoną z zapachem wody kolońskiej i zapachem wielbłądziej sierści, którym przesiąknęli, jadąc przez pustynię.

- Brianno - powtórzył. - Czy ty mnie słuchasz? Otworzyła zielone oczy i odparła z nostalgią:

- Szkoda, że nie jesteśmy teraz w Paryżu. Pierce zaśmiał się mimo woli.

- Byłem wtedy zbyt pijany, żebyś miała ze mnie pożytek.

- Byłeś bezbronny, potrzebowałeś pomocy - powiedziała. - To się już nigdy potem nie powtórzyło. Od tamtej pory jestem dla ciebie tylko kłopotliwym obowiązkiem.

- Nie!

- Tak. Może tylko raz okazałam się przydatna. Ale i tak nie pozwalasz mi się do siebie zbliżyć.

- Rozmawialiśmy już na ten temat...

- Wiem. Ale to nic nie zmienia. Ja cię pragnę, a ty nie chcesz się ze mną wiązać.

- Nie mogę.

- Wiem - powtórzyła - znam twoje argumenty i twój plan: kiedy stąd uciekniemy, ja pójdę na studia, a ty zajmiesz się interesami. - Spojrzała w jego czarne oczy, westchnęła tęsknie. - Zanim mnie jednak odprawisz, chcę spędzić z tobą całą noc.

Pierce poczuł, że jest napięty jak struna. Wyobraził ją sobie w dużym, miękkim łóżku, w powodzi światła.

- To tylko pogorszyłoby sprawę - rzekł krótko.

- Nie, gorzej już być nie może - odparła. Spuściła wzrok, odsunęła się od niego. - Chcę choć przez moment poczuć się żoną, zanim zostanę rozwódką.

Pierce znów poczuł się winny. Potraktował Briannę w nikczemny sposób. Pozbawił ją przyzwoitego ślubu i nocy poślubnej, nie mówiąc już o tym, że dopuścił do jej porwania.

Lecz przecież nie mógł teraz jej usłuchać, nie mógł dać się skusić jej namowom. Gdyby uległ, jeszcze bardziej by ją skrzywdził.

- Wróćmy lepiej do pracy - powiedział. - Musimy z Tate'em dokończyć budowę muru, którą mieszkańcy wioski zaczęli w tym tygodniu.

- Pańska specjalność, panie Hutton - odparła z wymuszonym uśmiechem. - Roboty budowlane.

- Tak. Choć wolałbym wykonywać je gdzie indziej - mruknął, odwracając się czym prędzej, by nie dostrzegła jego wzroku.

Skończywszy wreszcie pracę, zjedli skromny, lecz zaskakująco smaczny posiłek, złożony z chleba i koziego sera. Potem usiedli przy ognisku i rozmawiali o tym, jak minął dzień. Brianna nie rozumiała języka mieszkańców wioski, słuchała jednak jego egzotycznej, dźwięcznej melodii, która działała na nią kojąco. Wyczerpana i senna, złożyła głowę na ramieniu Pierce'a i słuchając mowy tubylców, szybko usnęła.

- Jest zmęczona - stwierdził Tate, uśmiechając się na widok skulonej dziewczyny. - Pan też ma już dość, szefie. Może zanieś ją pan do łóżka? Chcę zadać naszym gospodarzom

parę pytań na temat tego rzekomego zamachu stanu. Nie bardzo radzę sobie z ich dialektem, więc będę potrzebował Muftiego jako tłumacza. Dołączymy do was później, zgoda?

- Zgoda. Tylko uważaj na siebie - ostrzegł go Pierce. - Ufam Muftiemu, ale możemy mieć wrogów, o których nawet nie wiemy.

Tate uśmiechnął się szeroko.

- Jeśli tu są, znajdę ich na pewno.

- Nie wątpię - odparł Pierce, po czym pochylił się i wziął Briannę na rękę. Towarzyszyły temu żartobliwe uwagi zebranych, odpowiedział jednak na nie z życzliwym uśmiechem, a potem zaniósł dziewczynę do wypełnionej sianem pobliskiej stodoły, gdzie w ostatnim boksie leżały rozłożone na świeżej słomie dwa duże koce, mające im służyć za posłanie.

Ułożywszy Briannę ostrożnie na jednym z nich, zauważył, że ramiona nie opadają jej bezwładnie. Przemknęło mu przez głowę, że może tylko udawała sen, a kiedy Brianna otworzyła oczy, potwierdzając jego domysły, serce zabiło mu żywiej.

Uciekła się do podstępu, by zostać z nim sam na sam!

Spojrzała na niego zalotnie w migotliwym świetle naftowej lampy. Poczul na karku delikatny dotyk jej palców, a na szyi słodkie muśnięcie oddechu. Oddychała nierówno, była wyraźnie podniecona. Sięgnął do lampy, przyglądał się jej przez chwilę z napięciem, wreszcie zdmuchnął mały płomyk.

Brianna usłyszała chrzęst słomy, stukot odstawianej na półkę lampy, a potem szelest materiału. Zaraz potem Pierce nachylił się nad nią.

Nic nie mówiąc, położył dłonie na jej biodrach. Ich wargi zetknęły się powoli. Pierce przysunął się bliżej i wtedy poczuła wyraźnie, jak bardzo jej pożąda. Rozsunęła nogi mimowolnie, instynktownie. Westchnęła, czując na sobie słodki ciężar. Wyprężyła się, gdy odsunął ustami skraj jej szaty i przylgnął wargami do spragnionej pieszczoty piersi.

Nie wiedzieli, jak dużo mają czasu. Nie chcieli ryzykować, że zostaną nakryci. Pierce szybko ją rozbudził, podsycając wprawnymi ruchami płomień pożądania, a kiedy Brianna wygięła plecy w łuk i jęknęła cicho, jakby chciała go przynaglić, rozsunał poły swej szaty i przywarł do niej nagim ciałem.

Wstrzymała oddech, znieruchomiała i trwała nieporuszona przez cudownie długie sekundy, kiedy Pierce wchodził w nią ostrożnie, starając się nie sprawić jej bólu.

I znów miała go w sobie. I znów była szczęśliwa. Wciąż milcząc, Pierce zaczął poruszać się w niej powoli, a ona drżała, czując, że każdy ruch jego bioder jest coraz słodszy,

coraz pewniejszy, coraz bardziej odbierający przytomność i prowadzący coraz szybciej na krawędź ostatecznego spełnienia.

- Dobrze? - zapytał szeptem.

- Tak - wyjąkała.

Gdy wniknął w nią jeszcze głębiej, wbiła mu paznokcie w skórę, przygryzając wargę, aby powstrzymać się od krzyku. On tymczasem muskał wargami jej rozchylone usta, jego rytmiczne ruchy stawały się coraz bardziej natarczywe, gwałtowne, zaborcze. Czuli go w każdej części swego ciała. Czuli z nim jedność i wiedziała, że to, co ich łączy, to nie tylko wzajemne pragnienie, pożądanie, seks. Łączyło ich w istocie o wiele więcej i właśnie teraz, w miłosnej ekstazie, Brianna po raz pierwszy uświadomiła to sobie tak dobitnie.

Oplotła go ramionami gestem zarazem pożądliwym i czułym. Przycisnęła go do siebie mocniej, przesunęła dłońmi po pośladkach, a wtedy on zaśmiał się nerwowo, czując, jak go ponagla i prowokuje. Znieruchomiał na chwilę, by złapać oddech, a potem jęknął z rozkoszy i poprosił zduszonym, chrapliwym głosem:

- Och, tak. Nie przerywaj...

Jej dłonie, delikatne jak jedwab, usłuchały tej zarliwej prośby. Dotyk jego skóry przyprawiał ją o dreszcze, wprowadzał w trans. Uniosła biodra, aby jeszcze mocniej do niego przylgnąć. Poczuli, że Pierce łączyła chwila eksplozji w jej łonie, więc znów wpiła palce w jego ramiona.

I wtedy jej kochankiem zawładnęła prawdziwa pasja. Pchnął ją mocniej, ujął w dłonie jej głowę i przywarł rozpalonymi ustami do jej warg. Ona zaś oplotła go zaborczo smukłymi nogami i wystrzeliła niczym pocisk na sam szczyt niewysłowionej rozkoszy. Z jej ust dobył się dziwny, przeciągły dźwięk. Miała wrażenie, że szybuje nad przepaścią. Szlochała cicho, prężąc się i drżąc z rozkoszy, podczas gdy Pierce patrzył na nią z zachwytem i triumfował, wstrząsany serią nie kończących się spazmów.

- Och, Pierce... - wyszeptała mu do ucha w tym samym momencie, kiedy w głębinach swego ciała poczuła eksplozję ognia. - Och, Pierce... - powtarzała, tuląc twarz do jego szyi, gdy opadł nagle z sił, rozgorączkowany, wyczerpany i drżący.

Dyszał ciężko. Długo nie mógł złapać tchu. Nie był w stanie mówić ani myśleć. Ogarnęła go tak przemożna błogość, tak cudowne zaspokojenie, że niemożliwy zdawał mu się każdy, najmniejszy nawet ruch. Wreszcie nabrał sił i odwrócił się powoli na plecy, pociągając ją za sobą i nie przerywając intymnego zespolenia. Leżała teraz na nim, wciąż przywierając mocno do jego bioder.

- Uwielbiam to - szepnął zduszonym głosem. - Jesteś taka ciepła, taka miękka... Czuję cię przy każdym ruchu.

Mruknęła cicho i ukryła twarz na jego torsie.

- Na początku nie było łatwo - wyszeptała.

- Oswoisz się z tym. A ja muszę bardziej uważać, nie robić tego tak szybko, tak gwałtownie. Kiedy jednak czuję cię obok siebie, kiedy jesteś blisko... - Przycisnął delikatnie dłonie do jej pośladków. - Boże, Brianno, wykończyłaś mnie, a nadal cię pożądam.

- Może więc... jeszcze raz? - spytała szeptem. - Nie, chociaż bardzo bym chciał. - Wyprężył się, zupełnie już bezbronny wobec potęgi rozkoszy, a potem zaśmiał się cicho i spytał: - A ty? Czy tobie było przyjemnie?

- O, tak.

Przesunął leniwie palcami po jej plecach.

- Wiem, czułem to. Byłaś taka nieprzytomna, taka spięta. Ścisnęłaś mnie wtedy jeszcze mocniej i... Boże, ja chyba nigdy...

Przeszedł ją dreszcz, gdy usłyszała te słowa. Nie miała jednak czasu, by zastanawiać się, co naprawdę znaczą, bowiem Pierce rozsunął lekko jej nogi, wniknął w nią głębiej i trzymając ręce na jej biodrach, zaczął kołysać ją rytmicznie. Jego ruchy były niby leniwe, powolne, miały jednak iście piorunujący skutek.

- Pierce... - jęknęła cicho.

- Ciii, moja maleńka - szepnął w odpowiedzi. - Czujesz to? Czujesz, jakie to cudowne?

Krzyknęła cicho, bo oto zaczęło dziać się z nią coś dziwnego, coś, czego nigdy dotąd nie doświadczyła. Chwyliła go za ramiona, czując, jak zmysły zaczynają na nowo w niej wibrować, odbierać jej przytomność oraz władzę nad ciałem, jego odczuciami i reakcjami. To one ją niosły, to one miały nad nią władzę. Wobec rozkoszy, która przeszła ją tak intensywnie i tak nagle, była całkowicie bezbronna.

- Nie... - jęknęła głucho, wystraszona własną reakcją.

- Tak - szepnął Pierce, wyczuwając jej lęk. - Tak - ucałował ją delikatnie w czoło - nie bój się, malutka. Nie walcz z tym, poddaj się. Poddaj się całkowicie.

Nie mogła odmówić temu zaproszeniu. Była na to zbyt słaba, przerastało to jej siły. Traciła oddech i omdlewała ze szczęścia. Słyszała czule zakłęcia Pierce'a i czuła w sobie jego rytmiczne ruchy. Nagle poczuła falę gorąca, erupcję rozkoszy. Krzyknęła mimo woli, wstrząsana regularnymi skurczami, a wówczas Pierce położył ją w mgnieniu oka na plecach i przywarł do niej w ciemności, obejmując mocno jej uniesione uda. Wreszcie, wsparłszy głowę na jej piersiach, zadrzał po raz ostatni i opadł na nią bezwładnie.

Zsunął się na bok dopiero po kilku minutach.

- Będziesz miała siniaki - powiedział przepraszającym tonem.

Próbowała się poruszyć, wciąż była jednak zbyt oszołomiona, niemal półprzytomną.

- Nie szkodzi. Powiedz, Pierce, czy seks... zawsze jest taki?

Nie odpowiedział jej. Podniósł się ostrożnie i usiadł, z trudem łapiąc oddech.

Owinąwszy się swoją szatą, okrył nią również starannie nagie ciało Brianny.

- Pierce? - szepnęła, zaniepokojona jego milczeniem.

On jednak wciąż się nie odzywał. Niemal bezwiednie przyglądał skraj jej szaty, po czym położył się obok z rękami pod głową, wpatrzony w czarny strop nad sobą.

- Czy zrobiłam coś nie tak? - zapytała niepewnie.

- Nie chodzi o ciebie, tylko o mnie - odparł z ciężkim westchnieniem.

- Co się stało?

- Nic. Spróbuj zasnąć, Brianno. Jutro mamy przed sobą długi dzień.

Nie usnęła. Długo leżała obok niego w bezruchu, zastanawiając się, co go dręczy. Nie trzeba zresztą było długo się nad tym zastanawiać. Oto znów zastępowała mu Margo. Oto znów poczuł się winny. Poślubił ją, ale nadal był mężem tamtej kobiety. Po raz drugi popełnił cudzołóstwo, po raz drugi zdradził zmarłą żonę.

Gdyby Brianna nie była tak wyczerpana i rozczarowana, wpadłaby w histerię. Czy ten człowiek nigdy nie pogodzi się ze swą stratą? I czy ona nie zrozumie nigdy, że nie ma dla niej miejsca w życiu mężczyzny, który nie umie zapomnieć o dawnym szczęściu?

Och, byłoby lepiej, gdyby w ogóle go nie poznała. Gdyby nie odezwała się do niego tamtego dnia w Paryżu. Pozostałaby panną i nie miałyby złamanego serca. Może wyszłyby za Sabona, którego nie musiałyby z nikim dzielić?

Usłyszała szelest siana i domyśliła się, że Pierce wstaje. Chciała się odezwać, jednak on zrobił to pierwszy:

- To był tylko seks, Brianno - powiedział, po czym szybko wyszedł ze stodoły.

ROZDZIAŁ 11

Pierce nie wracał przez dłuższy czas, więc Brianna, oszołomiona nadal jego dziwnym zachowaniem i wyczerpana fizycznym wysiłkiem, zapadła w sen. Kiedy się obudziła, wciąż była sama. Podniosła się, zawiązała na głowie turban i wyszła szukać swoich towarzyszy.

Pierce natychmiast znalazł się przy niej. Obojętny wyraz jego twarzy nie zdradzał, że coś go gnębi. Dopiero przyjrzawszy mu się uważniej, zobaczyła, że jego oczy są podkrążone z niewyspania.

- Szukałam cię - powiedziała.

- Naradzaliśmy się, co robić dalej - wyjaśnił. -Ustaliliśmy, że pojedziemy do następnego portu. Byłoby zbyt niebezpiecznie wracać tą samą drogą. Kuzyn Muftiego mówi, że Sabon musiał ratować się ucieczką, bo jego dom został opanowany przez najemników, którzy sieją teraz spustoszenie na ulicach. Twoje przypuszczenia odnośnie Brauera chyba okazały się trafne.

- O Boże - jęknęła Brianna. Chyba nigdy nie nienawidziła swego ojczyrna bardziej niż teraz. Pomyślała też o Sabonie i o tym, że może zdołał jakoś wywinąć się śmierci.

- Twój ojczym oszukał swego partnera - mówił tymczasem Pierce - i będzie próbował przejąć złoza ropy. Lepiej ruszajmy w drogę, póki nie jest za późno.

Wyruszyli niedługo potem. Stary, sfatygowany samochód, który prowadzili krewni Muftiego, nie był w stanie jechać szybko, poza tym musieli często się zatrzymywać i zbaczać z drogi, chcąc mieć pewność, że nikt ich nie śledzi. Na szczęście im bardziej oddalali się od stolicy, tym mniejsza była groźba, że natknie się na nich jakiś oddział najemników. Podobno rebelia nie zdążyła się jeszcze rozprzestrzenić, a jedynym terytorium będącym we władaniu zamachowców, była wyspa, na której znajdował się dom Sabona. Takie przynajmniej pogłoski słyszał po drodze Mufti.

Kolejny port okazał się większy od tego, do którego trafili na początku. Zobaczyli tam znajomy statek -starą zardzewiałą łajbę, na której poprzedniego dnia zarezerwowali sobie miejsca - a wtedy Tate Winthrop spotkał się z kapitanem i szybko załatwił niezbędne formalności.

Na pokład wchodzili mocno podenerwowani, gdyż ktoś odpalił na przystani sztuczne ognie, symulując zbrojny atak. Atmosfera była napięta, informacje o wojskowym zamachu stanu już tutaj dotarły, a Tate zebrał od jednego ze swoich informatorów nowe wieści: lada chwila miał upaść rząd, przedstawiciele władz uciekali w popłochu, stolica była w rękach

najemników, szefowie konsorcjum naftowego zostali uwięzieni. Przerwano także wszelką łączność Kwawi ze światem zewnętrznym. Kurt Brauer zaanektował ten niewielki kraj, lecz o tym, że to on pociąga za sznurki, nie wiedział nikt prócz ludzi, biorących udział w spisku.

Kapitan ukrył uciekinierów w ładowni statku, dał im żywność oraz wodę i zapewnił, że wkrótce znajdą się na międzynarodowych wodach, gdzie będą całkowicie bezpieczni. Mufti zostawił trójkę cudzoziemców pod pokładem i dołączył do załogi frachtowca.

Jednak Brianna odetchnęła z ulgą dopiero wtedy, gdy podniesiono cumy i statek wypłynął w morze. Do ostatniej chwili była przekonana, że ktoś ich zatrzyma. Martwiła się też o Sabona.

Miała nadzieję, że przynajmniej ona i jej towarzysze wyjdą cało z opresji i zrelacjonują wszystko, komu trzeba, zanim Kurt osiągnie swój cel.

- Jest jeszcze jeden problem - oznajmił Tate, gdy usiedli na workach ze zbożem, rozkładając swoje skromne zapasy: chleb, ser i kilka butelek wody.

- Co znowu? - zapytał z rezygnacją Pierce. Był mocno zarośnięty i coraz bardziej przypominał najemnika.

- Kapitan może nas zabrać tylko na wyspę St. Martin - oznajmił Winthrop. - Dostał duże pieniądze za dostarczenie tam jakiegoś ładunku. Nie może odmówić, bo zlecił mu to jego szwagier.

- A więc utkniemy na St. Martin - westchnęła ciężko Brianna. - A tymczasem mój ojczym zniszczy kraj Philippe'a Sabona i obarczy go za to winą. Tate uśmiechnął się do niej pocieszająco.

- Może uda się popłynąć dalej następnym frachtowcem.

- A jak mu zapłacimy? - spytał poirytowany Pierce. - Mój portfel został w samolocie Sabona. Nie mam grosza przy duszy.

- Ja także - przyznał Tate. - Ale gdybym znalazł jakiś bank, zdobędziemy fundusze.

- Nie mogę się nadziwić, że Kurt poczyna sobie tak bezkarnie - westchnęła Brianna.

- Pierce wspominał, że podejrzewałaś swojego ojczyma o spisek. Jesteś zaskakująco bystra jak na osobę, która nie zajmuje się polityką.

- Znam Kurta - odparła ze smętnym uśmiechem. - Nazywał Sabona potworem, lecz to on zasługuje na to określenie.

- Sabon musi się teraz cholernie głupio czuć - wtrącił Pierce.

- Święte słowa, panie Hutton - odezwał się głuchy, lekko rozbawiony głos od strony drzwi prowadzących na korytarz.

Trzy pary zdumionych oczu zwróciły się jednocześnie w kierunku wysokiego, odzianego w długą szatę Araba. Ten uśmiechnął się lekceważąco, widząc zadziwione spojrzenia. Sprawiał wrażenie beztroskiego, lecz zdradzały go oczy, smutne i pełne przygnębienia. Po jednej stronie jego szczupłej, ogorzałej twarzy widać było głębokie blizny.

Dołączył bez skrępowania do trójki uciekinierów i wyciągnąwszy spod szaty skórzany bukłak, rzucił go Pierce'owi.

- To wino - wyjaśnił. - Jako muzułmanin nie pijam alkoholu, ale wy nie musicie się z tego powodu ograniczać.

- Czy zatrute jest samo wino, czy tylko bukłak? - mruknął Pierce, obrzucając go lodowatym spojrzeniem.

Philippe Sabon podniósł rękę w uspokajającym geście.

- Nie obawiajcie się. Nie jestem aż taki głupi - odparł. - I tak - dodał z westchnieniem, sięgając po kawałek chleba i sera - kiedy nasz rząd odzyska władzę, przez wiele tygodni będę musiał się tłumaczyć, co miałem wspólnego z tym spiskiem.

- I co im pan powie? - zapytał Pierce. Sabon spojrzał na niego wilkiem.

- Nie wiem. Kiedy najemnicy Brauera napadli na mój dom, kazałem swoim zaufanym ludziom wywieźć szejka za granicę. On jest bezpieczny, ale na ulicach leżą ciała moich rodaków, choć osobiście wydałem ścisłe rozkazy, że napastnicy mają używać ślepych pocisków i petard. - Popatrzył na Briannę i dodał: - Twój ojczym ma przewrotną naturę, a ja okazałem się największym na świecie głupcem, powierzając siebie i swój kraj na jego łaskę. Uwierzyłem w jego obietnice. Mówił, że atak będzie pozorowany.

- Byłeś gotów rozpętać wojnę, żeby doprowadzić do interwencji Amerykanów - przypomniała mu bezlitośnie Brianna.

- To miała być tylko symulacja - poprawił ją, wzdychając ciężko. - Widziałem kiedyś, jak dziecko umierało z głodu, trzymając w rękach jedzenie - powiedział cicho, przyglądając się resztkom chleba i sera.

- Przez jakiś czas w naszym kraju brakowało zboża, a dostawy zatrzymano na granicy. Z powodu sankcji - dodał z wyrzutem. - Podczas ostatniego konfliktu w tym regionie mój rząd poparł wroga Stanów Zjednoczonych. Otrzymaliśmy racje żywnościowe od zaprzyjaźnionego z nami państwa, ale zanim nadeszły, niektórym dzieciom nie można już było pomóc. Umierały, próbując jeść, było już jednak za późno, nie miały sił... - Okruchy chleba i sera upadły mu na kolana.

- Nienawidzę bogatych. Nienawidzę krajów, które rządzą światem, nie dostrzegając wszechobecnej nędzy...

- No dobrze - przerwał mu trzeźwym głosem Pierce. - Domyślamy się, jakie są pana poglądy. Niech pan nam jednak powie, co pan tu właściwie robi.

Arab uniósł brwi.

- To oczywiste. Uciekam przed ludźmi Brauera.

- Tym rozklekotanym stateczkiem? Jest pan obrzydliwie bogaty - przypomniał mu Pierce. - Mógłby pan kupić statek i odpłynąć stąd w dowolnym kierunku.

Sabon roześmiał się gorzko.

- Bogaty! Najemnicy zajęli mój dom.

- I co z tego? - nie ustępował Pierce.

- Pewnie słyszał pan pogłoski, że nie ufam bankom...

- Wolne żarty.

- Niestety, nie. - Sabon sięgnął po plastikową butelkę z wodą. - Zapłaciłem za miejsce na tym statku pieniędzmi, które miałem przy sobie. Jeśli znajdę się na neutralnym terenie, zorganizuję swój naród do walki, ale będę musiał w tym celu zaciągnąć pożyczkę.

- Od kogo?

Arab popatrzył na niego w milczeniu. Spojrzenie było tak wymowne, że Pierce natychmiast oznajmił z oburzeniem:

- Chyba pan oszalał! Jak pan może oczekiwać ode mnie pomocy po tym, co pan mi zrobił?! Przecież zostaliśmy porwani!

- Porwałem Briannę i człowieka, który był rzekomo jej ochroniarzem - poprawił go Sabon. - Dopiero gdy uciekliście, dowiedziałem się, kto siedzi w drugiej celi. A propos... - Sięgnął pod szatę i wyciągnąwszy skórzany portfel Huttona, rzucił mu go na kolana. Zdumiony Pierce sprawdził jego zawartość, by przekonać się, że nie brakuje niczego - ani paszportu, ani kart kredytowych, ani kilkuset dolarów w gotówce. - Pilot znalazł go pod fotelem w moim samolocie. - Sabon zmarszczył brwi. - Pewnie już wysadzili tę maszynę w powietrze. - Wypił łyk wody, znów westchnął. -Dogadałem się z kapitanem tego statku, że wysadzi mnie na wyspie St. Martin. Jeżeli pożyczysz mi pan jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, odzyskam mój kraj i majątek zawłaszczony przez najemników Kurta Brauera.

Pierce wzniosł oczy do góry.

- Musiał pan upaść na głowę. Nie dostanie pan ode mnie ani centa!

- Owszem, dostanę.

- Skąd ta pewność?

Sabon zebrał w milczeniu okruchy chleba z kolan, włożył je do ust i popił wodą.

- Ponieważ potrafię udowodnić, że Brauer odpowiada również za atak na pańską platformę na Morzu Kaspijskim. Ci sami najemnicy winni są śmierci kilku pana pracowników. Wiem, co to za ludzie.

- To pan ich wynajął!

- Nie. Zrobił to Kurt. Zapewnił mnie, że wypełnią ściśle moje rozkazy. Byłem gotów dać mu wolną rękę, dopóki okazywał się przydatny. Miał przyjaciół w konsorcjum naftowym, którzy z pewnością chętniej spełniali prośby bogatego biznesmena niż biednego Araba.

- Biedny Arab! Też coś! - zachnął się Tate.

- Jestem milionerem - przyznał Sabon - to prawda. Proszę jednak pamiętać, że współczynnik inflacji w moim kraju wynosi obecnie jakieś osiemset procent. Cóż to jest, być milionerem? Gdybym jednak chciał ciągnąć zyski z powstającego przemysłu naftowego Kwawi, to i owszem, znaczyłbym cokolwiek więcej.

Nie sądzi pan chyba, że Kurt Brauer traciłby czas dla nędznego Araba z głodującego kraju, gdyby nie spodziewał się krociowych zysków?

Pierce wstał i zaczął się przechadzać.

- Nic z tego nie rozumiem. Słyszałem pogłoski, że jest pan miliarderem, że widywano pana w najbardziej ekskluzywnych miejscach, w kasynach...

- Sam rozpowszechniam takie plotki.

- Sam? W jakim celu?

- Musiałem uchodzić za bogacza, żeby Kurt zechciał zainwestować w nasze złoża ropy i trzymać w ryzach moich wrogów - stwierdził Sabon, wzruszając ramionami. - Powinienem był jednak wiedzieć, że takiemu człowiekowi nie można ufać. - Sposepniał nagle. - Pewnie jest teraz w Waszyngtonie i obwieszcza całemu światu, że ja, islamski fanatyk, próbowałem dokonać w moim kraju krwawego zamachu stanu. Ale on jeszcze nie wie, co wiem ja i na co mnie stać.

- Nie rozumiem - powiedział Pierce, siadając z powrotem na worku zboża.

- Amerykanów bardzo zainteresują informacje o wywrotowych akcjach Brauera. Zamierza właśnie podpalić kilka szybów naftowych i rzucić winę na pewien kraj wrogo nastawiony do Stanów Zjednoczonych.

- Po co miałyby to robić? - zapytała z przerażeniem Brianna.

- Żeby doprowadzić do nowych konfliktów. Czyżbyście nie wiedzieli, że ten człowiek handluje bronią? Dzięki temu go poznałem.

- Zaraz, zaraz, Brauer sprzedaje ropę - stwierdził powoli Tate Winthrop.

- Tylko dlatego, że zapewnia mu to dostęp do tajnych informacji na temat krajów, w których są jej złoża - odparł Sabon. - Wznecając rozruchy, może z zyskiem sprzedawać broń i nadal cieszyć się powszechnym szacunkiem. Poniósł ostatnio duże straty, gdy nie doszło do spodziewanej wojny. Teraz ma nadzieję je odrobić, prowokując rzekomy zamach stanu i dostarczając broń sąsiadnym rządóm. Od początku to planował, teraz widzę to wyraźnie. A ja naiwnie sądziłem, że on naprawdę chce inwestować w rozwój przemysłu naftowego w moim kraju, że chce wyprać w ten sposób swe pieniądze. - Pokręcił głową z dezaprobatą. -Niestety, był to dla niego tylko środek służący do osiągnięcia zupełnie innego celu.

- Wciąż jednak nie pojmuję, po co porywał pan Briannę - odezwał się Pierce.

Sabon rzucił jej przelotne spojrzenie.

- Kurt wahał się, czy zawrzeć ze mną kontrakt. Wspominając, że zamierzam poślubić Briannę, pobudziłem jego chciwość. Miałby w rodzinie milionera i nie musiałby już nigdy troszczyć się o pieniądze. Chyba dowiedział się jednak, że nie jestem aż tak bogaty. Czymś się pewnie zdradziłem. - Pochylił się do przodu, splatając dłonie na kolanach. - Zakrawa na ironię, że najwięcej zarobiłby w istocie na wydobywaniu ropy. Ale dopiero za parę lat. Może był zbyt niecierpliwy? Handel bronią przynosi dochody znacznie szybciej.

- Dlatego więc teraz cię zdradził? - spytała Brianna.

- Tak, dlatego. Poza tym musiał się chyba zorientować, że blefuję, proponując ci małżeństwo - rzekł, spoglądając na nią z wymownym uśmiechem.

- Jak to? - zdziwił się Pierce, gniewnie marszcząc brwi.

Sabon dostrzegł jego wrogie spojrzenie i odparł lakonicznie:

- Nie mogę się ożenić. Ani teraz, ani w przyszłości. - Wstał z miejsca, rozprostowując ramiona, po czym rozejrzał się wokół z rezygnacją. - Że też musiało się to wszystko tak skończyć. Miałem nadzieję pomóc mojemu narodowi, a tymczasem...

- Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów nie wystarczy, żeby wznieść kontrrewolucję - przerwał mu Pierce.

Sabon odwrócił się do niego.

- Wystarczy - powiedział z przekonaniem. - Ci najemnicy są brutalni i bezwzględni, ale przegraliby z ludźmi, których możemy wynająć za granicą.

- Co to za jedni?

- Chyba się pan domyśla.

Pierce skrzywił się z niesmakiem, napotykalając jego lodowate spojrzenie.

- Nie. Nie chcę brać udziału w masakrze.

- Ani ja - stwierdził Sabon. - Ale już do niej doszło. Znalazłem w ogrodzie straszliwie okaleczone zwłoki mojej służącej Miriam. Pracowała u mnie przez dziesięć lat... - Zaciął zęby i odwrócił wzrok, starając się zatrzeć w pamięci koszmarne wspomnienie. - Odzyskam swój kraj - rzekł kategorycznie. - I dopilnuję, żeby Brauer drogo zapłacił za popełnioną zradę. - Spojrzał na Pierce'a. - Proszę tylko mi pomóc. Pierce rozłożył bezradnie ręce.

- To niewiarygodne - odetchnął ciężko, najwyraźniej równie wyczerpany, co zdumiony tą rozmową. - Nie przypuszczałem, że dożyję dnia, gdy będę musiał stanąć po stronie mego najgorszego wroga.

- Nigdy nie byłem pańskim wrogiem - poprawił go Sabon. - Ostrzegłbym pana, gdybym wiedział o ataku na pańską platformę. Uważałem Kurta za bogatego zagranicznego inwestora, który ma kontakty w przemyśle naftowym. Nie jestem chyba szczególnie naiwny, ale może w pewnych sprawach brakuje mi doświadczenia. Muszę nauczyć się trafniej oceniać ludzi.

- Kurt oszukał wiele osób - oznajmiła cicho Brianna. - W tym także moją biedną matkę.

- Na szczęście nie będzie miał teraz dla niej zbyt wiele czasu. Ale kiedy skończy się to całe zamieszanie, może jej grozić poważne niebezpieczeństwo, jeśli ona orientuje się choć trochę w jego interesach. Kurt zechce się pozbyć niewygodnych świadków. Łatwo jest zaaranżować jakiś wypadek albo...

- O Boże! - szepnęła Brianna.

- Spokojnie, nie wpadaj w panikę - wtrącił się Pierce. - Zapewnimy jej ochronę.

- Tak, gdy tylko się stąd wydostaniemy, powiadomię mojego agenta we Freeport - oznajmił Tate uspokajającym tonem. - Wywiezie twoją matkę i jej dziecko z Nassau, zanim Kurt wróci do domu.

- Cisza! - syknął nagle Pierce. - Chyba na zewnątrz coś się dzieje.

Rzeczywiście, w oddali usłyszeli dźwięk syren, które z każdą sekundą rozbrzmiewały coraz głośniejsze.

- Może to okręty wojskowe? - szepnęła Brianna. - Może to Amerykanie?

- W Zatoce Perskiej? - zdziwił się Sabon, unosząc brwi. - Mogą czuć się panami w tym regionie, ale zapewniam cię, że jeszcze tu nie rządzą.

- To w najgorszym razie patrol straży portowej - mruknął Tate, wyglądając przez iluminator. Chwilę później odetchnął z ulgą. - Zatrzymali jakiś inny statek. My wypłynęliśmy już prawie z portu.

Była to krzepiąca wiadomość. Gdyby zostali teraz zdemaskowani, kapitan musiałby ich zapewne wydać władzom. Oznaczałoby to niemal pewną śmierć z rąk najemników.

Pierce i Tate wymienili nerwowe spojrzenia. Wciąż byli tak daleko od domu. Mieli swoje kontakty i odzyskany nieoczekiwanie portfel Pierce'a, ale gdyby skorzystali z kart kredytowych, ludzie Brauera wpadliby natychmiast na ich ślad. Nawet lądując w Miami, musieliby wywieść w pole czekających tam z pewnością przeciwników. Nie wiedzieli nawet jeszcze, jak wydostaną się z St. Martin. Jeśli ich śledzono, co było wysoce prawdopodobne, mogli mieć problemy z dostaniem się na pokład kolejnego frachtowca, który płynął na zachód.

Sabon przyglądał im się z namysłem, jakby próbował odgadnąć ich plany, wreszcie odezwał się, kręcąc głową:

- Cieszę się, panowie, że ten statek nie płynie do Miami. W przeciwnym razie wyniesiono by was na brzeg w plastikowych workach.

Trzy pary oczu zwróciły się z niemym pytaniem w jego kierunku.

- Zamierzaliśmy przesiąść się na inny statek - wyjaśnił po chwili Tate. - Tym możemy dopłynąć tylko do St. Martin. A w Miami mam swojego człowieka.

- Brauer już na pewno wie, kto to jest - uśmiechnął się Sabon. - Jego agenci nie tracą czasu. Widzi pan, jak wyszedłem na tym, że ich nie doceniałem? Ma pan pióro i kawałek papieru? - zapytał nieoczekiwanie.

- Chce pan napisać list do domu? - mruknął Pierce, podał mu jednak to, o co prosił, Sabon zanotował na kartce jakieś nazwisko i adres, dodał kilka słów po arabsku i podpisawszy się, opieczętował list pierścieniem, który nosił na małym palcu. Potem wręczył go razem z piórem Pierce'owi.

- To może być równie dobrze wyrok śmierci na nas wszystkich - stwierdził ten, patrząc nieufnie na kartkę. - Nie znam arabskiego.

- Ale, o ile się nie mylę, pan Tate potrafi to przeczytać.

- Umiesz? - zapytał Pierce szefa ochrony.

Tate rzucił okiem na papier i oddał go Pierce'owi, po czym spojrział z podziwem na Sabona. Wydawał się zaskoczony.

- List zawiera nazwę statku oraz polecenie, żeby udzielić jego oddawcy wszelkiej możliwej pomocy - oznajmił, nie dodając, co jeszcze tam wyczytał.

Sabon skinął głową i zapytał Tate'a o coś po arabsku. Tate odpowiedział płynnie w tym samym języku.

- Co to za tajemnice? - przerwał im szorstko Pierce.

- Nic ważnego - zapewnił go Tate.

Nie powiedział nic więcej. Wkrótce zapadła noc i wszyscy czworo usnęli.

- Przed nami St. Martin - oznajmił Sabon, przyglądając się przez okienko wyspie, do której dopływali. - Oto cel mojej podróży. - Założył na głowę kaptur i popatrzył na swoich towarzyszy. - My, Maurowie, mieliśmy kiedyś ściśle związki z Hiszpanią. Człowiek, którego nazwisko wam zapisałem, to Hiszpan, ale jego babka mieszka w moim kraju. Zrobi dla was, co tylko będzie mógł, bo jest mi winien pewną przysługę. Możecie mu zaufać. Ale nie ufajcie nikomu innemu. Od tego może zależeć wasze życie.

- Dlaczego właściwie pan nam pomaga? - spytał Pierce.

- Proszę zapytać pana Tate'a - odparł spokojnie Sabon, patrząc mu prosto w oczy. - A teraz żegnajcie. Ja zostanę tutaj przez trzy dni, pod przybranym nazwiskiem. Jeżeli zechce mi pan przesłać pieniądze, proszę napisać na przekazie: *senior* Alfredo Cantada, Gardell Bank.

- Bóg raczy wiedzieć, czemu daję się w to wciągnąć - westchnął Pierce. - Ale może pan na mnie liczyć. Nie składam obietnic bez pokrycia.

- Wystawimy panu pomnik jako naszemu dobroczyńcy.

Pierce przez chwilę milczał.

- Brauer może wpaść na pana trop, jeśli zostanie pan tu tyle czasu.

- Jego ludzie mnie nie rozpoznają - odparł Sabon.

- Mam tu kontakty, z których nie korzystałem od lat. Jestem bezpieczny.

- A więc powodzenia.

- Wam też życzę szczęścia. I pozdrówcie Muftiego - dodał z tajemniczym uśmiechem.

- Starał się mnie unikać, odkąd wszedłem na pokład. Przekażcie mu, że wiedziałem cały czas, kim jest, ale nikomu tego nie zdradziłem, bo i on zachował mój sekret. Kiedy odzyskam władzę, jego rodziny nie spotkają żadne represje. - Obdarzył na koniec powłóczyстым spojrzeniem Briannę i wyjaśnił: - To także z uwagi na ciebie. Ratując ciebie, ocalił wszystkich swoich krewnych.

Brianna była niezwykle poruszona tym wszystkim. Z całej duszy współczuła temu niezwykłemu człowiekowi, a nawet miała wyrzuty sumienia, że tak niesprawiedliwie go oceniała.

- Proszę na siebie uważać, *Monsieur* Sabon - powiedziała życzliwie. - Powodzenia!

- *Bon chance, chérie* - odparł łagodnym tonem, patrząc jej głęboko w oczy. - Będę za tobą tęsknił do końca życia.

Po tych słowach dorzucił jeszcze coś po arabsku, po czym odwrócił się i nie spoglądając już za siebie, wyszedł pośpiesznie na pokład.

- Co on do ciebie powiedział, gdy wzięłeś od niego ten list? - zapytał Tate'a Pierce, gdy zostali sami.

- Że nas nie zdradzi. Intrygujący gość, no nie?

- Jak cholera.

- A co miały znaczyć te arabskie słowa, które powiedział przed chwilą? - zapytała Brianna.

- Że umiera z miłości do ciebie i skoro cię stracił, nie pokocha już innej kobiety.

- Idiota! - mruknął Pierce, tłumiąc śmiech.

Za to Tate Winthrop spojrział Briannie w oczy, wcale się nie uśmiechając. Uniosła pytająco brwi, lecz on nie odezwał się już ani słowem. Odwróciwszy się do Pierce'a, wyrztał przez iluminator, obserwując, jak Sabon znika w tłumie, a potem stwierdził z westchnieniem:

- Lepiej się pospieszmy. Mamy niewiele czasu, żeby dostać się na następny statek.

- Oby to nie była pułapka - odparł Pierce.

- Ja w każdym razie wiem, co robię - oznajmił tajemniczo Tate. - No, przebierajmy się szybko!

Wszyscy troje zdjęli arabskie szaty i ukryli je w ładowni pod workami zboża. Jeszcze przed wyruszeniem w podróż założyli europejską odzież, więc wciąż mieli ją na sobie. Mufti był w turbanie, ale pożyczył od jednego z marynarzy koszulkę i zgolił brodę, dzięki czemu mógł uchodzić za Amerykanina.

Jedwabne spodnie Brianny straszliwie się wygniotły, podobnie jak jej bluzka i żakiet. Włosy miała w potwornym nieładzie i marzyła o kąpieli. Ale najbardziej martwiła się o to, czy dotrą bezpiecznie do wybrzeży Ameryki. Mimo pomocy Sabona nadal byli przecież narażeni na duże ryzyko.

- Nie mamy nawet broni - westchnęła. Pierce spojrział na nią zaskoczony.

- Co ci przyszło do głowy?

- Może będziemy musieli torować sobie drogę? Ćwiczyłam trochę karate.

Pierce wskazał na Tate'a.

- On ma czarny pas tae-kwon-do. Dziesiąty stopień.

Gwizdnęła z podziwu.

- Nieźle, panie Winthrop. Wolałabym mieć jednak coś przy sobie. Szkoda, że nie ma pan zapasowego pistoletu.

- Potrafisz strzelać? - zdziwił się ochroniarz.

- No pewnie! Na strzelnicy z laserową bronią... - zaczęła tłumaczyć, lecz Tate przerwał jej szybko i powiedział:

- Ci ludzie odpowiadają prawdziwym ogniem, nie używają ślepych naboí. Lepiej nie próbuj nas wyřęcać.

Brianna chciała jeszcze wspomnieć, że ćwiczyla też judo, postanowiła to jednak przemilczeć. I tak czuła się podczas tej podróży jak piąte koło u wozu.

ROZDZIAŁ 12

Wszyscy czworo zeszli na ląd w swych europejskich strojach, niknąc bez problemu w tłumie turystów. Z łatwością znaleźli wskazany statek - był to kolejny frachtowiec, równie stary, choć nowocześniejszy i czystszy niż ten, który właśnie opuścili. Pływał pod hiszpańską banderą. Krępy kapitan, przeczytawszy list Sabona, najpierw przyjrzał się uważnie Briannie, potem zaś zaprosił ich na pokład, nie zadając żadnych pytań.

Weszli do kajuty i statek odbił natychmiast od przystani.

- Co będzie z odprawą celną w Miami? - zapytała z niepokojem Brianna. - Ludzie Kurta mogą tam na nas czekać.

- Spokojnie. To nie jest sensacyjny film - odparł Pierce. - Małe rybki umykają z sieci. Nie przekroczymy granicy z paszportami i walizkami.

- Jak to?

- Jeśli dotrzemy do Stanów legalną drogą - wyjaśnił - ludzie Brauera wykończą nas, zanim wsiądziemy do samochodu. Musimy dostać się tam w inny sposób.

- To znaczy nielegalnie - jęknęła Brianna. - A jak trafimy do więzienia?

- Lepiej do więzienia niż na cmentarz.

- No tak - Brianna w jednej chwili wyzbyła się skrupułów. - Jak to zrobimy?

- Nie popłyniemy do Miami - oznajmił Tate. - Kapitan bierze kurs na Savannah. Pozwolił mi skorzystać ze swojego radia i skontaktować się z moimi ludźmi w Stanach. Zejdziemy na ląd w miejscu, gdzie nikt się nas nie spodziewa. Zobaczysz, spodoba ci się tam. W pobliżu portu jest fabryka słodczy, w której produkują najlepsze na świecie pralinki.

- I uda nam się je kupić, zanim nas zastrzelą?

- Zobaczymy.

Pierce zmarszczył brwi.

- Mam nadzieję, że kapitanowi można ufać.

- W stu procentach - odparł z przekonaniem Tate.

- Skąd ta pewność?

- Nieważne. Niech mi pan wierzy na słowo. Jakiś czas milczeli wszyscy troje, wreszcie Brianna zapytała cicho, patrząc na oddalający się ląd:

- Pierce, naprawdę masz zamiar przesłać Sabonowi pieniądze, o które cię prosił?

- Tak, choć sam nie wiem dlaczego.

- On nie jest złym człowiekiem. Pragnie tylko zapewnić swemu narodowi lepszą przyszłość.

- Powinien o to zadbać szejk, który rządzi Kwawi - mruknął Pierce. - A skoro już o nim mowa, to zamiast uciekać za granicę z ochroniarzem i całym harem, mógłby bronić kraju, jak przystało na przywódcę.

- Właśnie to robi - stwierdził tajemniczo Tate, po czym zaraz odwrócił wzrok.

- Skąd wiesz? - Pierce zwrócił się w jego stronę.

- Przyjrzał się pan uważnie podpisowi na kartce, którą wręczył nam Sabon?

Zdumiony Pierce ponownie rzucił na nią okiem, Brianna zajrzała mu ciekawie przez ramię. Podpis był nieczytelny, obok podpisu widniał wytłoczony na papierze znak.

- Zauważył pan pierścień, który Sabon nosi na małym palcu? - podpowiedział Tate.

- Nie.

- To oficjalna pieczęć. Widziałem, jak ją odciskał. Przedstawia herb szejka Tatluka.

- I co z tego? - zapytał Pierce, coraz bardziej zdeorientowany i zaskoczony.

- Jak pan myśli, kim naprawdę jest Philippe Sabon?

- Chyba nie samym szejkiem! Tate zaśmiał się pod nosem.

- Niezupełnie, chociaż kiedyś zapewne nim będzie. Rządzący szejk, starszek o słabym zdrowiu, to jego ojciec. Ale to Philippe w istocie sprawuje władzę. Uczynił to, czego ojciec sam nie mógł zrobić: udając bogatego biznesmena, próbował przyciągnąć inwestorów, aby ci rozpoczęli eksploatację nietkniętych jeszcze złóż ropy i nie dopuścili do bankructwa kraju.

- Dlaczego musiał się maskować? - zapytała zdumiona Brianna.

- Gdyby został porwany, jego kraj zbankrutowałby jeszcze szybciej, płacąc za niego okup. - Tate uśmiechnął się smętnie. - Genialny plan, prawda? I niemal udało mu się go zrealizować.

- Nic dziwnego, że miał takie wpływy w rządzie - stwierdził Pierce. - Przecież to on był u władzy!

- I nadal jest - dodał Tate. - Oddział żołnierzy, których wysłał za granicę, to służący mu gwardziści, elitarna jednostka sił zbrojnych jego ojca. Nie ustępują komandosom z brytyjskich sił specjalnych. Zaangażują najemników, aby ci pomogli im pokonać Brauera.

- O ile nie dotrzemy na czas do Waszyngtonu, Amerykanie mogą zetrzeć ich z powierzchni ziemi w przekonaniu, że zapobiegają wybuchowi trzeciej wojny światowej - stwierdził ponuro Pierce. - Możesz przekazać wiadomość do Stanów?

- Mogę. - Tate skinął głową. - Tylko kto nam uwierzy, póki nie przedstawimy dowodów? Musimy dotrzeć z Muftim do jakiegoś wysokiego urzędnika w Departamencie Stanu, wyłożyć mu całą sprawę i czekać, aż zweryfikuje nasze zeznania. Ostrzegam, dyplomaci działają opieszale.

- Właśnie! Gdzie jest Mufti? - zapytała z niepokojem Brianna, uświadomiwszy sobie nagle, że nie widzieli go, odkąd weszli na pokład.

- Gra na dole w pokera - odparł z rozbawieniem Tate. - Ma do przegrania tylko zapalki, ale gdybyśmy pojechali z nim do Las Vegas, z pewnością rozbiłby bank w kasynie. Chłopak ma wrodzony talent.

Słyszac o Las Vegas, Brianna poczuła się nieswojo. Na wszelki wypadek odwróciła wzrok od Pierce'a, spojrzała za to ze smutkiem na złotą obrączkę, którą właśnie w Vegas jej kupił. Gdyby Pierce choć trochę ją kochał...

Podeszła do iluminatora, aby spojrzeć w morze, a wówczas Tate oznajmił, że pójdzie sprawdzić, czy Mufti nie zastawił w grze własnej duszy, i zostawił ją sam na sam z Pierce'em.

Ten podszedł do niej i stanął za jej plecami.

- Trudno będzie zapomnieć te dni - zauważył z westchnieniem.

- Tak - przyznała. - Choć chciałabym, żeby już było po wszystkim. - Nie mówiła prawdy. Wolałaby codziennie narażać się na niebezpieczeństwo w towarzystwie Pierce'a, niż żyć spokojnie bez niego.

- Przepraszam za tamtą noc - odezwał się znowu, z pewnym wahaniem. - Nie chciałem, żeby tak się stało.

Wzruszyła ramionami.

- Nie ma sprawy. Dostałam w końcu to, czego pragnęłam.

Chwycił ją za ramię i odwrócił gwałtownie do siebie.

- Nie mów o tym tak lekceważąco! Spojrzała mu spokojnie w oczy.

- Więc powiedz, że myślałeś wtedy o mnie, a nie o Margo.

Mimo łoskotu silników słyszała jego ciężki oddech. Wpatrywał się w nią tak intensywnie, że spuściła wzrok.

- Boże, przepraszam! - mruknęła zmieszana. - Tak mi przykro. Oboje jednak wiemy, że taka jest prawda...

- Co znowu za prawda? - warknął, coraz bardziej zirytowany.

- Prawdą jest to, że zastępuję ci tylko inną kobietę. Jestem zbyt młoda, niedoświadczona, za bardzo się angażuję... - Milczał, więc popatrzyła na niego z rezygnacją. - Potraktujmy to jako przygodę, Pierce - dodała obojętnie. - Wiesz? Z niecierpliwością myślę o

studiach. Chciałabym dostać się na Sorbonę i znów zamieszkać w Paryżu, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Jak sobie życzysz - odparł, wkładając ręce w kieszenie i wpatrując się twardym wzrokiem w morze.

- Po powrocie do kraju dyskretnie się rozwiedziemy.

- Tak, polecimy do Las Vegas. Można to tam załatwić w ciągu dwudziestu czterech godzin. Dopełnię wszystkich formalności i dam ci znać, kiedy znajdę wolną chwilę.

- Więc nie zrobimy tego od razu?

- Nie. Będę teraz dużo podróżował.

Skuliła się, gdyż przeszedł ją nagle dreszcz. Pomyślała, że byłoby może lepiej, gdyby owego wieczoru w paryskim bistro zostawiła Pierce'a na pastwę czyhającej na mężczyzn damy. Jej biedne serce nie znajdowałoby się teraz w tak oplakany stan.

Pierce miał podobne myśli, choć nie był pewien, czy gdyby mógł cofnąć czas i ułożyć na nowo scenariusz swego życia, wybrałby taki jego wariant, w którym nigdy nie pojawia się dziesiętnastoletnia wówczas Brianna Martin.

Spojrzał w milczeniu na jej jasne włosy i drobne stopy. Och, Brianno, jesteś taka urocza i słodka. W łóżku zadowolilibyś każdego mężczyznę. Kochasz mnie. A ja odrzucam twoją miłość, wmawiając sobie, że Margo naprawdę nie umarła, że odeszła tylko na chwilę i wkrótce wróci.

Przeraziły go własne myśli. Czy naprawdę w to wierzył? Czy chciał zostać sam do końca życia, nie mogąc pogodzić się z utratą żony?

Znów popatrzył na Briannę, odwróconą teraz do niego profilem. Wielu mężczyzn błagałoby ją na kolanach, żeby zechciała ich kochać. Ta dziewczyna miała klasę, oryginalną, świeżą urodę, wielkie serce. Kiedy pójdzie na studia, jakiś bystry, energiczny chłopak odkryje jej zalety i potraktuje ją lepiej niż on. Otoczy dziewczynę czułą opieką, będzie jej przynosił kwiaty i słodycze, będzie dzwonił od niej wieczorami, zapraszał na obiady i kolacje. Może takie do opery, do teatru, na koncerty...

Westchnął boleśnie, zdjęty zazdrością i wyrzutami sumienia. Brianna zasługiwała na uwielbienie. Była niezwykłą osobą. Niezwykłą kobietą, poprawił się w myślach. Poczł szybsze bicie serca, przypominając sobie ich pierwsze zbliżenie. Miała skórę delikatną jak płatek róży w promieniach słońca. Drżała, gdy ją dotykał. I nigdy go nie zwodziła. Przyjmowała z radością wszystkie jego pieszczoty, a on od początku zamierzał ją opuścić, nie mogąc pogodzić się z bolesnym faktem, że Margo nie żyje, że pozostał sam.

Wyczuła chyba jego udękę, bowiem odwróciła się nagle ku niemu i obdarzyła go łagodnym, pełnym miłości - a może raczej miłosierdzia? - spojrzeniem swych niezwykle zielonych oczu.

Pierce przypomniał sobie nagle słowa Sabona. Słowa, których nie zrozumiał nikt poza Tate'em, a w których Sabon zapewniał Briannę o swojej wiecznej miłości. Dlaczego ten człowiek zadał sobie tyle trudu, żeby ją ratować? Co otrzymał w zamian?

Ogarnęła go pałaca zazdrość, toteż poczerwieniał na twarzy i zapytał, nie panując nad swoimi uczuciami:

- Co robiłaś z Sabonem?

- Słucham? - zdziwiła się jego ostrym tonem.

- Czemu tak bardzo stara ci się pomóc? - Zmrużył oczy. - Co mu dałaś, Brianno? Powiedz, co między wami było?

- Nic - odparła zdumiona.

- Nie wmówisz mi tego!

Brianna zawahała się. W pierwszym odruchu chciała się bronić, zaprzeczać, tłumaczyć, zaraz jednak uświadomiła sobie, że przecież nie może powiedzieć Pierce'owi prawdy. Byłoby to okrutne, niedelikatne, niesprawiedliwe. Gdyby prawda o Sabonie wyszła na jaw, stałby się on pośmiewiskiem, zaczęłby wzbudzać litość w świecie, gdzie miarę męskości stanowiła potencja, A przecież Pierce mógł kiedyś komuś o tym wspomnieć.

Spojrzała odważnie w jego gniewne oczy i odparta:

- Myśl sobie, co chcesz. Jeśli sądzisz, że jestem w stanie frymarzyć własnym ciałem, to wcale mnie nie znasz!

- Mężczyzna zrobiłby wszystko, żeby osiąść tak ponętą kobietę. - Głos Pierce'a był zmysłowy, zabrzmiał w nim jednak również obraźliwy ton. - Odstąpiłby nawet od swoich zasad. Każdy, bez wyjątku!

- Niskie masz zdanie o mężczyznach.

- A ty bardzo wysokie o jednym z nich!

- Tak! - wykrzyknęła oburzona. - Philippe był przynajmniej szczery. I nie myślał o innej kobiecie w mojej obecności, a już na pewno nie wymawiał jej imienia!

Pierce zbladł. Zaciśnął ręce w kieszeniach, pałając żądzą zemsty. Nie da Sabonowi ani centa na sfinansowanie kontrrewolucji! Prędzej go zabije!

Tylko że Brianna, niestety, miała rację.

Westchnął ciężko. Ona też westchnęła, uświadomiwszy sobie chyba, że broniąc Sabona przed Pierce'em, wyświadczyła temu pierwszemu niedźwiedzią przysługę.

Złożyła ręce na piersiach.

- Chciał, żebym mu uległa, ale nie mogłam - skłamała bez mrugnięcia okiem.

- Dlaczego odmówiłaś?

- Bo jestem mężatką. Nawet jeśli nie uważasz się za mojego męża, nie zamierzam iść do łóżka z żadnym innym mężczyzną, dopóki łączy nas małżeństwo.

Pierce wiedział, że Brianna mówi prawdę. Poczł wstyd z powodu swoich podejrzeń. Cholera jasna, nigdy dotąd nie był tak zazdrosny!

- W porządku - burknął, poirytowany swym zachowaniem. - Przepraszam.

- Nie twoja wina, że tak to odbierasz. Jestem wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, zwłaszcza że cała ta gra była chyba niepotrzebna. Philippe chciał sprowadzić mnie na wyspę jedynie po to, aby Kurt myślał, że naprawdę zaproponuje mi małżeństwo.

- Nieważne, czy była potrzebna, czy nie - zachnął się Pierce. - Wiesz przecież, że mam dla ciebie... wiele szacunku. Nie rozumiem po prostu, dlaczego zaczęłaś nagle uważać, że Sabon kieruje się szlachetnymi pobudkami, skoro jeszcze niedawno miałaś go za oprawcę.

- Bo zdążyliśmy trochę porozmawiać - odparła szczerze. - Opowiadali mi też o nim jego ludzie. Od początku interesował się mną tylko po to, by skłonić Kurta do zainwestowania w złoża ropy. Kurt wystawił mnie na przynętę, licząc, że wychodząc za Philippe'a, zapewnię mu finansowe bezpieczeństwo. Głupio musiał się poczuć, kiedy odkrył, że to wszystko było farsą, że Sabon nie jest multimilionerem i że wykorzystał go jedynie, żeby znaleźć dojście do konsorcjum naftowego i zdobyć fundusze na wydobycie ropy. - Pokręciła głową. - Ale Kurt jest mściwy - dodała cicho. - Zabije Philippe'a, kiedy tylko nadarzy się okazja. Jeśli wyjdzie na jaw, że opłacił najemników, będzie miał przeciw sobie całą wspólnotę międzynarodową. Nie może pozostawiać przy życiu żadnych świadków.

- Masz całkowitą rację - przyznał Pierce. - I wiedz, że pomogę Sabonowi, jak tylko będę mógł - dodał niechętnie. - Nie dlatego, że darzę go sympatią. Po prostu nie chcę, żeby Brauerowi uszło to wszystko na sucho.

- Ja także. - Odwróciła się, patrząc mu spokojnie w oczy. - Posłuchaj, Pierce, i uwierz mi: Philippe jest zupełnie inny niż się wydaje. Mimo całej swej władzy i bogactwa posiada bardzo niewiele. To w gruncie rzeczy bardzo nieszczęśliwy człowiek.

- Nieszczęśliwy? A to czemu?

- Nie mogę ci powiedzieć. - Usiadła na skrzyni kilka kroków dalej. - Kiedy dopłyniemy do Savannah?

- zapytała, by zmienić temat.

- Nie wiem dokładnie.

- Boże, jestem taka zmęczona.

- To zdrzemnij się trochę. A ja pójde poszukać Tate'a i Muftiego.

Brianna rozejrzała się wokół niepewnie. W pobliżu leżały jakieś stare worki, położyła się więc na nich, podkładając rękę pod policzek. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo jest wyczerpana i senna.

- Nie znajdą nas, prawda? - zapytała jeszcze, zanim zamknęła powieki.

- Na pewno nie - odparł z przekonaniem Pierce, a wówczas uśmiechnęła się, uspokojona, i zapadła w sen.

Gdy frachtowiec wpływał do portu w Savannah, przed czwórką pasażerów w ładowni stanęli nagle trzej ubrani na czarno mężczyźni. Najwyższy z nich przebiegł wzrokiem napięte twarze uciekinierów, po czym spojrzał znacząco na Tate'a.

- Amerykańska służba celna - rzucił szorstko, błyskając im przed oczami legitymacją.

- Proszę pójść z nami.

Po chwili wyprowadzono ich na pokład. Brianna chwyciła Pierce'a za rękę, przerażona i niepewna swego losu. Wyobraziła sobie długi proces, podczas którego będą próbowali bezskutecznie oczyścić się z zarzutów, a potem długoletni pobyt w więzieniu. Nie znosiła zamkniętych miejsc, nie chciała trafić za kraty.

A jednak trafi tam. Nigdy nie pójdzie na studia. Nie będzie żoną i matką.

W budynku kontroli celnej trafili pod opiekę kolejnych funkcjonariuszy, którzy wysłuchali lakonicznych wyjaśnień wysokiego mężczyzny, który ich tu doprowadził. Funkcjonariusze mieli najwyraźniej jakieś zastrzeżenia, lecz po krótkiej wymianie zdań oraz kilku telefonach do ważnych osób i Brianna, i jej towarzysze wyszli na zalane słońcem ulice miasta Savannah, z jego pięknymi placami, dorodnymi dębami i tajemniczymi ogrodami. Wciąż pod ścisłą eskortą, przeszli wzdłuż ściany budynku do dwóch czekających na nich czarnych limuzyn i zajęli miejsca na tylnej kanapie.

Wysoki mężczyzna usiadł z przodu, kiedy zaś limuzyna ruszyła, opuścił szybę dzielącą kabinę pasażerską i pochylił się nad miękkim skórzanym fotelem.

- Omal nie musiałem znokautować tego celnika - mruknął w stronę Tate'a. - Nie mogliście polecieć do Miami?

- Czekali tam na nas - odparł Tate. Wyciągnął rękę, a wtedy wysoki podał mu pistolet maszynowy. Tate wsunął broń pod marynarkę, spojrzał na zaskoczonych towarzyszy i uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Tak będzie bezpieczniej - bąknął. - Pozwólcie, przyjaciele, to jest Marlboro - przedstawił nieznanego. - Pracuje dla mnie od lat - dodał. - Dwaj pozostali także.

- Nie jesteście celnikami? - zdumiała się Brianna.

- Nie. Ale byliśmy kiedyś urzędnikami państwowymi - dodał szybko Marlboro. - Powiedziałbym wam, co robiłem, ale później musiałbym...

- Nas zastrzelić - dokończyła z westchnieniem Brianna. - Tak, wiemy. Czy wszyscy byli agenci to mówią?

- Wszyscy - mruknął Tate. - I niektórzy naprawdę dotrzymują słowa.

- Nie wierzę - odparła zawadiacko Brianna.

- Panienko - wysoki mężczyzna popatrzył na nią z wymownym grymasem na twarzy - ja tak bardzo nie lubię strzelać do kobiet.

Brianna zaniemówiła z wrażenia, tymczasem Tate poczuł się w obowiązku wytłumaczyć zachowanie partnera:.

- Zdarzyło się raz - zaczął - że Marlboro miał do czynienia z pewną kobietą, która okazała się facetem z ładunkiem wybuchowym ukrytym w jej... a raczej w jego... Zresztą nieważne - burknął i machnął zniechęcony ręką. - W każdym razie chodziło o kwestię bezpieczeństwa narodowego, a „ona” pierwsza wyciągnęła broń.

- Dokąd teraz jedziemy? - zapytał Pierce, ucinając tym samym te wyjaśnienia.

- Prosto do Waszyngtonu - odparł Tate. - Ale zahaczmy po drodze o pewne prywatne lotnisko.

Niedługo potem samochód skręcił w polną drogę i zatrzymał się na opuszczonym pasie startowym w pobliżu niewielkiego odrzutowca.

- Rozumiem, że tutaj też znasz kogoś, kto jest ci winien przysługę - mruknął Pierce, gdy znaleźli się na pokładzie.

- Owszem - odparł Tate z tajemniczym uśmiechem. - To pilot tej maszyny.

- Zawsze wiedziałem, że zatrudniając cię, zrobiłem najlepszy w życiu interes.

- Cieszę się, że pan mnie docenia, szefie. Pozwoli pan, że usiądę z przodu?

Pierce skinął głową, a potem zajął swoje miejsce. Brianna usiadła między dwoma ochroniarzami pod tą samą ścianą, a milczący i zdumiony Mufti z drugiej strony.

- Jesteś mężatką? - zapytał Briannę wyższy z ochroniarzy.

- Owszem - odparł za nią Pierce.

- Cholera, najlepsze dziewczyny zawsze są już zajęte - stwierdził rozczarowany ochroniarz. - Twój mąż ucieszy się pewnie, że wracasz cała i zdrowa?

- Jej mąż siedzi tutaj - oznajmił Pierce uprzejmym tonem, spoglądając groźnie na mężczyznę, który natychmiast podniósł się i usiadł z dala od Brianny. -Przepraszam, panie Hutton - dodał skruszony.

- Nie ma za co - odparł Pierce, lecz nie przesiadł się na zwolnione miejsce obok żony, jak tego się spodziewała, tylko oparł wygodniej plecy o ścianę i zamknął oczy.

Brianna popatrzyła na niego z niechęcią. Też mi mąż, pomyślała ze złością. Jak pies ogrodnika. Zacisnęła powieki, żeby go nie widzieć.

Samolot nie wylądował w Waszyngtonie, lecz w prywatnej posiadłości w stanie Wirginia. Brianna dowiedziała się później, że właścicielem owej posiadłości jest pewien tajemniczy człowiek, zajmujący się działalnością szpiegowską. On też miał podobno wobec Tate'a dług wdzięczności.

Obok samolotu czekał na nich samochód oraz trzech uzbrojonych w automaty mężczyzn - każdy, oczywiście, w garniturze oraz ciemnych okularach.

- Czy posiadanie broni automatycznej jest w tym stanie legalne? - zapytała z niepokojem Brianna.

- Oczywiście, że nie - przyznał Tate z miną niewiniątka.

- Widziałam uzi, które dostał pan w limuzynie. Ich pistolety wyglądają tak samo.

- Zgadza się - przytaknął.

- A więc? - zagadnęła, po czym przyglądała mu się z uwagą, czekając na odpowiedź. Kiedy jednak dojrzała na szczupłej twarzy Tate'a wyłącznie zagadkowy uśmiech, westchnęła i dodała: - Rozumiem, że nic mi pan nie powie?

- Możesz dać sobie spokój - wtrącił się Pierce. - Kiedy Tate tak się uśmiecha, jesteś bez szans. Ostatnio rzadko to robił, ale podczas tej podróży uśmiech nie znika mu z twarzy.

- Cóż, lubię ryzyko - mruknął Winthrop, wruszając ramionami. - Jeszcze kilka dni temu praca przy ochronie szybów była nudna jak cholera, a teraz...

- Teraz na szczęście jesteśmy już w Stanach - dokończył za niego Pierce. - Musimy dotrzeć z Muftim do Departamentu Stanu i opowiedzieć o wszystkim, co wiemy.

- Nie ma problemu - zapewnił go Tate. - Moi ludzie dzwonili już, gdzie trzeba, i przedstawili pokrótce sprawę. Czekają na nas goście z wywiadu. Ruszajmy w drogę.

- Ruszajmy. Aha, ty, Brianno, pojedziesz ze mną - rzucił Pierce, widząc, że dziewczyna zastanawia się, do której limuzyny powinna wsiąść. - Niedługo skończą się nasze przygody. Cieszysz się, prawda?

Brianna nie odpowiedziała. Rzeczywiście, ich przygoda prawie się skończyła, ona jednak wcale nie była pewna, czy jest szczęśliwa z tego powodu. Nie miała pojęcia, co przyniesie przyszłość. Wiedziała tylko, że wkrótce Pierce się z nią rozwiedzie.

Pomyślała przez chwilę o matce i przyrodnim bracie. Miała nadzieję, że Tate dotrzyman obietnicy i wywiezie ich w bezpieczne miejsce, zanim Kurt wróci ze Stanów.

Myślała również o Philippie. Oby udało mu się odzyskać władzę. Może postępował dziwnie, ale naprawdę troszczył się o swój kraj.

Potem zaś siedziała w milczeniu obok Pierce'a i nie myślała już o niczym. Wielka limuzyna pędziła na północ, a ona patrzyła tępym wzrokiem przez okno.

Tak, to koniec przygód.

ROZDZIAŁ 13

Tajemniczy pan Winthrop dobrze umiał zacierać ślady. Dzięki jego kolejnym pomysłom i dzięki pomocy jego przyjaciół, zmierzali szybko w kierunku Waszyngtonu, nie śledzeni i nie niepokojeni przez nikogo. Tak przynajmniej twierdził sam Winthrop, a chyba wiedział, co mówi, bo miał włączony cały zestaw urządzeń do łączności radiowej i bez przerwy prowadził jakieś rozmowy. Brianna rozumiała teraz, dlaczego Pierce go zatrudnił. Najprawdopodobniej agencja rządowa, do której należeli towarzyszący im ludzie, miała powiązania z CIA. Może nawet pracowali oni bezpośrednio w wywiadzie. W każdym razie wyglądali na opanowanych profesjonalistów, zdolnych do poradzenia sobie w każdej sytuacji.

Jedyną przerwę na odpoczynek zrobili w Charleston. Zatrzymali się obok wzniesionego na piaszczystym terenie niewielkiego różowego budynku z żelaznymi balkonami, który otaczały palmy i tropikalna roślinność.

- Podają tu najlepsze w okolicy owoce morza -oznajmił Tate, gdy wysiedli z samochodu. - Mills, sprawdź, czy wszystko w porządku.

- Tak, proszę pana - odparł jego agent, przystępując niezwłocznie do wykonania rozkazu, a Tate dalej snuł swą opowieść:

- To rodzinny interes - mówił, prowadząc wszystkich po szerokich schodach do wejścia. - Znam właściciela od dobrych paru lat. Był ze mną za oceanem, kiedy... Zresztą, nieważne. Najważniejsze, że to zaufany przyjaciel, pod którego dachem możemy czuć się bezpieczni.

Ku ich zaskoczeniu, właścicielem eleganckiej restauracji serwującej owoce morza okazał się Indianin, prawie tak wysoki jak Tate, o lśniących czarnych oczach i włosach związanych w ogonek. Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i zamienili kilka zdań w języku, którego Brianna nigdy przedtem nie słyszała.

- To Mike Smith - przedstawił swego znajomego Tate. - Zmienił nazwisko kilka lat temu. Prowadzi tę knajpę z żoną i córką. Nawiasem mówiąc, wygrał ją w pokera - dodał zgryźliwie. - Dlatego uważa, że dobrze zainwestował.

- Nie bluźnij, synu - odciął się Smith. - Całkiem dobrze mi się powodzi, a skąd wzięłem forszę, to nie twój interes.

Tate skwitował to śmiechem, po czym zmienił temat.

- Musimy dostać się niepostrzeżenie do Waszyngtonu. Masz jakiś pomysł, Mike?

Jego rozmówca natychmiast spoważniał i zamyślił się na chwilę.

- Nie mam. Ale daj mi dziesięć minut, coś wymyślę. Usiądźcie tymczasem, a ja powiem Maggie, żeby przyniosła wam kartę dań.

- Dzięki - powiedział Tate. - Będę twoim dłużnikiem.

- Już po raz trzeci - przypomniał mu Smith. - Kiedy poproszę o rewanż, radzę ci być w dobrej formie.

- Postaram się!

Owoce morza rzeczywiście okazały się znakomite. Brianna zjadła z apetytem całą niemalą porcję, a kiedy skończyła, zaczęła rozglądać się z zaciekawieniem po okolicy. Spodobało jej się tutaj. Za oknem widziała urokliwe stare miasto, w którego porcie padły pierwsze strzały wojny secesyjnej. Były tu typowe dla Południa dworki, małe kamienice, palmy. Pomyślała, że dałoby się odnaleźć w tym pejzażu elementy charakterystyczne dla architektury Karaibów, a kiedy odważyła się podzielić tą swoją nieco zaskakującą refleksją, Pierce przyznał jej rację.

- Wielu plantatorów z Południowej Karoliny osiadło po wojnie na Karaibach, żeby nie składać przysięgi wierności Unii - wyjaśnił, popijając powoli kawę. - Niektórzy później tu wrócili, więc te wpływy są jak najbardziej uzasadnione. Nawiasem mówiąc, z tych terenów wywodziło się też kilku piratów.

- Tak! Czytałam o tym w szkole! - ożywiła się Brianna.

Jej słowa oraz spontaniczna reakcja przypomniały Pierce'owi, jak bardzo Brianna jeszcze jest młoda. Spojrzał na nią, wciąż dręczony wyrzutami sumienia. Tak, młodzianka i niewinna. Powinna umawiać się z chłopcami w swoim wieku, cieszyć się życiem, zdobywać wiedzę o świecie. A tymczasem wyszła za dużo starszego mężczyznę i musiała ratować się ucieczką, żeby nie wpaść w ręce gangsterów, niewiele lepszych od piratów, o których właśnie wspomniał.

Zauważyła jego przenikliwe spojrzenie i zapytała cicho:

- O czym myślisz?

- O niczym.

- Jak to, o niczym?

- Robię rachunek sumienia - wyznał, mrużąc czarne oczy. - Nie powinienem był wplątywać cię w tę historię.

- Och, sama się w nią wplątałam. A wszystko przez moją matkę. Wiele nas dzieli, ale nie jest mi obojętne, co się stanie z nią i z Nickim. Musi być teraz śmiertelnie przerażona.

- Pytałem o nią Tate'a, kiedy byłaś w toalecie. Jego człowiek wsadził ją razem z dzieckiem we Freeport na statek płynący na Jamajkę. Ten człowiek ma rodzinę w Montego Bay. Ukryje ją tam, dopóki nie minie zagrożenie.

- Dzięki Bogu! - odetchnęła z ulgą Brianna.

- Jak widzisz, Tate jest bardzo zaradny - uśmiechnął się Pierce.

- Tak - odpowiedziała mu uśmiechem. - On... on nie ma żony, prawda?

- Wiedziałem, że o to zapytasz - Pierce roześmiał się cicho. - Nie, nie ma. W Waszyngtonie jest jednak pewna młoda dama, która skoczyłaby za nim w ogień. Co z tego, skoro Tate nie pozwala jej się nawet dotknąć? Posłał ją do szkoły, ciągle nad nią czuwa. Cecily to pewnie jedyna kobieta, którą kocha, ale on sam za Boga nie chce się do tego przyznać. Ich związek ma dla niego wyłącznie platoniczny charakter. Tak przynajmniej twierdzi.

- Biedna dziewczyna - mruknęła Brianna, czując w duchu solidarność z nie znaną jej Cecily.

- Ona jest antropologiem - dodał Pierce. - Robi doktorat na Uniwersytecie Waszyngtona. Współpracuje z FBI.

- To musi być ekscytujące.

- Oglądanie ludzkich szczątków? - Skrzywił się. - Proszą ją często, żeby zidentyfikowała kogoś na podstawie szkieletu, fragmentów kości...

- Lubiłam antropologię - oświadczyła nie zrażona Brianna. - Ale miałam ją tylko przez jeden semestr. Może wrócę do tego na studiach?

- Czemu nie? - odparł Pierce i zaraz spochmurniał.

- Ale tylko jako dodatkowy przedmiot. Bo specjalizację chcę zrobić z finansów - dodała. - Uwielbiam rachunki.

- Ucz się dobrze, to dam ci pracę. Spojrzała na niego z bladym uśmiechem.

- Nie, dziękuję. Chcę pracować jak najdalej od ciebie.

- Niby dlaczego? - zapytał poważnie. Odstawiła filiżankę i otarła usta serwetką.

- Nie udawaj, Pierce - odparła. - Przecież wiem, że tylko tak mówisz.

- A skąd wiesz?

- Odczułam wyraźnie, co do mnie czujesz. Wyprowadzam cię z równowagi, sprawiam same kłopoty, przeze mnie masz wyrzuty sumienia. Trudno. Nie będę zadrezczała się do końca życia, że mnie nie kochasz. Łatwiej to zniosę, trzymając się od ciebie z daleka.

Pierce zacisnął mocno zęby.

- Nie kochasz mnie.

- Kocham - odparła spokojnie i beztrąsko.

- Nie. To była tylko ślepa namiętność, zafascynowanie pierwszym doświadczeniem, nic więcej. Jesteś bardzo młoda, Brianno. Szybko o mnie zapomnisz.

-- Oczywiście - powiedziała, wstając. - Tak jak ty o Margo.

Odwróciła się i poszła do toalety, a on patrzył za nią wzburzony, czując, jak jego serce ściska się z żalu. Gdy zniknęła za drzwiami, Tate usiadł obok niego i oznajmił krótko:

- Mamy pewne komplikacje. Brauer wie, że jesteśmy w Stanach, i wysłał za nami swoich ludzi. Będą tu za parę godzin. Smith twierdzi, że może nas ukryć w łodzi do połowu krewetek. Trochę cuchnie, ale nie będziemy ryzykowali strzelaniny. Chyba że woli pan walczyć?

- Nie będę narażał Brianny - odparł bez namysłu Pierce.

- Tak przypuszczałem. A więc pojedziemy prosto do portu. Smith zawiezie nas tam swoim wozem, a moi ludzie wsiądą do limuzyn i ruszą dalej do Waszyngtonu.

- Mogą ich zaatakować.

- Niech atakują. Chłopcy potrafią się bronić - uspokoił go Tate. - Dwaj z nich to agenci federalni.

- Co takiego?!

- Oczywiście nie mógł pan o tym wiedzieć. - Tate podniósł się z miejsca. - Ale to cały urok zatrudniania Tate'a Winthropa jako ochroniarza. Ciągłe niespodzianki. W każdym razie jeśli ludzie Brauera ich napadną, trafią natychmiast do więzienia.

- Masz łeb na karku, Winthrop.

- To samo powtarzał mój sierżant w Zielonych Beretach. - Tate wyszczerzył zęby w uśmiechu. - A jak tam jedzonko, ujdzie?

Pierce wytarł usta i rzucił na stół lnianą serwetkę.

- Pierwszorzędne.

- Mówiłem panu. Smith potrafi się czasem wykazać.

- Nie narażamy na niebezpieczeństwo jego rodziny? Tate rozejrzał się wokół i szepnął mu na ucho:

- Ta cała „rodzina” to tylko przykrywka. Nie ma tu żadnych krewnych.

- Brauer o tym nie wie.

- Nie szkodzi. Jeśli przyśle tu swoich rewolwerowców, będą mieli się z pyszna. Więcej nic nie powiem. To niespodzianka. No, skoro pan skończył, to bierzmy dziewczynę i ruszajmy. Pogadamy w tej śmierdzącej łajbie.

Pierce jeszcze raz uważnie się rozejrzał. Wszyscy pracujący w restauracji kelnerzy byli wysocy i dobrze zbudowani. Maggie, czyli oficjalnie żona Mike'a Smitha, miała krótko obcięte ciemne włosy, nosiła cienką sportową koszulkę, a jak na kobietę była wyjątkowo wysoka i dobrze umięśniona. Prawdę mówiąc, wyglądała tak, jakby od lat służyła w wojsku. Cóż, miejsce to było równie tajemnicze, jak sam Tate.

Pierce nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać. Podążył za Tate'em do drzwi, w których ukazała się akurat Brianna. Mike załadował ich szybko do półciężarówki i po chwili jechali już w stronę portu. Mężczyźni w garniturach nawet im nie pomachali.

- Bez obrazy, ale mam już dość statków - mruknęła Brianna, gdy znaleźli się w ładowni łodzi używanej do połowu krewetek.

- Muszę przyznać, że ja też - stwierdził Mufti, milczący niemal przez całą podróż. - Wciąż myślę o mojej rodzinie...

- *Monsieur Sabon* nie pozwoli ich skrzywdzić -zapewniła go z przekonaniem.

- Jesteśmy wrogami - zaproponował. - Będzie chciał się zemścić za to, że go szpiegowałem.

- Obiecał mi, że nie.

Mufti wzruszył ramionami.

- Sytuacja i tak jest niepewna. Jeżeli nadlecą amerykańskie bombowce, zginie wielu ludzi. Nawet jeśli nie obarczą mojego kraju odpowiedzialnością za rebelię, ucierpimy na tym, co się stało.

Brianna położyła mu delikatnie dłoń na ramieniu.

- Mufti, wszystko dzieje się zgodnie z przeznaczeniem. Musimy pogodzić się z tym, czego nie możemy zmienić.

- Ciężka sprawa.

- Wiem. Ale zwykle nie mamy wielkiego wyboru. Mufti pokiwał smętnie głową, a Brianna spojrzała w głąb ładowni, gdzie Pierce i Tate szepotali coś między sobą. Zastanowiło ją, dlaczego nie towarzyszy im żaden z ludzi Tate¹ a. Pod okiem ochroniarzy byłiby z pewnością bezpieczniejsi. Ale może jego zdaniem w ten sposób mniej rzucają się w oczy.

Gdy statek wypłynął w morze, Brianna wyszła na pokład, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Dwaj marynarze, naprawiający właśnie wielkie sieci używane do połowu krewetek, przyglądali jej się ukradkiem. Spojrzała na nich z ciekawością, gdyż wcale nie wyglądali na rybaków. Mieli czyste, zadbane ręce, a pod paznokciami ani śladu brudu. Ich buty również wyglądały na nowe. Nosili lekkie, ciemne kurtki, wybrzuszone lekko pod pachą,

a zachowywali się z tą samą charakterystyczną powagą, która cechowała ludzi pokroju Tate'a Winthrope'a.

W tym momencie doznała olśnienia. Nie była to łódź do połowu krewetek, tylko jej atrapa! A członkowie załogi mieli zapewne do czynienia z rybami tylko w restauracji.

W tej samej chwili poczuła na ramieniu mocny uścisk Pierce'a. Sprowadził ją z powrotem do ładowni, mówiąc stanowczo, lecz łagodnie:

- Nie wychodź na pokład. Mogą nas obserwować z brzegu przez lornetkę i przysłać tu śmigłowiec.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- To nie jest łódź do połowu krewetek, prawda?

- Jesteś bardzo spostrzegawcza - odpowiedział enigmatycznie.

- Kim jest Mike Smith?

- Zawodowym żołnierzem, najemnikiem. Ale nie ma nic wspólnego z bezwzględnyimi zabójcami, których wynajął twój ojciec. Smith podejmuje się tylko określonych zadań. Pracował parę razy dla rządu. - Przyłożył palec do ust. - Ale niech to zostanie między nami.

- O rany, sama czuję się jak szpieg - szepnęła mu do ucha, dotykając z przyjemnością wargami jego skóry.

- Naprawdę? - Ujął dłońmi jej twarz i pochyliwszy się, pocałował ją delikatnie w usta.

- To staraj się unikać kłopotów, mój ty prześliczny szpiegu - dodał szeptem.

- Nigdy ich nie szukam, to one znajdują mnie. - Objęła go ramionami, uradowana poufałym tonem, którym do niej przemówił. - Pocałujesz mnie jeszcze?

Westchnął z rezygnacją i uśmiechnąwszy się, znów przyciągnął ją do siebie. Ich długi, namiętny pocałunek zdawał się trwać w nieskończoność, Pierce przerwał go jednak, póki jeszcze panowali nad zmysłami.

- Jutro się z tobą rozwodzę - oznajmił. Spojrzała mu w oczy, mając nadzieję, że tylko żartuje, ale on mówił poważnie.

- Na pewno tego chcesz? - zapytała, zmieniając nagle ton. Nie była już czuła i serdeczna, lecz zimna i kpiąca. - Może byłoby warto, żebym jednak z tobą została? Podobno jestem taka miękka, taka ciepła...

- Tak, to moje słowa - przyznał. - Rozumiem, że w twoich oczach jestem kłamcą, że sam nie wiem, czego chcę. Cóż, masz poniekąd rację.

Milczała, wpatrując się w jego usta, podbródek, gęste włosy.

- Nie chciałbyś mieć dziecka, Pierce? - spytała wreszcie cicho, patrząc mu śmiało w oczy.

Zareagował nadspodziewanie gwałtownie. Odepchnął ją od siebie i wycodził przez zęby:

- Nie chcę o tym słyszeć.
- Dlaczego? - zdziwiła się, zaskoczona jego zachowaniem.
- Nie zadawaj nawet takich pytań.
- Chciałabym jednak wiedzieć - nalegała.

Odwrócił się od niej, pełen bólu i udreki. Przypomniał sobie, jak oczekiwali z Margo dziecka, jak cieszyli się jej ciążą, snuli wspólne marzenia. Przeżyli oboje wstrząs, gdy poroniła, a potem okazało się, że już nigdy nie będzie mogła rodzić. Teraz opowiedział o tym Briannie, krótko, w prostych słowach, nie patrząc jej w oczy.

- Rozumiem - odezwała się, gdy skończył. - Margo poroniła, więc nie chcesz już mieć dziecka z żadną inną kobietą.

Wsunął do kieszeni zaciśnięte pięści.

- Ciężko jest żegnać się z marzeniami. Czy tak trudno to zrozumieć?
- To akurat rozumiem. Ale nie rozumiem, dlaczego musisz się z nimi żegnać.
- Nieważne. Dziecko połączyłoby nas nierozzerwalną więzią - stwierdził kategorycznym, nieustępliwym tonem. - Nie moglibyśmy się później rozwieść.
- Niby dlaczego? Nie sądzisz, że mogłabym sama je wychować?

Odwrócił się do niej powoli.

- Nie chcę mieć z tobą dziecka, Brianno - oświadczył. - Po prostu nie chcę. Zapomnij o tym.

Wiedział, że zadaje jej dotkliwy cios, ale nie mógł pozwolić, by z powodu kobiety czy niemowlęcia znów krwawiło mu serce. Postanowił być nieczuły na wszystko. Umacniał się w przekonaniu, że Brianna nic dla niego nie znaczy. Nie chciał, by cokolwiek ich łączyło, a zwłaszcza dziecko.

- Dobrze, Pierce. Zapamiętam, co powiedziałeś - stwierdziła cicho, po czym westchnęła i zapytała uprzejmie jak gdyby nigdy nic: - Zmierzymy prosto na Kapitol?

- Prawie - odparł, wyrwany z zamyślenia. - Musimy dostać się do budynku Senatu, nie dając się zastrzelić.

- Niezła zabawa.

- Nie martw się. Tate i ci faceci bezpiecznie doprowadzą nas na miejsce.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. - Westchnęła, po czym podeszła do iluminatora i wyjrzała na zewnątrz. Przed sobą widziała tylko szary bezmiar oceanu, ale nawet to było lepsze niż ponura twarz jej męża.

Pierce oczywiście czuł się winny z powodu tego, co powiedział. Ale nie postąpiłby uczciwie, robiąc jej nadzieję, że cokolwiek się zmieni w jego sercu. Musi być tak, jak już postanowili - Brianna pójdzie na studia, on wróci do pracy. Natomiast pojawienie się dziecka... Pojawienie się dziecka wszystko by skomplikowało.

Zmrużywszy oczy, spojrzał na Briannę i wyobraził ją sobie nagle z niemowlęciem u piersi. Pomyślał rozdrażniony, że byłaby idealną matką. Tak, pielęgnowałaby dziecko z czułością, pieściłaby je, kochała. Byłoby ono jej upragnionym maleństwem, darem losu...

Zamknął oczy. Nie mógł sobie pozwolić na takie myśli. Brianna była zbyt młoda, by wiązać się z mężczyzną w ten sposób. Jeszcze raz się jej przyjrzał, a potem wyszedł na pokład, by poszukać Tate'a.

Łódź przybiła do niewielkiej przystani u ujścia rzeki. Na troje pasażerów, którzy pojawili się na pokładzie, oczekiwała już na nabrzeżu czarna limuzyna. Wsiadł z niej szczupły, śniady mężczyzna w garniturze, podszedł do łodzi w towarzystwie dwóch ludzi Winthropa, których poznali jeszcze w Savannah, i odezwał się z uśmiechem:

- Sie masz, Tate!

- Witaj, Lane! - pozdrowił go Winthrop, ściskając mu serdecznie dłoń.

- Miło pana widzieć, szefie - dodał tamten na widok Huttona, lecz Pierce burknął zakłopotany:

- Daruj sobie. Ręka już mnie prawie nie boli. Colby Lane, bo to on był śniadym mężczyzną w garniturze, potarł znacząco szczękę.

- Ja też przyszedłem do siebie. Nie popełnię więcej podobnego błędu.

- Liczę na to - odparł Pierce. - Jak tam? Dotarliście tu bez problemów?

- Niezupełnie. Doszło do małej potyczki na granicy stanu Maryland - oznajmił Colby.

- Dwóch ludzi Brauera trafiło do aresztu.

- Świetnie.

- Pozostali nadal nas śledzą, ale nie są już tacy pewni swego. Myślę, że zdołamy ich zgubić.

- Jeśli się pospieszymy - wtrącił Tate, ponagając swoich towarzyszy. - No, wsiadajcie. Naprawdę nie możemy marudzić.

Mufti skrzywił się, porównawszy swoją koszulkę z eleganckimi garniturami ludzi, którzy go otaczali.

- Nie wyglądam zbyt przekonująco w tym stroju - mruknął zaniepokojony. - Jak oni mi uwierzą?

- Nic się nie martw, przyjacielu - uspokoił go z uśmiechem Tate. - Nikt nie oczekuje, że będziemy ubrani jak na bal. - Pociągnął nosem z odrazą. - Pachniemy też całkiem nieźle. Jak zupa z krewetek.

- I to sprzed paru dni - dodała Brianna.

- Senator Holden bierze właśnie gorącą kąpiel -oznajmił Tate. - Będzie pachniał ładniej niż my, ale na pewno nie będzie tak ładnie ubrany.

- Czy to przyjaciel Brauera?

- Skąd! - Tate pokręcił głową. - To przyzwoity człowiek. Normalnie nie zwracalibyśmy się do niego o pomoc, ale Brauer musiał już chyba przekonać, kogo trzeba, że jesteśmy niebezpiecznymi spiskowcami, więc... -Zawahał się, odwracając wzrok. - W każdym razie Holden to człowiek, którego dobrze znam. Jest cholernie zarozumiały, trudno się z nim rozmawia, ale postępuje uczciwie. Na pewno wysłucha, co mamy do powiedzenia.

Brzmiało to niezbyt zachęcająco, lecz Pierce nie domagał się od swego szefa ochrony dalszych wyjaśnień. Nie było na to czasu.

ROZDZIAŁ 14

Jazda przez Waszyngton miała na długo pozostać w pamięci Brianny. Gdy zmierzali do miasta, pojawiła się za nimi czarna limuzyna, a zaraz potem rozległy się wymierzone w nich strzały. Brianna nie zdawała sobie sprawy, że ich pojazd jest opancerzony i ma kuloodporne szyby, dopóki nie zobaczyła, jak odbijają się od niego pociski.

- Skręć na drugi pas - polecił kierowcy Tate, wyciągając spod marynarki automatyczną broń. Colby uczynił to samo.

- Tylko nie dajcie się zastrzelić - mruknął Pierce, Tate spojrzał na niego z wyrzutem.

- My? Jesteśmy kuloodporni!

Po chwili ich samochód zatrzymał się z piskiem opon i obaj mężczyźni wyskoczyli z niego jak na komendę, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Obserwując z zapartym tchem ich poczynania zza przyciemnionych szyb limuzyny, Brianna pomyślała, że przypomina to bardziej sensacyjny film niż prawdziwą strzelaninę w środku miasta. Mężczyźni, którzy wysiedli z jadącego za nimi samochodu, strzelali bez przerwy, bez wytchnienia. Odpowiadały im krótkie, ostre, mierzone serie.

- Styl SAS - zauważył Pierce, skulony, podobnie jak Brianna, za oparciem fotela.

- Co? - zapytała, przekrzykując huk.

- Styl SAS - powtórzył. - Dwa strzały, przerwa i znowu dwa strzały.

- Co to jest SAS?

- Brytyjskie siły specjalne.

- Ach, ci komandosi! - zawołała. - Czytałam o nich!

- Tate służył kiedyś w ich jednostce. Brał udział w tajnej misji na Bliskim Wschodzie.

- Jest coś, czego Tate nie robił?

- Chyba nie. - Herce, który podobnie jak Brianna z zapartym tchem przyglądał się akcji, nagle przyciągnął dziewczynę do siebie i zasłonił jej oczy. - Nie ruszaj się - powiedział szorstko.

- Dlaczego? - zapytała stłumionym głosem, próbując uwolnić się z uścisku.

- Nie powinnaś na to patrzeć.

Zaraz potem strzelanina ustała. Tate wrócił do samochodu, nie czekając na Colby'ego, a jeden z ubranych w garnitury mężczyzn skinął do niego głową i wysiadł z limuzyny, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- Zadzwoń do odpowiednich władz i uprzątną ten bałagan - stwierdził Tate. - Ruszaj
- polecił krótko kierowcy i przez kolejnych kilka chwil nie mówił nic więcej. Dopiero gdy ochłonął, odwrócił się w stronę pasażerów i powiedział: - Może pan odsłonić jej oczy. Już ich nie widać.

- Nie jestem taka wrażliwa - mruknęła Brianna, gdy Pierce pozwolił unieść jej głowę.

- Nie jesteś też z kamienia - odparł. - Wiem coś o tym.

Ujął drobną dłoń Brianny i pomyślał ze smutkiem, że będzie mu jej brakowało. W ciągu ostatnich miesięcy tylko dzięki niej się uśmiechał. Teraz spochmurniał, wyobraziwszy sobie, że ta radosna, jasnowłosa dziewczyna o śmiałym spojrzeniu i niewinnym sercu wkrótce zniknie z jego życia.

Był tak zamyślony, że nawet nie spostrzegł, kiedy wiozący ich samochód skręcił na długi podjazd, prowadzący do ukrytego za drzewami georgiańskiego dworku.

- Sądziłem, że jedziemy na Kapitol - odezwał się zdziwiony.

- Owszem - odparł Tate - ale najpierw zatrzymamy się tutaj. Senator miał gripę i musi jeszcze przez parę dni pozostać w domu. Colby już z nim rozmawiał. Biorąc pod uwagę to, co nas właśnie spotkało, tu będziemy najbezpieczniejsi. - Zerknął na zegarek. - Jesteśmy akurat na czas.

- Jesteś pewien, że Holden nas nie wyrzuci? -upewniał się Pierce.

- Nie ma obawy - odparł Tate, lecz nie uśmiechnął się jak zawsze. Był raczej spięty i niespokojny.

Gdy samochód zatrzymał się na wysypanej żwirem alejce, wysiedli z niego i ruszyli do frontowych drzwi, rozglądając się przy tym uważnie. Weszli pospiesznie do środka, gdzie przywitał ich lokaj:

- Senator Holden jest w bibliotece - oznajmił, zwracając się do Tate'a tak, jakby go znał. - Czeka na państwa.

Tate skinął głową, a potem, unikając przenikliwego spojrzenia lokaja, poprowadził całą grupę do biblioteki. Jej ściany wyłożone były boazerią, pełne książek regały sięgały aż do sufitu, a fotele miały eleganckie skórzane obicia. Widok człowieka, który siedział w jednym z nich, całkowicie ich zaskoczył. Senator ubrany był w gruby szlafrok, najdziwniejsze było w nim jednak to, że choć z pewnością nie mógł być Indianinem, do złudzenia go przypominał. Miał śniadą cerę, czarne oczy i przyprószone siwizną proste czarne włosy. Barczysty i krzepki, wyglądał bardziej na zapaśnika - czy też wojownika - niż polityka.

- Nie stójcie tak, usiądźcie - powiedział niskim głosem, jakby wydawał rozkaz żołnierzom, po czym spojrział wilkiem na Tate'a. - Czy to ci ludzie, o których mówił twój agent? Oczywiście, nie mogłeś sam do mnie zadzwonić.

Tate jakby urósł o parę centymetrów. Jego czarne oczy zabłyśły, rysy stężały. Spojrzenie miał teraz równie gniewne, jak ich gospodarz.

- Nie było czasu, panie senatorze - oznajmił, starając się opanować złość. - To mój nowy szef, Pierce Hutton, jego żona Brianna oraz Mufti, nasz koronny świadek przeciwko Kurtowi Brauerowi.

- Miło mi państwa poznać - rzekł oschle senator. - To bardzo bulwersująca sprawa. Bardzo bulwersująca - powtórzył. - Trudno wprost uwierzyć, że człowiek może tak nisko upaść, żeby rozpętać wojnę i obarczyć za to winą władze innego kraju. Doprawdy, odrażające.

- Owszem - przyznał Pierce. - A na dodatek ten człowiek sądzi, że ujdzie mu to na sucho. Starał się przeszkodzić nam za wszelką cenę. Próbował nas nawet zabić.

- Ale wam udało się uciec. Cóż, tego się spodziewałem - stwierdził senator, rzucając wrogie spojrzenie Tate'owi. - Zatrudnił pan dobrego fachowca, panie Hutton. Jest najlepszy, przynajmniej gdy chodzi o umiejętności zawodowe...

Był to zdaje się jakiś przytyk pod adresem Winthropa, ten bowiem poczuł się nim wyraźnie dotknięty. Rzadko okazywał, co czuje, ale tym razem nie potrafił ukryć wzburzenia. Jednak ani Pierce, ani Brianna nie mieli pojęcia, co jest przyczyną animozji między szefem ochrony a senatorem.

- Chcę znać wszystkie szczegóły - odezwał się Holden i popatrzył przenikliwym wzrokiem na Muftiego. - Zacznijmy od pana.

Mufti był początkowo zdenerwowany, ale senator, mimo swej oschłości, szybko go sobie zjednał. Po kilku minutach Arab traktował go jak starego, zaufanego przyjaciela. Opowiadał mu wszystko, o próbach szpiegowania Sabona, nieoczekiwanym pojawieniu się najemników i o walce, który rozgorzała, kiedy padły pierwsze strzały.

- Czy cały ten Sabon był zamieszany w spisek? - zapytał senator.

- Tylko na początku - wtrąciła szybko Brianna, wiedząc, że nikt oprócz niej nie wstawi się za Philippem. Wyjaśniła krótko, kim jest Sabon, dlaczego zwabił Brauera do swego kraju i korzystał z jego pośrednictwa, by nawiązać kontakt z konsorcjum naftowym.

- To ciekawe, co pani mówi - skomentował jej wypowiedź senator Holden. - Bo sam Brauer powiedział swemu przyjacielowi w Senacie, że Sabon to przestępca, który

zorganizował zamach stanu, żeby przejąć władzę w kraju. Mówił, że ten przestępca to islamski fanatyk, który ma jakieś niejasne powiązania z rebeliantami z Salidu.

- Philippe Sabon jest synem szejka rządzącego w Kwawi - oznajmiła Brianna - taka jest prawda. Mój ojczym o tym nie wie, przynajmniej na razie. Przecież Sabon, przyciągnąwszy z takim trudem inwestorów i potentatów naftowych do swego kraju, nie rujnowałby wszystkiego, wywołując przewrót wojskowy. Żaden przewrót nie jest mu potrzebny do zdobycia władzy, bo on tę władzę może objąć całkowicie legalnie.

- A. jednak chciał doprowadzić do interwencji Amerykanów - tylko po to, by złoża ropy nie wpadły w ręce pracodawców Muftiego - wyjaśniła, spoglądając ze skrucną na Araba, który wyraźnie czuł się nieswojo.

- Oni są jeszcze biedniejsi niż rodacy Philippe'a, mieli nadzieję wzbogacić się dzięki nafcie. Przepraszam, Mufti, ale senator musi znać całą prawdę. Wojna nikomu nie przyniesie korzyści.

- Tak, rozumiem - odparł Mufti zrezygnowanym głosem.

- Ze smutkiem słucham tego wszystkiego - stwierdził senator z ciężkim westchnieniem. - Wierzcie mi, że to, co dzieje się w krajach Trzeciego Świata, spędza mi sen z powiek. Niedożywieni ludzie, podupadła gospodarka. A bogate państwa uprzemysłowione patrzą na to obojętnie. Przeznacza się miliony na uzbrojenie, na badania nad rozwojem broni, a grosze na pomoc dla głodujących. Oczywiście - uśmiechnął się smętnie - dobrze wiem, że samymi pieniędzmi nikt się jeszcze nie najadł...

- Można by jednak nakarmić wielu ludzi, przekonując elity, by mądrze wykorzystwały przydzieloną im pomoc - wtrącił Pierce.

- Otóż to - przytaknął senator. - Akurat pan nie musi czuć wyrzutów sumienia, panie Hutton. Wiem, na co wydaje pan swoje pieniądze - dodał, przyglądając mu się z szacunkiem.

- Przeznaczył pan na cele dobroczynne znacznie więcej niż którykolwiek biznesmen.

Pierce wzruszył z zażenowaniem ramionami.

- Robię, co mogę. Ale to temat na inną rozmowę. Teraz trzeba unieszkodliwić Brauera. Obawiamy się, że gdy zda sobie sprawę z porażki, każe swoim najemnikom podpalić szyby naftowe.

- W jakim celu?

- Żeby się zemścić. Obarczy odpowiedzialnością Sabona albo nawet ludzi Muftiego. Jeśli rozpęta w ten sposób wojnę, groźba katastrofy ekologicznej w regionie rzeczywiście może sprowokować amerykańską interwencję.

- To prawda - przyznał z pośepną miną senator, przeczesując dłonią gęste włosy.

- Czy może więc nas pan skontaktować z podsekretarzem stanu? - zapytał Pierce. - Im prędzej, tym lepiej.

Holden zastanawiał się przez chwilę.

- To nie jest dobry plan - odparł w końcu. - Kurt Brauer pomiesza wam szyki, zanim do niego dotrzecie. Pewnie już nasłał na was agentów rządowych.

- Więc co możemy zrobić? - spytała bezradnie Brianna, która odezwała się dopiero teraz, bowiem wcześniej patrzyła tylko z niedowierzaniem na ukochanego Pierce'a, zdumiona informacjami na temat jego dobroczynnej działalności.

Senator spojrział na jej zrezygnowaną twarz, przez chwilę zastanawiał się nad czymś intensywnie, wreszcie mruknął z tajemniczym uśmiechem:

- Wiecie, że mam znajomego w rozgłośni INN?

W istocie Holden miał nawet kilku przyjaciół w sieci telewizyjnej International News Network. Zadzwoił do nich, jak obiecał, i niedługo potem przyjechała do jego rezydencji cała ekipa z kamerami oraz niezbędnym sprzętem, aby przekazać całemu światu informacje o przerażającym planie Kurta Brauera. Nakręcono rozmowę z senatorem, potem wywiad z Muftim, który bronił z przejęciem swoich ludzi, wykorzystanych niecnie do obalenia rządu Kwawi. Gdy skończono nagranie, a ekipa telewizyjna wracała do Waszyngtonu, intryga Kurta Brauera została zdemaskowana, a on sam był już intensywnie poszukiwany.

Odnaleziono go bez trudu. Został aresztowany przez agentów federalnych w biurze zaprzyjaźnionego z nim senatora. Część jego najemników zatrzymano na Florydzie, innych w Georgii oraz w pobliżu wybrzeży Wirginii. Kolejną grupę Interpol schwytał po francuskiej stronie wyspy St. Martin, zastawiwszy pułapkę na pewnego ciemnoskórego Europejczyka, kiedy ten wychodził z miejscowego banku.

Żołnierze z kraju, będącego sojusznikiem Stanów Zjednoczonych, wsparli potajemnie bojowników Sabona, gdy podjął on walkę z najemnikami Brauera. Wielu napastników zginęło, wielu trafiło do więzienia. W ciągu kilku dni rządzący szejk, powróciwszy z wygnania, przejął ponownie władzę. Przy szybach wiertniczych postawiono wartowników, a przedstawiciele konsorcjum naftowego i robotnicy mogli wrócić do pracy.

Kurtem Brauerem zajęły się władze federalne, gdyż najemnicy, których wynajął, byli obywatelami amerykańskimi. Oskarżono go o liczne przestępstwa, przy okazji wyszło bowiem na jaw, że interesuje się nim także KGB. Philippe Sabon złożył zeznanie, że Brauer próbował zniszczyć szyb wiertniczy na Morzu Kaspijskim, i Rosjanie domagali się podobno jego ekstradycji.

- Nie mówiłem ci jeszcze, ale twoja matka jest na Jamajce - poinformował Brianę Tate, gdy kilka dni później wszyscy, łącznie z Muftim, zebrali się w domu Pierce'a w Waszyngtonie, by pomówić o przyszłości, -Czuje się tam znakomicie, ale pewnie tęskni za domem. Teraz może już do niego wrócić. Nic jej nie grozi.

- Dziękuję - powiedziała Brianna, patrząc na niego ze szczerą wdzięcznością.

- Podziękuj Pierce'owi - stwierdził Tate, uśmiechając się do szefa. - On tu rozkazuje.

Teraz Brianna spojrzała na męża. Wykapany, ogolony i wypoczęty, wyglądał jeszcze przystojniej niż wtedy, gdy uciekali z Kwawi i przedzierał się do Waszyngtonu. Ona także zdążyła nieco odpocząć, choć przeżycia ostatnich dni - stresy, tułaczka, niekończące się przesłuchania przed senackimi komisjami - wciąż znać było na jej bladej twarzy. Poza tym Brianna straciła trochę na wadze i była teraz szczuplejsza niż kilka tygodni temu, a na pewno szczuplejsza niż w Paryżu, kiedy to poznała swego obecnego męża.

- Dziękuję ci, Pierce - powiedziała.

- Nie ma sprawy, Kiedy twoja mama wróci do domu, dostanie wszystko, czego będzie potrzebowała. Załatwiłem dla niej dom nad morzem w Jacksonville. Na pewno jej się spodoba.

- Naprawdę nie musisz tego robić.

- Ona potrzebuje wsparcia, Brianno - zaprzeczył. - Brauer zainwestował cały majątek w ropę. Nie zostawił jej ani grosza. Jak sobie wyobrażasz jej życie z małym dzieckiem? Bez dochodów? Bez pracy? Na szczęście mogę jej pomóc, a ty nie odmawiaj za nią tej pomocy. Nie będzie żyła tak wystawnie, jak dotychczas, ale utrzyma siebie i dziecko.

Brianna czuła się niezręcznie, że Pierce zamierza łożyć na jej rodzinę. Zwłaszcza że przecież wkrótce mieli się rozwieść.

- Wiem o tym - westchnęła. - I strasznie mi głupio, że nie mogę sama jej pomóc.

- Najpierw skończ studia.

- No właśnie, to kolejny wydatek. - Spuściła oczy, coraz bardziej zażenowana. - Opłacenie studiów na Sorbonie będzie cię kosztowało majątek. Może jednak nie powinniśmy...

- Przestań - przerwał jej łagodnie. - To niemały wydatek, ale mogę sobie na to pozwolić. Myślałaś, że wszyscy żartują, mówiąc, że jestem bogaty? - zapytał, uśmiechając się nieznacznie.

- Wiesz, że twoje pieniądze nigdy mnie nie interesowały.

- Wiem.

- No dobrze, pójdę się spakować - znów westchnęła, odwracając się w kierunku wyjścia. Skoro Pierce był dla niej taki dobry, postanowiła sprawić mu jak najmniej kłopotów. Rozwiedzie się z nim, skoro on tego tak bardzo chce. Pójdzie na studia, nie będzie mu zawracać głowy swoją osobą, przestanie dla niego istnieć. Czy wolno jej prosić o więcej niż to, co już dla niej zrobił?

- Poczekaj - usłyszała jego głos. - Dokąd idziesz?

- Spakować się - powtórzyła, a potem znikła za drzwiami, zostawiając mężczyznę w salonie.

Pierce poczuł, jak serce skacze mu do gardła.

- Gdzie ona się wybiera? - Tate spojrział na niego pytająco.

- Cholera ją wie! - Pierce wsunął ze złością rękę do kieszeni.

- Ej, szefie, naprawdę pan się nie domyśla?

- Pewnie, że się domyślam! Jedzie do Las Vegas, Żeby dostać rozwód - wycodził przez zaciśnięte zęby.

- Skromna dziewczyna.

- Skromna? - skrzywił się Pierce, coraz bardziej wściekły i rozgoryczony.

- Zna swoje miejsce.

Tate podszedł do pianina i wzięwszy do ręki stojące tam nadal zdjęcie Margo, spojrział wymownie na Pierce'a. Ten jeszcze bardziej spochmurniał. Rozumiał bez słów, co Winthrop chce mu powiedzieć.

Tymczasem Tate odłożył fotografię na miejsce i dodał, świdrując go wzrokiem:

- Musiała być niezwykłą kobietą, skoro do dzisiaj pozostał jej pan wierny. Ale Brianna też jest niezwykła.

- Różnimy się wiekiem.

- Oczywiście. Też używałem tego argumentu. Chciałem być rozsądny, szlachetny... Ale o świecie, kiedy czuję się samotny, nie stanowi to żadnego pocieszenia. Czy pan nie widzi, że ona pana kocha?

- Wydaje jej się, że mnie kocha - odparł Pierce z kamienną twarzą.

Tate westchnął ciężko.

- Pańska sprawa. Dokąd pójdzie na studia?

- Chce jechać do Paryża, na Sorbonę. Wolałbym, żeby została tutaj, w Waszyngtonie, żebyś mógł ją mieć na oku. Ciągłe może jej grozić niebezpieczeństwo ze strony ludzi, którzy mają „dług wdzięczności” wobec Brauera.

- Jeśli można... - Tate zawahał się i na chwilę zamilkł. - Jeśli można prosić - podjął urwane zdanie -wolałbym, żeby sam zapewnił jej pan opiekę. Ja mam już dość problemów, zwłaszcza z kobietami.

Pierce spojrział na niego z zaciekawionym.

- Masz problemy? Mogę ci w czymś pomóc? - zapytał wprost.

Tate pokręcił głową.

- To osobista sprawa. I bardzo skomplikowana.

- Chodzi o Cecily?

- Nie tylko. Poza tym nie wolno mi teraz myśleć o Cecily. W każdym razie jeśli wpadnę po uszy, dam panu znać. Dzięki za troskę.

- Od czego są przyjaciele? - westchnął Pierce, odwracając się do okna. - W porządku, Tate, pozwolę Briannie wrócić do Paryża. Nie mam zresztą wielkiego wyboru. Przydzieli jej tylko jakiegoś agenta z aktualnym paszportem i załatw mu wizę. Potrzebuję też kogoś, kto będzie miał na oku panią Brauer w Jacksonville. Zatrudnij więcej ludzi, jeśli to konieczne. Zależy mi, żeby nie było więcej żadnych niespodzianek.

- Jasne, szefie. Wyślę z nią Marlowe'a. Jest młody, przystojny, bystry. Spodoba jej się. Pierce przeszył go piorunującym spojrzeniem, a wtedy Tate roześmiał się cicho.

- A więc nie jest panu zupełnie obojętna? - bardziej stwierdził niż zapytał.

Pierce zacisnął ręce w pięści. Uświadomił sobie, że w istocie bardzo zależy mu na Briannie. Ogarniało go szaleństwo na samą myśl, że jego wciąż jeszcze aktualna żona może się zainteresować innym mężczyzną.

- To pańskie życie, szefie - dodał filozoficznie Tate. - Ale pozwalając jej odejść, musi pan mieć świadomość, że odprawia pan młodą, piękną i zmysłową kobietę. Nie pozostanie długo samotna.

Tak, Winthrop miał rację. Brianna na pewno niedługo będzie opłakiwała nieodwzajemnioną miłość. Wkrótce znów zacznie się cieszyć swą młodością. Będzie chodziła na prozowane kolacje, tańczyła, spędzała wesoło czas w towarzystwie rówieśników. Bez niego. Gdy bowiem on zniknie jej z oczu, jego miejsce zajmie inny mężczyzna.

- A więc szkoda - mruknął Tate - wielka szkoda...

- Czego? - warknął Pierce, z trudem hamując gniew.

- Szkoda rezygnować z tak niezwyklej dziewczyny. Skromnej, porządnej. Namiętej. Obdarzonej klasą, a przy tym nie zmanierowanej. - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Nie rozumiem pana, szefie. Ona pozwoliłaby panu spojrzeć inaczej na świat. Ale może nie warto zaprzętać tym sobie głowy? Może będzie szczęśliwsza z kimś młodszym?

Po tych słowach Tate poszedł odszukać Muftiego i powiedzieć mu o przygotowaniach, jakie poczynili, aby wrócił z honorami do Salidu. Pierce natomiast został sam. Całkiem sam.

ROZDZIAŁ 15

Następnego dnia Tate zawiózł Muftiego na lotnisko i wyprawił go samolotem do ojczyzycznego kraju.

- Mufti będzie bohaterem - oznajmił przy śniadaniu Pierce, które jedli z Brianną tylko we dwoje. - Oczywiście, przekaże także swoim rodakom ostrzeżenie, co im grozi, gdyby próbowali zagarnąć złoża ropy w Kwawi.

Brianna nie odpowiedziała. Wydarzenia w Kwawi, intryga Kurta Brauera i wszystkie przygody, które dane było jej przeżyć, były już w jej umyśle jedynie bladym wspomnieniem. Teraz nie mogła myśleć o niczym innym, jak o rozwodzie i rychłym rozstaniu z ukochanym Pierce'em.

Spojrzała na oprawioną w ramkę fotografię Margo i skuliła się w sobie. Przeszły ją ciarki na myśl o podróży do Las Vegas. Oto Margo znowu triumfuje. Triumfuje z za grobu.

- Kiedy wyjeżdżamy? - zapytała, nie patrząc na męża. Pierce wciągnął gwałtownie powietrze. Nie miał wcale ochoty nigdzie jechać. Był zmęczony pobytem w celi, ucieczką, przesłuchaniami, a przy tym coraz większy ból sprawiała mu świadomość, że usunie wkrótce Briannę ze swego życia. Popatrzył na nią. Wyglądała tak bezbronne - szczupła, w cienkim jedwabnym kostiumie, z długimi, jasnymi, rozpuszczonymi włosami i niewinnym spojrzeniem zielonych oczu.

- Dzisiaj nigdzie się nie ruszymy - stwierdził z westchnieniem. - Muszę skontrolować postęp prac przy naszej platformie na Morzu Kaspijskim.

Spojrzała na niego zdziwiona. Czyżby mu nie zależało, by mieć to już za sobą? Pochłaniała wzrokiem jego długie nogi w czarnych spodniach i szeroki tors pod beżową jedwabną koszulą. Wydawał jej się bardziej barczysty niż kiedykolwiek i niezwykle pociągający z tymi swoimi gęstymi, falującymi, przyprószonymi siwizną ciemnymi włosami i oliwkową cerą. Pożądała go i była wściekła, że nie potrafi się opanować.

Dostrzegł jej wzrok i domyślił się jej pragnień. W pokoju zapanowała nagle pełna napięcia cisza. Milczeli chwilę, wreszcie Pierce popatrzył śmiało w jej oczy i zapytał:

- Chcesz mnie?

Nigdy nie słyszała, by mówił do niej takim głosem - zduszonym, głuchym, ledwo dobywającym się ze ściśniętego pożądaniem gardła.

Serce zabiło jej żywiej, poruszyła się niespokojnie.

- Ss-lucham? - wyjąkała.

- Mówiłaś kiedyś, że chciałabyś spędzić ze mną całą noc. Tak, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

- Mówiłam - przyznała cicho, nie spuszczać wzroku.

Pierce skinął głową w kierunku korytarza.

- Tam jest sypialnia. Z ogromnym łóżkiem. Brianna nie musiała nic mówić. Jej oczy, twarz, piersi, które zafalowały gwałtownie i wezbrały pod cienkim jedwabiem - wszystko to zdradzało wyraźnie, jak bardzo jej ciało tęskni za zmysłową bliskością, za pieściami i rozkoszą.

- A ty... - zadrżała z podniecenia - chcesz tego?

- Bardziej niż czegokolwiek - odparł takim tonem, jakby gardził samym sobą.

Brianna wyciągnęła do niego dłoń, a wówczas on poderwał się z miejsca, chwycił ją w ramiona i zaniósł do sypialni, zamykając za sobą kopniakiem drzwi. Położywszy ją delikatnie na jasnobrązowej narzucie, wyłączył telefon i zaczął rozpinąć koszulę, przyglądając się przy tym kochance z jawną, nieskrępowaną pożądlivością. Ona zaś patrzyła, jak się rozbiera i płonęła z podniecenia. Było zupełnie jasno. Zasłony w oknach nie były zaciągnięte. Słyszała odgłosy ulicznego ruchu, widziała, jak padające przez okiennice promienie słońca tworzą pręgi na beżowym dywanie - i czekała.

Czekała w rozkosznym napięciu, gdy się zbliżał - wysoki, wysportowany, ani trochę nie zażenowany z powodu swej nagości i seksualnego pobudzenia. Podniósł ją, aby ściągnąć z niej ubranie. Dotykał szorstkimi, ciepłymi dłońmi jej piersi, brzucha, bioder, ud....

- Cała drżysz - szepnęła z wyrzutem. - Chyba się mnie nie boisz?

Wyprężyła się lekko, odurzona jego pieściami.

- Niczego się nie boję - odparła. - Jestem gotowa na wszystko.

Pierce uśmiechnął się czule. Brianna była taka żywiołowa, taka spontaniczna, taka szczerą. Poddawała mu się całkowicie. Był szczęśliwy z tego powodu. I dumny, że ma taką kochankę. Taką żonę.

Przyciągnął ją delikatnie do siebie. Mruknął z satysfakcją, gdy jęknęła, czując jego nagi brzuch na swoim ciele. Musnął ustami jej wargi, najpierw górną, potem dolną, całując je najpierw delikatnie, pieściami, potem zaś coraz mocniej i coraz natarczywiej.

Brianna zacisnęła palce na jego plecach, przycisnęła go do siebie z całej siły, poruszyła biodrami, czując w łonie znajome pulsowanie. A potem syknęła, kiedy Pierce położył szerokie dłonie na jej jędrnych piersiach i zaczął kreślić palcami koła wokół nabrzmiątych sutków. Wygięła się, pragnąc już poczuć go w sobie, ale on nadal ją prowokował, nadal tylko się bawił.

- Pierce! - szepnęła gorączkowo, wbijając mu paznokcie w skórę.

- Bądź cierpliwa - odparł spokojnie, kontynuując miłosną grę. - tym razem nie musimy się spieszyć.

Jęknęła cicho, tęsknie. Chciała coś powiedzieć, lecz zamknął jej usta namiętym pocałunkiem. Potem zaś położył ją na łóżko, objął mocno i zaczął całować jej piersi. Dotyk ciepłych ust przejmował Briannę cudownym dreszczem. Czas jakby stanął w miejscu, a świat przestał istnieć. Czowała jedynie rozkosz, wszechogarniającą słodycz, która rozlewała się po całym ciele, a której źródłem były kolejne pocałunki -już nie tylko składane na piersiach, ale i na brzuchu, udach, łonie. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w siebie, odgadując, gdzie tym razem poczuje gorący dotyk twardych warg. Nagle Pierce przestał ją całować, a zaraz potem poczuła na brzuchu pulsujące, twarde ciepło. Otworzyła oczy, chwyciła go za biodra i próbowała przyciągnąć do siebie, ale bez powodzenia. Pierce popatrzył jej prosto w oczy i wyszeptał:

- Spokojnie...

- Proszę... - jęknęła błagalnym tonem.

- Jeszcze chwila. - Odsunął się od niej nieco, ale po chwili jego biodra znów poruszyły się i zbliżyły.

- Nie wytrzymam!

Każdy ruch sprawiał jej niewysłowioną przyjemność. Patrzyła prosto w oczy kochanka, ten zaś zdawał się być skupiony, uważny, czujny, jakby za wszelką cenę chciał panował nad sytuacją i nie uronić ani odrobiny z tych rozkosznych doznań.

Zmieniwszy nieco pozycję, znów się odsunął, spojrział w dół, a potem przylgnął do niej mocniej. Brianna wstrzymała oddech. Podążyła za jego wzrokiem, lecz po chwili ponownie spojrzała mu w oczy, oczarowana i nieco zawstydzona.

Pierce pochylił się i musnął wargami jej usta.

- Nigdy przedtem nie patrzyłaś...

- Wszystko działało się zbyt szybko.

- Teraz jest inaczej. - Znów poruszył lekko biodrami. - Chcę cię poczuć tak wyraźnie, tak dokładnie, tak całkowicie...

Po tych słowach napał na nią mocniej i cofnął się równie szybko, czując jej spazmatyczne drzenie. Jego także przeniknął w tym momencie upojny dreszcz.

Już nie był w stanie nad sobą panować. Brianna wygięła plecy w łuk i omdlewając niemal z rozkoszy, wplotła kurczowo palce w jego dłoń.

- Teraz, Pierce... Teraz, kochany!

Zamiast odpowiedzieć, jęknął głucho, po czym usiadł raptownie na łóżku, uniósł kochankę ku górze i pozwolił, by wchłonęła go w siebie jednym cudownie płynnym ruchem. Patrząc z zachwytem w jej rozwarłe z rozkoszy i zdumienia źrenice, zaczął poruszać rytmicznie biodrami. Wzbierająca w nim żądza wybuchła potężnym płomieniem, którego odbicie widział wyraźnie w oczach Brianny. Ścisnął ją z całej siły, aż do bólu, jakby chciał się z nią stopić. Teraz naprawdę byli jednością.

- Nigdy nie było tak cudownie - szepnął. - Czuję cię... pragnę... chcę... jeszcze mocniej... Głębiej, Boże, głębiej!

Jej umysł był całkowicie zaćmiony i niezdolny do jakiegokolwiek myśli, uświadomiła sobie jednak, że oto zbliża się, narasta i zaczyna ją pochłaniać potężna, wszechogarniająca fala ostatecznej rozkoszy i szczęścia. Brianna krzyknęła przeciągle, a potem dała się nieść na grzbiecie tej fali, wysoko, do nieba, do światła, które oślepiło ją swoim blaskiem.

W tym blasku widziała twarz Pierce'a. Wiedziała, że na nią patrzy, że zatapia się w szmaragdowej zieleni jej szeroko otwartych, nieprzytomnych oczu. Słyszała, jak jęknął radośnie. Poczowała, jak zacisnął kurczowo ręce na jej biodrach i przyciągnął ją do siebie w desperacji. A potem nastąpiła potężna eksplozja, jakby erupcja wulkanu, który pochłonął wszystko swoją gorącą, kipiącą lawą.

Pierce drżał. Przyłgnęła do jego torsu, dotknęła ustami spoconego czoła i trwali tak, zanim ich ciała nie przestały pulsować przeżytych tak intensywnie szczęściem.

- Nie zrobiłem ci krzywdy? - szepnął jej do ucha, kiedy uświadomił sobie ze zdumieniem, że wciąż trwają w tej niezbyt wygodnej pozycji.

- Nie - odpowiedziała cicho, zbyt zawstydzona, by spojrzeć mu w oczy. Dotknęła nieśmiało wargami jego szyi i dodała: - Nigdy nie robiliśmy tego w ten sposób.

- Nigdy - odparł poważnym tonem, przesuwając palcami po jej gładkich plecach. - Ty nie i ja też nie. Nigdy dotąd. Nie powinienem był ryzykować. Mogłem cię zranić. Jesteś pewna, że nic ci się nie stało?

Pokręciła głową, uśmiechając się czule, po czym dotknęła opuszką palca jego nabrzmiąłych warg.

- To było niewiarygodne - westchnęła, wciąż nieco oszołomiona.

- Tak, niewiarygodne. - Objął dłońmi twarz Brianny i przytknął usta do jej powiek. - Nie wierzyłem, że mogę przeżyć coś takiego.

Uwolnił się z jej objęć, ułożył Briannę ostrożnie na łóżku. Kiedy zaś znów ujrzał w całej krasie jej wspaniałe, bujne ciało, ponownie zapragnął się kochać.

Brianna odgadła jego pragnienia. Widząc, że jest gotów znów się z nią połączyć, oplotła go leniwie nogami, a on wsunął się w nią z łagodnym pomrukiem. Kołysząc delikatnie jej biodrami, patrzył znowu w jej rozświetlone ekstazą oczy, a gdy niedługo potem, w chwili największego uniesienia, wyszeptała cichutko jego imię, zapragnął nagle... żeby Brianna zaszła w ciążę.

Zdumiała go ta nieoczekiwana myśl, odnosił wszakże nieodparte wrażenie, że tak właśnie się stanie, że te cudowne chwile nie pozostaną tylko wspomnieniem, że przyniosą owoc. Było to, oczywiście, idiotyczne przekonanie - Brianna z pewnością zabezpieczała się przed ciążą, a poza tym wkrótce i tak mieli się rozwieść. Udawał jednak przed sobą, że jest inaczej, i sprawiało mu to niespotykaną dotąd radość. Zupełnie jakby perspektywa splodzenia potomstwa czyniła miłosny akt jeszcze bardziej cudownym, skończonym i pełnym.

Gdy było już po wszystkim, długo leżeli w zupełnym bezruchu. Pierce chciał, aby trwało to wieczność. Chciał trzymać ją w objęciach, pozostać z nią na zawsze. Wkrótce oboje zasnęli, spleceni w intymnym uścisku.

Obudził się w środku nocy. Przykrył Briannę kocem i objąwszy ją czule, znowu zapadł w sen.

Ale rano przyszło otrzeźwienie. Otrzeźwienie i konsternacja. Patrzył z niedowierzaniem na spoczywające w białej pościeli piękne, nagie ciało i kręciło mu się w głowie na wspomnienie tego, co między nimi zaszło.

Nigdy nie czuł się bardziej zmieszany i przerażony. Brianna była taka słodka, taka młoda. Kochała go. Mógłby z nią zostać. Mogliby mieć dziecko i zawsze być razem, a jednak...

A jednak odwrócił się od niej szybko, po czym wyjąwszy z szuflad i z szafy ubranie, poszedł wziąć kąpiel, aby zmyć z siebie jej zapach. - Godzinę później wyszedł z mieszkania, zostawiając lakoniczną notatkę, że przez cały dzień będzie załatwiał niezbędne formalności, aby mogła wyjechać do Paryża przed jego odlotem nad Morze Kaspijskie. O rozwodzie nie wspomniał, uznał bowiem, że o tym będą jeszcze mieli okazję podyskutować. Podpisał kartkę inicjałami, a zanim wyszedł, walczył jeszcze chwilę z pokusą, by nie wrócić jednak do sypialni, gdzie spała jego młoda żona.

Nie wrócił. Nie był w stanie. W końcu to samo łóżko dzielił ze swą ukochaną Margo. Znowu ją zdradził i znowu czuł się jak cudzołóżnik.

Tylko że Margo umarła, a on nadal żył. Zdawał sobie sprawę, że musi pomyśleć o przyszłości.

Później, przykazał sobie, coraz bardziej roztrzęsiony. Teraz nie mógłby się skupić. Potrzebował spokoju i czasu do namysłu. Zatrzasnął więc drzwi za sobą i wyszedł na zalane słońce ulice.

Brianna obudziła się chwilę potem. Znalazła jego notatkę, lecz nie była zaskoczona jej treścią. Cóż, Pierce nie od dziś miał poczucie winy.

Podeszła do pianina i spojrzała na uśmiechniętą twarz kobiety na zdjęciu.

- Ja też go kocham - powiedziała do niej. - I co mam z tym zrobić?

Wypowiedziawszy głośno te słowa, uzmysłowiła sobie, że może zrobić tylko jedno: pojechać do Paryża i dać Pierce'owi czas na powzięcie decyzji na temat ich przyszłości. Miała nadzieję, że się nie zawiedzie. Modliła się o to w duchu. Tymczasem zachowała słodkie wspomnienia ostatniej nocy i w razie potrzeby będzie nimi żyła do końca swoich dni.

ROZDZIAŁ 16

Ewa Brauer i jej synek Nicholas zamieszkali w ładnym, zdobionym sztukaterią domu w pobliżu Jacksonville, na wybrzeżu Atlantyku. Brianna rozpoczęła studia w Paryżu, jednak zanim wyjechała do Francji, spędziła kilka dni z matką i małym braciszkiem. Obie kobiety starały się być dla siebie miłe i próbowały nawiązać nową zażyłość, ale niestety wciąż dzieliła je bariera nieufności. Ewa przeżyła szok, dowiedziawszy się, że jej mężowi grozi wieloletni wyrok, a ona pozostanie bez pieniędzy. Brianna nie była w stanie zrozumieć i pogodzić się z tym, że sprawy materialne są dla jej matki tak ważne.

Tydzień później poleciała wraz z jednym z partnerów Winthropa do Paryża. Przydzielony jej ochroniarz był starszym mężczyzną, którego żona służyła w wojsku. Brianna z początku cieszyła się na myśl, że Pierce zapewne celowo wybrał takiego opiekuna, aby nie próbowała z nim flirtować. Później uznała jednak, że gdyby jej mąż naprawdę był o nią zazdrosny, to sam towarzyszyłby jej w podróży. Tymczasem Pierce, odkąd wyszedł pośpiesznie z mieszkania po ostatniej wspólnie spędzonej nocy, nie zadzwonił do niej ani nie napisał.

O dziwo, dodawało jej to otuchy. Pocieszała się, że gdyby była mu całkowicie obojętna, skontaktowałby się z nią i bez skrupułów wyjawiał jej prawdę. Skoro tego nie zrobił, mogła mieć nadzieję, że ta prawda nie jest jasna nawet dla niego.

Dowiedziała się, że rzeczywiście pojechał skontrolować platformę wiertniczą na Morzu Kaspijskim i przebywał tam kilka tygodni. Nie wiedziała, że tęskni za nią każdej nocy i że daremnie próbuje zapomnieć o tym, co ich połączyło.

Tuż po przybyciu do Paryża udała się na Sorbonę, by opłacić studia, stwierdziła wszakże ze zdziwieniem, że jej nazwisko figuruje już na liście studentów. Tak więc choć Pierce fizycznie był od niej daleko, niemal na każdym kroku czuła jego troskę i opiekę.

Francuski znała dobrze, toteż bez kłopotu radziła sobie ze studiami. Większość przedmiotów i tak miała zresztą związek z matematyką, a ta wymagała bardziej umiejętności logicznego myślenia niż znajomości gramatyki. Brianna zbierała dobre oceny, te zaś dopingowały ją do jeszcze cięższej pracy. Pracy, która miała uleczyć jej złamane serce.

Mniej więcej miesiąc po ich powrocie z Bliskiego Wschodu zaczęła miewać poranne mdłości. Tydzień później zemdląła na widok skaleczonego palca podczas eksperymentu na zajęciach z biologii. Po paru dniach przestała chować głowę w piasek i poszła do lekarza.

Jeśli to nie stres i nie przepracowanie - to z pewnością ciąża. A skoro jest w ciąży, powinna dowiedzieć się o tym jak najwcześniej, by od początku zadbać troskliwie o swoje maleństwo.

Przypadkowym zbiegiem okoliczności w dniu, w którym poczuła się tak źle, że postanowiła zostać w domu, w jej luksusowym paryskim apartamencie zjawił się nieoczekiwany gość.

- Jakiś dżentelmen chce się z panią widzieć, madame - usłyszała melodyjnie brzmiący głos strażnika, kiedy podniosła słuchawkę brzęczącego domofonu. - Pragnie pani przekazać wiadomość, dotyczącą *Monsieur Sabona*.

- Proszę go wpuścić - odparła bez wahania Brianna. Była ciekawa, co dzieje się z człowiekiem, który ją porwał. Wiedziała, że sytuacja w Kwawi się ustabilizowała, w gazetach czytała o porażce najemników, powrocie do władzy szejka i odkryciu przez konsorcjum naftowe ogromnych złóż ropy. Jednak wiadomość z pierwszej ręki, to zawsze co innego.

Przezeszała długie włosy i zarzuciła na nocną koszulę elegancki szlafroczek z białego jedwabiu. Usłyszawszy dzwonek, otworzyła od razu drzwi, spodziewając się ujrzeć jakiegoś dygnitarza z kraju Philippe'a Sabona. Tymczasem na progu stanął on sam, w szarym włoskim garniturze, skrojonym z najwyższą starannością.

Uśmiechnął się, widząc jej zaskoczenie, a potem wręczył jej bukiet białych róż. Był wzruszony - napięte blizny na jego policzku zadrgały nerwowo na śniadej twarzy.

- Może jestem niepożądanym gościem - powiedział - ale musiałem przyjść, żeby zobaczyć, jak się miewasz.

- Miło mi cię widzieć - rzekła z uśmiechem, patrząc to na niego, to na otrzymane właśnie wspaniałe kwiaty. - Proszę, wejdź i usiądź. Napijesz się kawy?

- Jeśli nie sprawiam kłopotu...

- Żaden kłopot. Tereso! - zawołała Brianna i po chwili wydawała już polecenia swojej służącej. - Podaj nam kawy z mlekiem, ukrój też trochę ciasta. Nasz gość może być głodny.

- Rzeczywiście - uśmiechnął się Philippe - umieram z głodu. - Przyjrzał się uważnie jej zmęczonej twarzy. - Ale ty też wyglądasz na niedożywioną. Jesteś blada, założę się, że schudłaś.

- Może trochę - odparła wymijająco.

Pochylił się do przodu z figlarnym błyskiem w oczach.

- Wyjedź ze mną i zamieszkaż w moim haremie - zaproponował żartobliwie. - Moje służące będą cię karmiły bakaliami i marcepanem, żebyś tylko choć trochę przytyła!

Brianna roześmiała się cicho.

- To chyba najlepsza propozycja od wielu tygodni.

Philippe także się roześmiał.

- Zawsze można pomarzyć - westchnął. - Powiem ci prawdę: nie mam haremu. Gdybym go miał, narażałbym się nieustannie na zdemaskowanie. A do tego nie mogę dopuścić.

- Oczywiście. Jesteś synem szejka. Ale czy nie powinienes mieć następcy?

- Powinienem - odparł spokojnie, patrząc w jej piękną twarz i napawając się jej urodą.
- I dlatego właśnie tu jestem.

- Nie rozumiem...

- Będzie nim twój pierworodny.

- To wcale nie jest zabawne! - Brianna spoważniała nagle i odwróciła wzrok.

- Mówię całkiem poważnie - stwierdził z nonszalancją. - Ojciec wie, że nie mogę mieć potomstwa. Obaj bardzo nad tym bolejemy. Ale twój mąż, w którego żyłach płynie krew greckich przodków, ma śniadą cerę, więc dziecko zapewne ją odziedziczy. On nie wie jeszcze o dziecku, prawda? Ale ja wiem. I stąd moja propozycja.

- To... - pokręciła zdumiona głową - to jakiś absurd.

- Dlaczego? Nie powinnaś gardzić królestwem, *chérie*, choćby nawet tak niewielkim, jak Kwawi.

- Po co to robisz? - zapytała, wciąż oszołomiona i poruszona.

- Naprawdę nie wiesz?

Służąca przerwała na moment ich rozmowę, wnosząc na tacy kawę z dodatkami oraz pokrojone ciasto. Przyniosła też szklanek pełną mleka, na którego widok Brianna skrzywiła się z obrzydzeniem.

- Tylko nie mleko - jęknęła żałośnie.

- Musisz je wypić - oznajmiła stanowczo Teresa, która była wdową i wychowała już trójkę dzieci. - Jest zdrowe. Musisz teraz o siebie dbać - dodała jeszcze, a potem znów zostawiła ich samych.

Philippe spojrział wymownym wzrokiem na szklanek, potem na brzuch Brianny.

- Czy zamierzasz teraz zaprzeczyć, że spodziewasz się potomka?

- Skąd o tym wiesz?

- To nieistotne. O wiele ważniejsze jest dla mnie co innego: czy twój mąż wie o dziecku?

- Nie wie - wycodziła Brianna przez zęby. - Nie chce dziecka, więc nie będzie go miał. Philippe uniósł w zdziwieniu brwi.

- I zdołałaś to przed nim ukryć? Jakim sposobem?

- Sama o tym nie wiedziałam. Dopiero lekarz potwierdził, że jestem w ciąży.

- Dobrze ci ona służy. Emanujesz miłością, radością życia. - Dolał mleka do kawy i rozsiadł się wygodniej na sofie. - Więc nie zadzwonisz do Pierce'a, nie powiesz mu, żeby wrócił do domu?

- Akurat by mnie posłuchał! - prychnęła.

- Nie doceniasz swego uroku.

Brianna przypomniała sobie nagle o czymś, co niemal umknęło jej z pamięci.

- Zanim nas opuściłeś, powiedziałeś coś po arabsku do Tate'a Winthrope'a - odezwała się, zmieniając ton.

- Co to było?

- Zapytaj jego.

- Nie mam pojęcia, gdzie on teraz jest - odparła.

- Ty mi powiedz.

- Nie mogę. - Pokręcił głową. - Poza tym czy nie sądzisz, że należy dochowywać tajemnicy? - Dokończył kawę, odstawił filiżankę na stolik, po czym sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. - No dobrze, powiem ci, po co naprawdę tu przyszedłem. Przyniosłem to dla twojego męża - oznajmił, kładąc na stoliku zaklejoną kopertę. - Oto spłata długu. Chciałem też zaprosić was oboje na moją koronację.

- Czy twój ojciec... ?

- Nie, nie zmarł - odparł natychmiast, gasząc jej niepokój. - Ale ma świadomość, że przy swoim stanie zdrowia nie może nadal rządzić. Szejkanat to wprawdzie nie królestwo, ale jednak suwerenne państwo. Teraz, dysponując wreszcie pieniędzmi z wydobycia ropy, musimy wejść w dwudziesty wiek. Dla naszych rodaków nie będzie to łatwe - prowadzili wędrowny tryb życia, żyli w prymitywnych warunkach. Dla mnie to także wyzwanie. Muszę zdobyć autorytet przywódcy. Mam nadzieję, że mi się uda.

- Na pewno ci się uda - stwierdziła bez wahania Brianna, przyglądając się jego szczupłej, śniadej twarzy i myśląc ze smutkiem, jak ciężko mu będzie żyć ze wstydliwym brzemieniem swojego kalectwa.

- Nie współczuj mi - powiedział otwarcie, odgadując jej myśli. - Nie jestem w pełni mężczyzną, ale posiadam więcej niż wielu spośród nich. To Allah decyduje o naszym losie. Nie należy walczyć z przeznaczeniem.

- Mówisz teraz jak Arab. Uśmiechnął się.

- Przecież nim jestem, prawda? - Odstawił pustą filiżankę. - Przyjedziecie na moją koronację? To wspaniała ceremonia.

- Bardzo bym chciała.

- A Pierce? Wzruszyła ramionami.

- Zapytam go. Kiedy to będzie?

- Wiosną. Za siedem miesięcy. - Spojrzał na okrywającą jej łono powiewną szatę. - Domyślałam się, że może to być dla ciebie niefortunny termin, ale jeśli tylko zdołasz przyjechać, przygotuję wszystko na wasze przyjęcie. Dla całej trójki, gdyby zaszła potrzeba - dodał z szerokim uśmiechem.

- Dziękuję, Philippe - odparła. - Dziękuję za zaproszenie i jeszcze raz dziękuję za twoją pomoc. Bez niej nie uciekliśmy tak łatwo.

- Gdyby nie mój szaleńczy plan, nie groziłoby wam żadne niebezpieczeństwo. Wtedy wydawało mi się, że postępuję rozsądnie.

- Dopiero z czasem oceniamy właściwie pewne sprawy.

Philippe nie odezwał się więcej. Wstał po chwili, a wtedy Brianna również się podniosła. Ujął jej szczupłe dłonie i ucałował delikatnie w milczeniu.

- Bądź zdrowa - pożegnał się, stając w drzwiach. -I nie zapominaj, co ci powiedziałem. Gdybyś potrzebowała jakiegokolwiek pomocy, zawsze jestem do usług.

- Dziękuję - odparła szczerze. - Dam sobie radę.

- I opiekuj się moim następcą - dodał z uśmiechem, spoglądając na jej brzuch, potem zaś zniknął za drzwiami.

Gdy wyszedł, Brianna stanęła zamyślona na balkonie, z którego rozpościerał się wspaniały widok na miasto. Lekki wiatr rozwiewał jej długie włosy, jesienne słońce grzało jasną skórę, jednak w jego sercu panował smutek. Użała się nad Philippem, a jeszcze bardziej nad sobą. Była w ciąży, czuła się samotna. Pierce nie pisał ani nie dzwonił. Wyglądało na to, że wykreślił ją zupełnie ze swego życia, i to w najmniej odpowiednim momencie. Zastanawiała się, czy zobaczy go jeszcze, zanim urodzi dziecko.

Zapewne nie zastanawiałaby się nad tym w ogóle, gdyby dwie godziny później ujrzała wyraz twarzy swego męża, gdy ten, wezwany pilnie do telefonu, musiał przerwać rozmowę z jednym z inżynierów, obsługujących jego platformę wiertniczą na Morzu Kaspijskim.

- Co takiego? - krzyknął do słuchawki, ciskając z oczu błyskawice.

Wysłuchał krótkich wyjaśnień, po czym zaklął pod nosem i szybko skończył rozmowę.

- Wezwijcie pilota śmigłowca - polecił. - Muszę lecieć do Europy.

- Ależ, sir, jest silny wiatr,..

- Niech będzie nawet huragan, do cholery! Natychmiast sprowadźcie pilota!

Dziesięć minut później lecieli już w kierunku lądu, a dziesięć godzin później Pierce jechał taksówką do paryskiego mieszkania Brianny.

Brianna oglądała właśnie wieczorne wiadomości we francuskiej telewizji, gdy drzwi jej mieszkania otworzyły się nagle i stanął w nich jej mąż. Wpadł do salonu, wzburzony i gniewny, a ona spozrzała na niego zaskoczona i wystraszona, że może mu się coś stało. Jego garnitur był wymięty, włosy rozczochrane, na rozpiętej koszuli wisiał poluzowany krawat. Pierce wyglądał jak człowiek udręczony, który desperacko próbuje ratować swoje życie.

- Gdzie on jest? - zapytał ostrym tonem, nie witając się z nią i nie udzielając żadnych wyjaśnień.

- Kto?

- Sabon! Nie próbuj zaprzeczać! Powiedziano mi na dole, że tu był!

Brianna oniemiała z wrażenia. Pierce'a paliła zazdrość! Płonął jak pochodnia. Ciskał się i miotał po salonie, bowiem myślał, że ona i Philippe...

- Dopiero z czasem oceniamy właściwie pewne sprawy.

Philippe nie odezwał się więcej. Wstał po chwili, a wtedy Brianna również się podniosła. Ujął jej szczupłe dłonie i ucałował delikatnie w milczeniu.

- Bądź zdrowa - pożegnał się, stając w drzwiach. - I nie zapominaj, co ci powiedziałem. Gdybyś potrzebowała jakiegokolwiek pomocy, zawsze jestem do usług.

- Dziękuję - odparła szczerze. - Dam sobie radę.

- I opiekuj się moim następcą - dodał z uśmiechem, spoglądając na jej brzuch, potem zaś zniknął za drzwiami.

Gdy wyszedł, Brianna stanęła zamyślona na balkonie, z którego rozpościerał się wspaniały widok na miasto. Lekki wiatr rozwiewał jej długie włosy, jesienne słońce grzało jasną skórę, jednak w jej sercu panował smutek. Użała się nad Philippem, a jeszcze bardziej nad sobą. Była w ciąży, czuła się samotna. Pierce nie pisał ani nie dzwonił. Wyglądało na to, że wykreślił ją zupełnie ze swego życia, i to w najmniej odpowiednim momencie. Zastanawiała się, czy zobaczy go jeszcze, zanim urodzi dziecko.

Zapewne nie zastanawiałaby się nad tym w ogóle, gdyby dwie godziny później ujrzała wyraz twarzy swego męża, gdy ten, wezwany pilnie do telefonu, musiał przerwać rozmowę z jednym z inżynierów, obsługujących jego platformę wiertniczą na Morzu Kaspijskim.

- Co takiego? - krzyknął do słuchawki, ciskając z oczu błyskawice.

Wysłuchał krótkich wyjaśnień, po czym zaklął pod nosem i szybko skończył rozmowę.

- Wezwijcie pilota śmigłowca - polecił. - Muszę lecieć do Europy.

- Ależ, sir, jest silny wiatr...

- Niech będzie nawet huragan, do cholery! Natychmiast sprowadźcie pilota!

Dziesięć minut później lecieli już w kierunku lądu, a dziesięć godzin później Pierce jechał taksówką do paryskiego mieszkania Brianny.

Brianna oglądała właśnie wieczorne wiadomości we francuskiej telewizji, gdy drzwi jej mieszkania otworzyły się nagle i stanął w nich jej mąż. Wpadł do salonu, wzburzony i gniewny, a ona spojrzała na niego zaskoczona i wystraszona, że może mu się coś stało. Jego garnitur był wymięty, włosy rozczochrane, na rozpiętej koszuli wisiał poluzowany krawat. Pierce wyglądał jak człowiek udręczony, który desperacko próbuje ratować swoje życie.

- Gdzie on jest? - zapytał ostrym tonem, nie witając się z nią i nie udzielając żadnych wyjaśnień.

- Kto?

- Sabon! Nie próbuj zaprzeczać! Powiedziano mi na dole, że tu był!

Brianna oniemiała z wrażenia. Pierce'a paliła zazdrość! Płonął jak pochodnia. Ciskał się i miotał po salonie, bowiem myślał, że ona i Philippe...

Serce zabiło jej radośnie. Skoro jest zazdrosny, to może...

- Po co tu przyszedł? Co robiliście? Mów!

- Przyszedł zwrócić dług - oznajmiła, podając mu kopertę, na której widniało jego nazwisko.

Pierce nawet nie spojrzał na kopertę. Rzucił ją na stół, po czym znów zapytał:

- Czego jeszcze chciał?

- Zaprosił nas na ceremonię przejęcia władzy - wyjąkała. - Jego ojciec abdykuje, będzie koronacja...

- Nie obchodzi mnie, czy zostanie królem, szejkiem, czy kim tam jeszcze! Chcę wiedzieć, co robił tutaj! Mógł wysłać czek i zaproszenie pocztą, czemu przyszedł osobiście?

- Nie złość się tak, kochany. Skąd te nerwy? - spytała ze słodziutkim uśmiechem.

- Ponieważ ten łajdak oświadczył Winthropowi, że jesteś jedyną na świecie osobą, dla której warto stracić królestwo!

A więc to była ta jego tajemnica, pomyślała Brianna. Pochlebiali jej to zdanie i cieszyła się, że Sabon tak wysoko ją ceni. Najbardziej jednak cieszył ją widok szalejącego z zazdrości męża.

- Dlaczego tak się tym przejmujesz? - spytała niewinnie. - Uciekłeś przecież na Morze Kaspijskie, żeby o mnie zapomnieć. Zostałam skazana na samotność. Mam chyba prawo do towarzystwa.

- Jesteś mężatką!

- Nie jestem - oznajmiła, pokazując mu, że nie ma na palcu obrączki. Zdjęła ją wcześniej, myjąc ręce, jednak Pierce wcale nie musiał o tym wiedzieć.

- Jesteś! - krzyknął, czerwieniejąc z gniewu. - Włóż ją z powrotem. Gdzie ją masz?

- Zginęła mi na pustyni w Kwawi - znów skłamała.

- Nie szkodzi. Kupię ci nową. Ubieraj się. Idziemy.

- Nigdzie nie idę.

- A to dlaczego?

- Nie będę jej nosiła na pokaz - odparła. - A skoro mowa o naszym małżeństwie, to kiedy planujesz rozwód? - spytała, żeby jeszcze bardziej go sprowokować.

- Chcesz rozwodu? - wycedził. - Czyżby Sabon ci się oświadczył?

- Zrobiłby to, gdybym go poprosiła.

- Ale nie poprosisz. Już za późno. Wyszłaś za mnie.

- Och, Pierce, przecież sam mówiłeś, że wkrótce weźmiemy...

- Nie zamierzam się z tobą rozwodzić! - ryknął i po tych słowach zapadła cisza.

Była to zaskakująca wiadomość. Wspaniała, cudowna, zachwycająca! Brianna miała ochotę rzucić się w ramiona męża, lecz zamiast tego postanowiła jeszcze trochę z nim poigrać.

- Wiesz co, Pierce? - westchnęła. - Zachowujesz się jak pies ogrodnika. Skoro nie zamierzasz się ze mną rozwodzić, to dlaczego...

Pierce stracił nad sobą kontrolę. Ruszył w jej kierunku jak lawina, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Przewrócił ją na poduszki, przygniótł swoim ciężarem. Ledwo zdążyła złapać oddech, a już przylgnął łapczywie ustami do jej warg.

Ważył sporo, ale był to słodki ciężar. Wiedziała, że powinna zaprotestować, ale zabrakło jej konsekwencji. Objęła go za szyję, poddając się szaleństwu namiętności. Przygarnęła go do siebie, śmiała się cicho, gdy całował ją coraz bardziej natarczywie, rozkoszowała się jego gniewem, zazdrością, nieokiełznaną pasją. Jego miłością!

- Och, Pierce - wymruczała mu do ucha. - Czy myślałeś, że po tym, co mi dałeś tamtej nocy, mogłabym spojrzeć na innego mężczyznę?

Nie odpowiadał. Całował ją bez przerwy. Jęknął, czując narastające napięcie, i sięgnął dłonią pod jej szlafrok, lecz wówczas stało się coś, czego Brianna nie była w stanie przewidzieć. W końcu nigdy wcześniej nie kochała się, będąc w ciąży.

Oto niewysłowioną rozkosz zakłóciły nagle nieprzyjemne, a tak ostatnio znajome skurcze żołądka. No tak, zawsze było najgorzej, gdy leżała. Odepchnęła Pierce'a, walcząc rozpaczliwie z ogarniającymi ją mdłościami.

- Cholera! - szepnęła żałośnie, przełykając z trudem ślinę. - Pozwól mi wstać. Chyba zaraz... Boże!

Do łazienki zdążyła w ostatniej chwili.

Gdy Pierce zobaczył, że Brianna klęczy nad sedesem, od razu wszystkiego się domyślił. Zbladł nagle, sposepniał, na czoło wystąpiły mu krople potu. Przypomniał sobie, że przecież pragnął, by zaszła w ciążę owej ostatniej nocy w Waszyngtonie. Był jednak wtedy zbyt oszołomiony, pijany rozkoszą. Nie umiał myśleć racjonalnie. Później, gdy wracał czasem myślą do tych swoich przedziwnych pragnień, nieodmiennie beształ się za nieodpowiedzialne marzycielstwo i za naiwność.

- Nie zabezpieczyłaś się - powiedział z wyrzutem. - Kochałaś się ze mną ze świadomością, że możesz zajść w ciążę. Okłamałaś mnie!

Brianna nie była w stanie mu odpowiedzieć. Oparła czoło na dłoni, a drugą dłonią, drżącą i słabą, dała mu znak, żeby wyszedł.

No tak, wybrał najgorszy moment na prawienie jej morałów. Oprzytomniał szybko, zdjął z wieszaka ręcznik, zmoczył go i podał cierpiącej dziewczynie. Na szczęście wkrótce poczuła się lepiej. Spuściwszy wodę w toalecie, podźwignęła się do umywalki, aby umyć twarz i przepłukać usta.

Próbowała obejść Pierce'a, który wciąż stał w drzwiach łazienki, ale on wziął ją na rękę, zaniósł do sypialni i ułożył delikatnie na łóżku. Brianna zakryła twarz ręcznikiem. Nie chciała na niego patrzeć. Wiadomość, że zostanie ojcem, zaszokowała go, zmartwiła, przeraziła. A ona już myślała, że się ucieszy.

- Masz rację. To wszystko moja wina - powiedziała grobowym tonem. - Wracaj na swoją platformę, Pierce. Teresa się mną zaopiekuję. Nie potrzebuję cię tutaj.

Pierce milczał. Brakowało mu słów. Był oburzony i przerażony. Brianna oczekiwała dziecka. Jego dziecka. Nic mu nie powiedziała. Może nawet zamierzała to przed nim ukryć?

Przytknęła ręcznik do wyschniętych warg i spojrzała na niego z rezygnacją.

- A więc jesteś w ciąży - stwierdził cicho, jakby trzeba było powiedzieć to na głos, by przypuszczenie stało się potwierdzonym faktem.

- Co za przenikliwość.

- Nie zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

- Nie - odparła bez namysłu.

- Dlaczego?

- Przypuszczałam, że będziesz pytać, kto jest ojcem dziecka.

- Bzdura. - Pierce skrzywił się urażony. - Nie zadawałbym takich pytań.

- Doprawdy?

- Nie żartuj sobie. To wcale nie jest zabawne.

- Nie jest, Pierce, masz rację. Myślałam...

- Ja też myślałem, Brianno - przerwał jej. - Myślałem, że jesteś ze mną szczerą, uczciwą.

- No widzisz, nie jestem, znów cię zawiodłam - odparła z ironią. - Skoro tak, to zostaw mnie. Nie będę sprzeciwiała się rozwodowi - dodała, ponownie zasłaniając twarz ręcznikiem.

- Możesz już załatwiać wszystkie formalności.

- Ciekawe, co by było, gdybyś stanęła przed sądem w ciąży w sukience, wnosząc o unieważnienie małżeństwa.

Zaintrygował ją jego głos, ściągnęła więc z twarzy ręcznik i spojrzała zdumiona na Pierce'a. W głosie tym nie było drwiny ni sarkazmu. Raczej tłumiona wesołość. Tak, Pierce uśmiechał się! I to radośnie!

- Nie mówiłam o unieważnieniu małżeństwa - poprawiła go - tylko o rozwodzie.

- No dobrze - odezwał się trzeźwo - a kto zajmie się dzieckiem?

- Ponieważ jestem jego matką...

- A ja ojcem - przypomniał jej. - Od kiedy masz mdłości? - zapytał łagodnie. - Pamiętam, że Margo nigdy nie miała takich problemów...

Z całych sił cisnęła w niego ręcznikiem i zasłoniła dłońmi oczy, które nagle zaszkliły się łzami.

- Wynoś się - rzuciła krótko.

- Ale Brianno...

- Wynoś się! - wrzasnęła. - Wynoś się z mojego mieszkania, z Paryża, z mego życia! Nienawidzę cię! Nie chcę więcej słyszeć o Margo!

Pierce skrzywił się, nie wiedząc, co powiedzieć. Ona tymczasem obróciła się na łóżku i ukryła w poduszce zapłakaną twarz. Chciał jej dotknąć, pogłaskać, wydusiła jednak z siebie:

- Zostaw mnie w spokoju! - więc zrezygnował.

Nie chcąc pogarszać sytuacji, stał w milczeniu i patrzył na drobną sylwetkę Brianny, wstrząsaną rozdierającym szlochem. W końcu wyszedł z sypialni, ale nie z mieszkania. Udał się do kuchni i poprosił Teresę, żeby zrobiła gorącą ziołową herbatę. Kiedy herbata była gotowa, zaniósł ją Briannie na tacy razem z małą paczką herbatników.

Nie płakała już. Siedziała na łóżku. Miała zaczerwienione oczy i wilgotne policzki. Pierce postawił tacę na nocnym stoliku i usiadł obok żony.

- Napij się - mruknął, podając jej porcelanową filiżankę. - To rumianek. Teresa mówi, że ci smakuje.

- Pomaga mi na mdłości - powiedziała cicho i wzięła filiżankę z jego rąk. - To jak będzie z tym rozwodem? - spytała. - Sam wszystko załatwisz?

- Bądź rozsądna - odparł spokojnie. - Nie należy się rozwodzić z kobietą w ciąży.

- Przecież nie chcesz tego dziecka - stwierdziła z wyrzutem.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Nie chcesz. Mówiłeś, że powinnam była się zabezpieczyć.

- Wiem, to nie był najlepszy moment...

- Nieważne. Nie chcę o tym rozmawiać. Jestem w ciąży, stało się. I na pewno nie jest to dziecko Sabona - dodała - choć akurat on byłby bardzo szczęśliwy, gdybym zechciała urodzić mu potomka.

- Oczywiście. - Pierce zmrużył oczy, uważnie się jej przyglądając. - Tyle że z informacji, które zebrał Tate, wynika, że Sabon nie może mieć dzieci. I to chyba nie z powodu bezpłodności.

Brianna popatrzyła na męża w milczeniu.

- A więc o tym wiesz?

- Nie martw się - powiedział cicho. - Nie mam zamiaru tego rozgłaszać. Teraz wiem, dlaczego nie bałaś się go, kiedy nas porwano.

- Obiecałam, że nie zdradzę nikomu jego tajemnicy.

- Dobrze to wiedzieć. Jeśli ja zdradzę ci swoje sekrety, będę spokojny, że nikomu ich nie wyjawisz.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się z zalem.

- Ty miałbyś mi zdradzić swoje sekrety? Nigdy niczego mi nie mówisz. Zresztą, teraz i tak to już bez znaczenia.

Przesunął delikatnie dłonią po jej lekko zaokrąglonym brzuchu.

- Byłaś u lekarza?

- Oczywiście. Za kogo mnie masz?

- A więc chcesz je urodzić.

- Tak - spojrzała na niego dobitnie - bez względu na wszystko.

Pierce wytrzymał jej harde spojrzenie. Nie zamierzał już jednak się z nią kłócić ani jej pouczać. Brianna zaimponowała mu swoją silną wolą, wzbudziła jego zachwyt jako przyszła

matka. Nie zastanawiał się nigdy, co to znaczy być ojcem, ale teraz ogarnęły go różne uczucia i różne myśli. Wyobraził sobie dziecko z ciemnymi włosami i zielonymi oczami, które będzie tulił do siebie wieczorami, wróciwszy z pracy do domu. A później, kiedy dorośnie, będą zabierać je z Brianną do muzeum, do opery, na mecze...

- A właściwie to dlaczego tak nagle wróciłeś? - wyrwał go z zamyślenia głos żony.

- Dlaczego? - Spojrzał jej w oczy i odparł szczerze: - Ponieważ ochrona zadzwoniła do mnie z pytaniem, czy ma mieć na oku Araba, który przyszedł właśnie cię odwiedzić. - Nie odpowiadała, więc dopowiedział: - Nie rozumiesz, Brianno? Byłem o ciebie zazdrosny.

Spojrzała na niego niepewnie, jednak widząc szczerze spojrzenie ciemnych oczu, uwierzyła chyba słowom męża, bowiem po chwili jej naburmuszona twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- Więc myślałeś o mnie? Pamiętałeś?

- Nie potrafiłem o tobie zapomnieć, odkąd spotkaliśmy się w Paryżu - odparł, wpatrując się w nią z czułością. - Próbowałem zasklepić się jak żółw w skorupie, lecz ty mnie z niej wyciągnęłaś. Chciałem wrócić do Margo, popełnić samobójstwo. Ty uratowałaś mi życie. I oddałaś serce. Teraz chcę przyjąć ten dar.

- Mówiłeś, że dzieli nas różnica wieku.

- Tak, lecz czy mając nasze dziecko, uciekniesz z pierwszym młodym mężczyzną, który wpadnie ci w oko? - zapytał z szelmowskim uśmiechem.

- Nie ucieknę - odparła szczerze. - Dlaczego miałabym od ciebie uciekać? Przecież cię kocham.

- Co powiedziałaś? - wyszeptał wzruszony, ściskając mocniej jej dłoń.

- Że pewnego razu w Paryżu zakochałam się w tobie i kocham cię odtąd nad życie. Czyżbyś o tym nie wiedział?

- Nie wiedziałem - wyznał. - Nie chciałem wiedzieć. Poza tym nie miałaś zbyt wielu powodów, żeby mnie kochać.

- A jednak cię kochałam. Po co męczyłabym się z mężczyzną, który czuje się nadal mężem swojej zmarłej żony, gdybym go nie kochała? - zapytała ze smutkiem.

Wplótł mocniej palce w jej dłoń, czując, że nadchodzi najtrudniejsza chwila w trakcie tej rozmowy.

- Tak, kochałem Margo - przyznał. - I długo nie mogłem o niej zapomnieć. - Podniósł wzrok. - Ale Tate nie mylił się, gdy mówił, że ty masz wszystkie jej zalety i że byłbym głupcem, pozwalając ci odejść. - Uśmiechnął się blado. - Nie posłuchałem go, oczywiście.

Uciekłem na Morze Kaspijskie, ale nie znalazłem spokoju. A gdy dowiedziałem się, że odwiedził cię jakiś obcy mężczyzna, postanowiłem go zabić.

- Naprawdę? - roześmiała się Brianna.

- Marzyłem o tym, żeby wyrzucić go przez okno. Na szczęście to był tylko Sabon, który nie może zrobić ci krzywdy. - Spojrzał poważnie na Briannę. - Mimo to ma cię odwiedzać tylko wtedy, gdy będę w domu, zgoda?

- Ty zaborczy szowinisto!

Podniósł do ust jej drobną dłoń i delikatnie ucałował.

- Proszę bardzo, mogę być szowinistą. Nie będę się tobą dzielił z nikim i będę pilnował cię na każdym kroku. Jak najgorszy zazdrośnik nie odstąpię cię ani na chwilę.

Serce Brianny zabiło mocniej.

- A więc zostaniesz i teraz? - zapytała. Uśmiechnął się, mierząc wzrokiem jej osłonięte cienkim jedwabiem ciało.

- Tak, zostanę.

- Na długo?

- Na kilka lat. Pięćdziesiąt, czy coś koło tego. -Dotknął znów ostrożnie jej zaokrąglonego brzucha i roześmiał się radośnie. - Nie opuszczę cię przecież, gdy nosisz w łonie moje dziecko!

- I naprawdę się cieszysz, że je mamy? - zapytała, wciąż niepewna swego szczęścia.

- Naprawdę - odparł cicho. - Będę się wami opiekował, dopóki starczy mi sił. Dam wam wszystko, czego zapragniecie.

Brianna poczuła, że ze wzruszenia zbiera jej się na płacz.

- Och, kochany, pragnę tylko ciebie. Ja też będę się tobą opiekować. Do końca moich dni, do śmierci.

Pierce znieruchomiał po tych słowach, jego twarz zastygła w cierpieniu.

- Nie mów tak - poprosił, patrząc jej w oczy. Dotknął palcami jej miękkich warg i milczał długo, jakby nie wiedział, czy wolno mu powiedzieć, co go dręczy. - Ja... nie mogę cię stracić - wyszeptał wreszcie łamiącym się głosem. - Nie mogę cię stracić, Brianno. Nie zniósłbym drugi raz... takiego nieszczęścia.

- Mój kochany! - westchnęła, po czym przyciągnęła męża do siebie, obsypując go pocałunkami i pocieszając.

Była wzruszona i szczęśliwa zarazem. Oto Pierce przyrównał ją do Margo, dał jej poznać, że cierpiałby po śmierci drugiej żony, tak jak cierpiał po śmierci pierwszej. Oto

miłość znów znalazła drogę do jego serca. Brianna nie potrzebowała innego jej dowodu. Ten starczał za wszystkie.

- Postaram się żyć tak długo, jak ty - szeptała - ale obiecaj, że nigdy mnie nie opuścisz.

- Nie opuszczę cię, Brianno. Nie opuszczę cię, bo cię kocham. *Je t'aime si beaucoup!*

Przytuliła się do niego i zamknęła załzawione oczy. Pierce ją kochał, oczekiwali narodzin swego dziecka, mieli przed sobą wiele wspólnych lat. Czy człowiekowi trzeba więcej do szczęścia?

Pierce nie zapomniał od razu o Margo, choć z upływem miesięcy coraz rzadziej wracał pamięcią do przeszłości. Za to bez reszty pochłaniała go myśl o czekającym go rychło ojcostwie.

Brianna wyraźnie przytyła. Miała już dwie szafy dzieciennych zabawek, całą wyprawkę i mnóstwo ciężowych sukienek. Wszyscy wiedzieli zresztą, że jest w odmiennym stanie, zanim jeszcze zaczęła je nosić, bowiem Pierce, dumny jak paw, rozgłaszał wszem i wobec tę radosną wiadomość.

Dziecko urodziło się tego samego dnia, w którym Philippe Sabon przejął władzę w swoim kraju, nie było więc mowy, by uczestniczyli w koronacyjnej ceremonii. Choć był to dla Philippe'a szczególny dzień, nie zapomniał przesłać Briannie bukietu białych róż i gratulacji dla państwa Hutton z okazji narodzin ich pierworodnego syna, Edwarda Laurence'a.

Gdy Brianna doszła już do siebie po porodzie, ucałowała pochylonego nad nią męża, który przyglądał się z fascynacją ssącemu pierś niemowlęciu.

- Dzięki, że nie złościłeś się z powodu tych róż - szepnęła, uśmiechając się z wysiłkiem.

- Och, mogę mu to wybaczyć, skoro jest za oceanem. Boże, Brianno, co za piękny dzieciak!

- Prawda? - odparła, patrząc na śniadą twarz męża.

- A mówiłeś, że jestem dla ciebie za młoda, że nie jestem jeszcze kobietą.

Pierce zaśmiał się serdecznie.

- Jesteś kobietą, od początku o tym wiedziałem. Nie zdawałem sobie jednak sprawy, jak bardzo przy tobie odmłodnieję. Cóż za prezent - westchnął rozanielony, pochylając się, by ucałować główkę dziecka. - Nie wiem, co równie cennego mógłbym ci ofiarować.

- Następnym razem podaruj mi córkę!

- Zgoda - odparł Pierce, a Brianna roześmiała się radośnie.

Pomyślała przez moment o biednym Philippe'ie, który nigdy nie zazna radości trzymania w objęciach własnego maleństwa, ale już po chwili jej uwagę zaprzątęli bez reszty dwaj ukochani mężczyźni, których miała obok siebie.